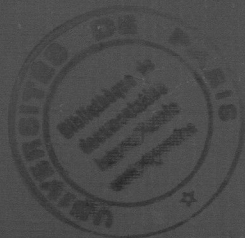




# znaki CZASU

KWARTALNIK  
RELIGIJNO  
SPOŁECZNY



809.8574

02003

# znaki czasu

KWARTALNIK  
RELIGIJNO  
SPOŁECZNY



znaki

czasu

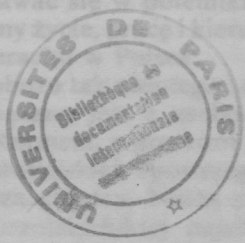
KWARTALNIK  
RELIGIJNO  
SPOŁECZNY

WYDAWCA: IWiR  
ul. Uniwersytecki Park 1  
01-645 Warszawa

C21603

Redakcja: Andrzej MICHEWSKI (Wiedeń)  
Ks. Zdzisław MOZELSKI SAC (Paryż)  
Danuta SZUMSKA (Paryż)  
Ks. Stanisław TURKX ZP (Grym) (ogłoszenia)

1/1986



# znaki

# CZASU

**KWARTALNIK  
RELIGIJNO  
SPOŁECZNY**

WARUNKI PRENUMERATY

Prenumerata roczna  
pocztą zwykłą FF 200 (US 2.30)  
pocztą lotniczą FF 200 (US 2.37)  
Prenumerata kwartalna FF 50 (US 0.57)

**CENTRE DU DIALOGUE  
MONTMORENCY**

Redakcja: Andrzej MICEWSKI (Wiedeń)  
Ks. Zenon MODZELEWSKI SAC (Paryż)  
Danuta SZUMSKA (Paryż)  
Ks. Stanisław TUREK ZP (Rzym)

Opracowanie graficzne: Ks. Witold URBANOWICZ SAC

Administracja: Ks. Tadeusz PUTON SAC

Editeur: Association Centre du Dialogue — Montmorency

Adres redakcji i administracji: 25, rue Surcouf, 75007 Paris,  
tel.: 45.51.42.85 oraz 45.55.81.03

#### WARUNKI PRENUMERATY

Prenumerata roczna  
pocztą zwykłą FF 200 (US \$ 30)  
pocztą lotniczą FF 260 (US \$ 37)

Cena pojedynczego egzemplarza FF 55 (US \$ 8)

Wpłaty prosimy przekazywać na konto CENTRE DU DIALOGUE

## ZNAKI CZASU

Dlaczego powstaje polskie pismo społeczno-katolickie poza krajem? Na Zachodzie ukazuje się wiele pism polskich, ale brak jest takiego, które ukazywałoby życie i linię postępowania Kościoła w Polsce. Pisma katolickie wychodzące w kraju są ostro cenzurowane, ogranicza się także ich objętość i regularność wydawania przez drastyczne, nieproporcjonalne w stosunku do ograniczeń pozostałej prasy zmniejszanie przydziałów papieru. Tymczasem Kościół katolicki ponownie stał się przedmiotem między innymi propagandowych ataków masowych środków przekazu. Także na emigracji pewne koła z dziwną kosekwencją kierują przeciw Kościołowi głęboko niesłuszne zarzuty. Potrzebna jest więc trybuna, by pewne sprawy wyjaśnić i nawet nie tyle wdawać się w polemiki, ile raczej przedstawić w sposób obiektywny życie, pracę i kierunek postępowania Kościoła oraz jego Hierarchii w Polsce.

Kraj nasz należy politycznie do obozu tak zwanego „realnego socjalizmu”, duchowo zaś związany jest z zachodnią kulturą chrześcijańską, z papieskim Rzymem, z greckimi i łacińskimi fundamentami cywilizacji europejskiej. Spostrzega to każdy myślący przybysz do Polski zza granicy. Naszą przynależność do zachodniej kultury chrześcijańskiej najsilniej wyraża Kościół, religijność polska i niezwykły opór katolicyzmu polskiego względem indyferentyzmu epoki urbanizacji i industrializacji, ale także względem odżywiającego nacisku materialistycznego państwa ideologicznego. Nacisk ten godzi w polską tożsamość duchową i kulturalną. Wychodzi jednak z pozycji doktrynalnych, których wiarygodność w oczach społeczeństwa została podważona „degradacją cywilizacyjną kraju”, o której mówi się sporadycznie także w prasie rządowej.

Obserwujemy w Polsce także przejawy osłabienia postaw moralnych. Kościół walczy przeciw tym zjawiskom ze wszystkich swych sił. Trudność polega jednak na tym, że przejawy demoralizacji wynikają w wielkiej mierze z powtarzających się niemal periodycznie kryzysów społeczno-gospodarczych. Każde kolejne załamanie jest coraz ostrzejsze, a konsekwencje każdego nowego kryzysu są groźniejsze. Pauperyzacja dużej części społeczeństwa dotkliwie godzi w jego poziom moralny.

Rządzący zamiast uciekać się do politycznych i ekonomicznych środków przezwyciężania kryzysu, pod naciskiem różnych grup biurokracji czują się zmuszeni do zaostrzania systemu prawnego i podporządkowywania życia coraz surowszym rygorom karnym i administracyjnym.

Spółceństwo w chwilach wielkich prób ukazuje swoje niejako drugie oblicze i prawdziwą postawę. Wyraża się ona w głębokim przywiązaniu do wartości kultury chrześcijańskiej i wolności społecznych, a także suwerenności. Okazją takich prób były między innymi obydwie pielgrzymki Ojca Świętego Jana Pawła II do Polski. Jednoczyły one naród nie tylko wokół osoby Ojca Świętego, ale także wokół wartości przez Papieża głoszonych. W takich chwilach widać spontaniczną skłonność społeczeństwa polskiego do dobra i prawdy, a przede wszystkim jego umiłowanie wolności i suwerenności. Kościół upowszechnia potem katechezę Ojca Świętego. Świątynie polskie wypełnione wiernymi w niedziele i święta ilustrują trwanie narodu przy wartościach religii katolickiej. Trzy cnoty Boskie — wiara, nadzieja i miłość — po każdej pielgrzymce Ojca Świętego zdają się przenikać życie polskie, choć uwarunkowania społeczne ogromnie to później utrudniają. Społeczeństwu, w jego niedolach duchowych i materialnych, bodaj najbardziej potrzebna jest — nadzieja. Jan Paweł II mówił o nadziei wielokrotnie w swych homiliach w kraju. Tym bardziej zdumiewające jest, że także pielgrzymki papieskie spotkały się z atakami pewnych kół polskich na Zachodzie. Niechęć do panującego w Polsce systemu, połączona z myśleniem tylko w kategoriach politycznych, powoduje, że przechodzi się do porządku nad rolę Kościoła w zachowaniu polskiej tożsamości i niezależności duchowej. W ten sposób umyka z pola widzenia głębsza warstwa zmagających w kraju i pojawia się chęć skłonienia Kościoła do łatwych deklaracji antyrządowych, czy też do innego rodzaju gry politycznej, która nie leży w kompetencjach wspólnoty religijnej o celach nadprzyrodzonych. Kościół unika gry politycznej, bo wierny swemu powołaniu pozadoczesnemu, ma bronić wartości Boskich, praw człowieka i moralnych praw narodu. Wyjaśnianie tej linii będzie głównym zadaniem pisma, którego pierwszy numer oddajemy do rąk czytelnika. Wyjaśniając linię Kościoła nie możemy nie powiedzieć, że nieuznawanie realnie istniejącego państwa polskiego jest możliwe, gdy przebywa się daleko

od kraju i tam realizuje swe cele. Nie jest ono możliwe, gdy, tak jak Kościół, ponosi się olbrzymią odpowiedzialność za trwanie życia religijnego i narodowego, za obronę praw człowieka w kraju, w Polsce, w konkretnie istniejących warunkach. Mogą one podlegać i podlegają ocenie i osądowi z punktu widzenia chrześcijańskiej etyki społecznej. Natomiast ponoszenie odpowiedzialności i zamykanie oczu na rzeczywistość jest po prostu niemożliwe. Pełne rozeznanie rzeczywistości, ubożenia dużej części społeczeństwa, rosnącego zagrożenia ekologicznego, groźnej dekapitalizacji przemysłu powodowało, że Episkopat wypowiadał się wielokrotnie przeciw zachodnim sankcjom gospodarczym godzącym w Polskę. Iluzją jest przypuszczenie, że mogą one szkodzić rządzącym nie szkodząc społeczeństwu. Polska zaś nie powinna być traktowana jako przedmiot w światowej grze mocarstw.

Pismo nasze nazywamy ZNAKI CZASU. Ojciec Święty Jan Paweł II zachęcał niedawno do ponownego studiowania soborowej *Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym*. W rozdziale Konstytucji, poświęconym sytuacji człowieka w świecie dzisiejszym, czytamy: „Kościół zawsze ma obowiązek badać znaki czasów i wyjaśniać je w świetle Ewangelii, tak aby mógł w sposób dostosowany do mentalności każdego pokolenia odpowiadać ludziom na ich odwieczne pytania dotyczące sensu życia obecnego i przyszłego oraz wzajemnego ich stosunku do siebie. Należy zatem poznawać i rozumieć świat, w którym żyjemy, a także jego nieraz dramatyczne oczekiwania, dążenia i właściwości”.

Pragniemy badać i przedstawiać czytelnikom znaki czasów charakterystyczne dla współczesnej rzeczywistości polskiej. Jest pilną potrzebą ukazywanie sytuacji społecznej i gospodarczej w Polsce, naszego regresu technologicznego w kontekście nowej rewolucji naukowo-technicznej w świecie, drastycznego zagrożenia ekologicznego kraju, a także stanu kultury polskiej. Nie zamierzamy uprawiać krytyki dla krytyki i abstrahować od obiektywnych uwarunkowań i możliwości kraju. Prymas Polski Kardynał Józef Glemp w liście do biskupów polskich z 8 kwietnia 1982 roku, poprzedzającym znane „Tezy Prymasowskiej Rady Społecznej”, napisał: „Uгода społeczna, podjęta jako czynność prawna, ma na celu porozumienie narodowe, czyli uzgodnienie działania między władzą państwową a grupami społecznymi, reprezentatywnymi dla

narodu [...]. Porozumienie — moim zdaniem — to przyjęcie wspólnego modelu Ojczyzny w istniejącej państwowości. Ostatecznie spór toczy się o substancję Ojczyzny. Nie będziemy spierać się o nazwę. Chcemy uzgodnić ideał takiej Ojczyzny, która — jako matka wszystkich Polaków — zorganizowana byłaby w państwowości praworządnej, sprawiedliwej, demokratycznej, tolerancyjnej, szanującej przeszłość i dorobek całej kultury, a jednocześnie otwartej na przyszłość i przyjaźń z narodami, zwłaszcza sąsiedzkimi”.

Później Ksiądz Prymas przestał mówić publicznie o ugodzie i porozumieniu społecznym, bo wysiłki Kościoła w tej dziedzinie, zwłaszcza w sprawie reaktywowania „Solidarności”, nie zostały przyjęte. Tym bardziej czujemy się zobowiązani do analizy rzeczywistości polskiej i poszukiwania takiej substancji Ojczyzny, która byłaby matką wszystkich Polaków, spełniającą ich marzenia i nadzieje osiągnięcia możliwego w obiektywnych warunkach stopnia demokracji, sprawiedliwości i praworządności. Temu ideałowi będą służyć analizy, także krytyczne, poszczególnych obszarów współczesnej rzeczywistości polskiej i sytuacji Kościoła. Obraz Kościoła w Polsce chcemy ukazywać przede wszystkim w działaniu: Z dokumentów Konferencji Episkopatu Polski. Autentyczne dokumenty mają największą siłę przekonywania. Niestety, są one trudno dostępne.

Pismo nasze będzie istniało tylko pod tym warunkiem, że zdoła się samofinansować. Dlatego zmuszeni jesteśmy już w pierwszym numerze zwrócić się do czytelników z prośbą o możliwie systematyczne prenumerowanie kwartalnika ZNAKI CZASU, a poza tym o nadsyłanie ofiar na jego fundusz wydawniczy. Nazwiska ofiarodawców będziemy ogłaszali lub zaznaczali anonimowo, jeśli będą takie życzenia.

W okresie powojennym nie udawało się dłużej utrzymać przy życiu pisma społeczno-katolickiego poza krajem. Nasza nadzieja, że tym razem będzie to możliwe, łączy się z linią pisma, które przywiązując nadrzędną wagę do misji religijnej Kościoła, zamierza zarazem wnikać w sprawy społeczne kraju i domagać się spełnienia istotnych warunków społecznych wolności i godności człowieka oraz rozwoju jego osobowości.

Już pierwszy numer ZNAKÓW CZASU przedstawia kilka motywów i kierunków zamierzonej przez nas pracy redakcyjnej. W związku z pontyfikatem Papieża-Polaka przybywają do



Rzymu liczne pielgrzymki Polaków z kraju i z emigracji. Chcemy nieść im strawę duchową, pogłębiającą przeżycia związane z pielgrzymką do grobu św. Piotra, do chrześcijańskiego Rzymu i centrum kultury, do której przynależymy. Temu tematowi poświęcamy chwilowo jeden artykuł, a w niedługiej przyszłości znajdą się poważne i obszerne publikacje o źródłach chrześcijańskiej kultury europejskiej. Z kolei sprawie łączności Polonii i emigracji z Kościołem w kraju poświęcamy wywiad z Prymasem Polski Arcybiskupem Gniezna i Warszawy, Księdzem Kardynałem Józefem Glempem. Po jego podróżach do Anglii i ostatnio do Stanów Zjednoczonych Ameryki wywiad ten będzie sygnałem dalszych planów i wysiłków Prymasa w celu zapewnienia duchowej łączności Kościoła z Polonią zagraniczną. Ponieważ pismo nasze będzie redagowane także w Wiedniu, poprosiliśmy o wypowiedź wiceburmistrza tego miasta, Pana Erharda Buska, na temat Austrii i Polski jako krajów krzyżowania się zachodnich i wschodnich wpływów kulturalnych.

Wierni zaś zamiarowi ukazywania ZNAKÓW CZASU już w pierwszym numerze publikujemy raport na temat sytuacji ekologicznej kraju. Jest ona tak poważna, że bez żadnej przesady możemy rozpatrywać ją w kontekście przykazania: nie zabijaj. W następnych numerach postaramy się omawiać kolejno inne najważniejsze dziedziny życia polskiego.

Z materiałów historycznych zamieszczamy w tym numerze szkic o tradycjach narodowych i wolnościowych, personalistycznych w katolicyzmie polskim, a także inspirujący do dyskusji szkic o ludziach, ideach i programie „Solidarności”.

Myślmy naturalnie także o tekstach z zakresu kultury, o recenzjach, polemikach i innych małych formach publicystycznych. Nie będziemy tu wymieniać dalszych tematów zaplanowanych już publikacji. Wyżej wspomniane przykłady świadczą zarówno o nadrzędnej w piśmie intencji zajmowania się sprawami religii i Kościoła, jak też o chęci głębszej refleksji nad historyczną i aktualną problematyką Polski. Tematem naszych zainteresowań jest wszystko, co dotyczy człowieka. Człowiek bowiem w ujęciu katolickim znajduje się w samym centrum wartości doczesnych. Przeznaczenie człowieka jest nadprzyrodzone, ale osiągnięcie przez niego jego celu ostatecznego zależy w ogromnej mierze od obiektywnych warunków społecznych rozwoju osoby ludzkiej. Zależy także od

warunków rozwoju rodziny i narodu, będących naturalnymi środowiskami kształtującymi człowieka. Tak więc w centrum naszych zainteresowań jest religia i Kościół, ale także prawa człowieka, prawa wspólnoty rodzinnej, moralne prawa narodu do własnej odrębności, duchowej tożsamości i suwerenności.

Dwudziestolecie Soboru Watykańskiego Drugiego i związany z tą rocznicą nadzwyczajny Synod Biskupów, jak wreszcie zaplanowany na rok 1987 Synod poświęcony roli laikatu w Kościele stawiają przed publicystyką katolicką poważne zadania. Trzeba wreszcie odpowiedzieć na niepoważne i bezzasadne pomówienia, że nauki Soboru nie są w Polsce wprowadzane w życie. Nie mniejsze zadania publicystyczne wiążą się z programem duszpasterskim Kościoła w Polsce, a zwłaszcza z planowanym w roku 1987 Kongresem Eucharystycznym w Warszawie. Ponieważ zaś ożywia nas głęboka nadzieja, że odbędzie się trzecia pielgrzymka Ojca Świętego Jana Pawła II do Ojczyzny, pilną potrzebą społeczną staje się analiza fenomenu oddziaływania społecznego Papieża-Polaka w naszym kraju, ale także w całym świecie.

Tematów religijnych i społecznych godnych zainteresowania jest więc aż nadmiar. Zaczynamy jednak skromnie od wydawania kwartalnika, z nadzieją, że jeśli znajdzie on odzew czytelnicy, przeobrazimy go w pismo częściej wychodzące. Dodajmy, że pismo nasze ukazuje się dzięki poparciu Prymasa Polski Kardynała Józefa Glempa.

**REDAKCJA**

# OPIERAĆ SIĘ NA MAGISTERIUM KOŚCIOŁA

*Wywiad Jego Eminencji Księdza Kardynała Józefa Glempa Prymasa Polski dla pierwszego numeru kwartalnika ZNAKI CZASU udzielony redaktorowi Andrzejowi Micewskiemu.*

**A.M.:** Eminencjo, nowe pismo religijno-społeczne ukazujące się poza krajem będzie służyło czytelnikowi katolickiemu tak z Polski, jak i z wychodźstwa. Do Rzymu przyjeżdżają tysiące pielgrzymów z Polski, których pobyt powinien wiązać się ze świadomością, że są u grobu św. Piotra, w centrum chrześcijaństwa, w papieskim Rzymie, promieniującym i formującym kulturę europejską, i do tego w Rzymie, w którym aktualnie rezyduje Papież-Polak. Te same treści duchowe i moralne potrzebne są także milionom Polaków żyjących nieraz w niełatwych warunkach z dala od Ojczyzny i odnajdujących jej cząstkę u Ojca Świętego w czasie pielgrzymek do Rzymu. Czy podziela Eminencja pogląd, że tym wszystkim pielgrzymom i Polakom w ogóle potrzebne jest pismo umacniające ich duchowo oraz zbliżające do spraw religijnych i narodowych?

**Ksiądz Prymas:** Osobiście przywiązuję dużą wagę do powstania nowego pisma religijno-społecznego, które ma wychodzić poza krajem i przemawiać do rzesz Polaków rozsianych po globie ziemskim. Pismo ma przede wszystkim służyć czytelnikowi katolickiemu, ale wiadomo, że treści pisma, które — jak ufam — będą bogate, obejmą także Polaków, którzy swej katolickości, a więc związku z Kościołem rzymskokatolickim, nie określają jasno. Pismo będzie adresowane przede wszystkim do katolików, zatem przemyślenia autorów opierać się będą na bazie Magisterium Kościoła, na bogatym nauczaniu Ojca Świętego i na wskazaniach Episkopatu Polski. Z takiego tła inspirującego wnikliwi autorzy mogą wydobywać niezwykle ciekawą rzeczywistość życia polskiego, rzeczywistość dynamiczną, często precedensową, a więc ciekawą w perspektywicznym rozwoju.

Mówi Pan o Rzymie jako o miejscu, gdzie dziś drogi pielgrzymstwa polskiego krzyżują się najczęściej. W Rzymie Polak-pielgrzym spotyka się, począwszy od katakumb, z nawarstwiającymi się przez

wieki pokładami kultury chrześcijańskiej, wyrastającej na gruzach stolicy pogańskiego imperium. Jest to wszystko niezmiernie bogate i ciekawe. Rzym nie jest centrum Kościoła katolickiego tylko za pontyfikatu Polaka Jana Pawła II, ale był nim niegdyś i tak pozostanie na zawsze. Rzym oddziaływał duchowo na Polskę począwszy od św. Wojciecha aż do niedawno kanonizowanego św. Maksymiliana Kolbego.

Pielgrzym może być przenosicielem wartości kulturalnych, nie tylko zakupionych pamiątek, ale także drukowanej myśli. Uważam, że Rzym powinien być bogaty w dorobek współczesnej myśli katolickiej. Winien być centrum dobrej informacji, ale również ośrodkiem, w którym można zaczerpnąć myśli, zabrać je do rozważenia u siebie.

Uważam, że bardzo potrzebne jest pismo, które uwzględniałoby ruchliwość Polaków: tych z Polski i tych z Polonii. Ma ono ukazywać dorobek myśli tak z kraju, jak i z emigracji, aby budować jedność polskiej kultury. Ponieważ Kościół przez wieki był zawsze rzecznikiem budowania tej jedności, owszem, niekiedy jedynym budowniczym, pragnie więc i teraz przyczyniać się do budowania wspólnoty narodowej; wspólnoty, która, wznosząc się ponad antagonizmy polityczne, staje się nośnikiem-pielgrzymem najpiękniejszych wartości w przyszłe pokolenia.

**A.M.:** Jako Prymas Polski jest Eminencja odpowiedzialny także za duszpasterstwo polskie poza granicami kraju. Jakie są dziś główne problemy religijne i wychowawcze duszpasterstwa skierowanego do ludzi rozrzuconych po świecie i znajdujących się w bardzo różnych sytuacjach? Czy praca kapłanów polskich za granicą nie musi być bardzo zróżnicowana i dostosowana do odmiennej sytuacji w krajach osiedlenia ich wiernych?

**Ksiądz Prymas:** Podjąłem się, z racji mojego urzędu, troski duszpasterskiej o Polaków poza granicami Polski. Prymasi Polski posiadają niejako wrodzony obowiązek troski o stan duchowy Polonii. Wynika to z pozycji historycznej i politycznej, jaka w Narodzie przypada Arcybiskupom Gniezna. Dbałość o Polonię Prymas Polski kardynał Hlond okazywał praktycznie z wielkim rozmachem. Sam często odwiedzał wspólnoty polskich emigrantów interesując się ich problemami i wysyłając do nich kapłanów założonego przez siebie Zgromadzenia Chrystusowców. Dziś obok dawnych i ustawicznych problemów duszpasterstwa polonijnego powstają nowe. Trzeba przede wszystkim uświadomić sobie dobrze, iż czym innym jest Polonia, a czym innym Emigracja polska. Za Polonię uważają się ludzie pochodzenia polskiego, którzy czują się obywatelami i patriotami kraju zamieszkania, ale zachowują odrębność obyczajowo-społeczną na bazie polskich i kościelnych tradycji. Emigranci natomiast to ci Polacy, którzy — choć mają zamiar na trwałe pozostać w kraju emigracji — czują się przede wszystkim Polakami i z racji

swego urodzenia i wychowania w Polsce są za takich powszechnie uważani.

Zadanie duszpasterstwa polega na jednoczeniu tego, co rozbieżne. Rozbieżności zaś w pracy emigracyjnej są daleko większe niż w jakimkolwiek innym duszpasterstwie. Konflikt pokoleń, znany powszechnie w pracy wychowawczej, na emigracji doznaje spotęgowania. Między poszczególnymi falami emigracyjnymi, od dawnych do najnowszych, zachodzą różnice nie tylko odnośnie do znajomości języka i kultury polskiej, ale także odnośnie do postawy wobec największych wartości, między innymi do Ojczyzny.

Różnice w mentalności są tak wielkie, że tylko duszpasterz — w oparciu o głęboko i daleko sięgającą naukę Kościoła — może zbliżyć grupy emigrantów, a więc grupy, które swoje przywiązanie do polskości okupiły często upokorzeniem, uporem, ofiarnością na rzecz wspólnoty polonijnej, z grupami nowymi, które — dotknięte postawą konsumpcyjną — chcą przede wszystkim „urządzić się” i w tym zakresie oczekują bezkrytycznie pojętej pomocy „starej” Polonii.

Do zadań duszpasterzy emigracyjnych należy utrzymywanie jedności z Episkopatem Polski i z programem duszpasterskim w Ojczyźnie. Uważam, że duszpasterstwo emigracyjne, jeżeli nie chce tworzyć „getta”, musi utrzymywać kontakt z Polską i z Kościołem w Polsce.

Od duszpasterza emigracyjnego wymaga się wielu kwalifikacji. Jedną z nich to gotowość do usług społeczno-administracyjnych. Duszpasterze świadczą wiele usług życiowych Polakom, pośrednicząc między emigrantem a władzami w kraju emigracji, niezależnie od zaangażowania religijnego naszych emigrantów.

Jako Prymas Polski mogę wspomagać duszpasterstwo polonijne i emigracyjne jedynie okazjnie, przez listy pasterskie, a zwłaszcza przez bezpośrednie wizyty, jednakże regularną pracę organizacji duszpasterstwa zagranicznego wykonuje Delegat Prymasa Polski, którym obecnie jest Biskup Szczepan Wesoly z Rzymu, należący do Konferencji Episkopatu Polski.

**A.M.:** Odbył Eminencja już dwie podróże duszpasterskie do środowisk polonijnych w Anglii i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Czy mógłbym prosić Księdza Prymasa o pierwsze, niejako wstępne podsumowanie wrażeń z tych podróży duszpasterskich i o ocenę stanu religijności Polaków żyjących poza krajem w porównaniu z postawami religijnymi społeczeństwa w kraju?

**Ksiądz Prymas:** Tak, obydwie podróże duszpasterskie do Anglii i do niektórych ośrodków polonijnych w USA uważam za bardzo ważne, ale podobne znaczenie miały wizyty duszpasterskie w Brazylii i w Argentynie. Odwiedziłem placówkę duszpasterstwa polskiego

w Madrycie, byłem w kilku ośrodkach duszpasterstwa polonijnego w Niemczech Zachodnich i Wschodnich.

Oczywiście, profil duszpasterstwa w Anglii jest zupełnie różny od amerykańskiego. W Anglii istnieje centrum administracyjne, jakim jest Polska Misja Katolicka, która koordynuje wszystkie prace duszpasterskie. Tego nie ma w USA, gdzie każdy biskup diecezjalny zabiega o zaspokojenie potrzeb duchowych mniejszości narodowych. W USA działają inne struktury, które skupiają aktywność całej Polonii. Duża część inicjatyw duszpasterstwa polonijnego rozwija się przy osobie Kardynała Króla w Filadelfii, Arcybiskupa Szoki w Detroit, Biskupa Abramowicza w Chicago, szczególnie przez instytucje Ligi Katolickiej, której Ksiądz Biskup patronuje przy pomocy biskupów pomocniczych. Wśród innych instytucji ponaddiecezjalnych należy wymienić przede wszystkim zespoły uczelniane z Seminarium Duchownym w Orchard Lake na czele. Delegatem Episkopatu Stanów Zjednoczonych do łączności z Prymasem Polski jest Prowincjał Księży Chrystusowców. Należy wspomnieć również „Godzinę Różańcową”, audycje radiowe, które w dużym stopniu formują modlitewne postawy Polaków w Ameryce.

Polonia Amerykańska jest bardzo wrażliwa na potrzeby materialne rodaków w kraju, stąd też duży ich wkład za pośrednictwem Kościoła w pomoc dla Polski.

**A.M.:** Wielkie zaciekawienie opinii publicznej wzbudziła zapowiedź jeszcze dwóch podróży duszpasterskich Eminencji do USA. Czy terminy tych podróży są już ustalone? Jakie ośrodki polonijne w Ameryce obejmie druga podróż, a jakie trzecia?

**Ksiądz Prymas:** Nie, terminy dalszych wizyt duszpasterskich w USA nie są ustalone. Co się zarysowuje w planach duszpasterskich na rok 1986, to wizyta pastoralna we Francji (150 lat duszpasterstwa polskiego w Paryżu) i w Kanadzie (prawdopodobnie we wrześniu). Oczywiście, te wizyty nie są skierowane wyłącznie do ośrodków polonijnych, ale uwzględniają wspólnotę braterską miejscowych Kościołów.

**A.M.:** Jest pewnym paradoksem, że ludzie doszukują się w podróżach Księdz Prymasa motywów politycznych, toteż dziennikarze interesują się głównie aspektami politycznymi wizyt o charakterze duszpasterskim. Czy nie świadczy to, niestety, o niedostatecznym zrozumieniu, czym jest Kościół i jaka jest jego główna misja? Czy nie jest to także próba instrumentalizowania Kościoła dla celów politycznych, która przecież nie ma najmniejszych szans?

**Ksiądz Prymas:** Ludzie są dziś przyzwyczajeni do dominacji polityki w życiu, stąd też odruchowo chcą ją widzieć w działaniu Kościoła. Jest to wynik uwarunkowań, które charakteryzują naszą epokę. Kościół — ponieważ przeżył różne epoki i różne mody — nie

fascynuje się tak bardzo polityką. Zachowuje w tym umiar, który wynika także z nauczania Soboru Watykańskiego Drugiego.

**A.M.:** Wszyscy wiedzą, że najczęściej jeździ Eminencja do Rzymu, do Ojca Świętego. Katolicy polscy w kraju i za granicą chętnie usłyszeliby coś bliższego o zainteresowaniu Papieża-Polaka pracą Kościoła w Ojczyźnie i sytuacją Narodu, która nie jest łatwa. Czy może Eminencja podzielić się z nami choć kilkoma wrażeniami z tak licznych spotkań i obszernych rozmów z Ojcem Świętym Janem Pawłem II?

**Ksiądz Prymas:** Ojciec Święty obejmuje troską cały Kościół i nie zaniedbuje niczego, co należy do troskliwego Pasterza Kościoła Powszechnego. Rozumiemy to i pragniemy Ojcu Świętemu w tym pomóc, a więc nie obciążać zbyt ciężkimi naszymi szczegółowymi problemami, których załatwienie znajduje się w kompetencji Biskupów Polski. Jesteśmy jednak w jakiś sposób uprzywilejowani, gdyż grupy polskich pielgrzymów mają więcej niż inni okazji do bezpośredniego spotkania się z Ojcem Świętym. Podobnie i Biskupi. Mogę powiedzieć, że moje spotkania z Ojcem Świętym są niezwykłym dialogiem. Ojciec Święty patrzy na Polskę z jednej strony z synowską miłością, a z drugiej strony widzi jej potrzeby, zwłaszcza jej Kościoła, patrząc na nie z wielkiej perspektywy powszechności Kościoła, która zakłada wielość informacji i dojrzałość oceny.

**A.M.:** Księżu Prymasie, a jak wygląda Polska z perspektywy szerokiego świata? Mnie się wydaje, że jest pewna sprzeczność między masowo manifestowaną religijnością społeczeństwa, a jego postawami moralnymi. Istnieje, jak sądzę, także dysproporcja między zainteresowaniem naszych elit i inteligencji sprawami tożsamości duchowej i kulturalnej Polski, którą przecież udało nam się, nie bez udziału Kościoła, skutecznie obronić, a niedocenianiem zagrożeń dla niezależności polskiej płynących z regresu cywilizacyjnego kraju, z niszczenia majątku narodowego, przyrody, a także ze zużycia maszyn, urządzeń, budynków itd. Jak to wszystko wygląda z perspektywy zagranicznej? Czy możemy liczyć na pomoc innych, czy też przede wszystkim na siebie?

**Ksiądz Prymas:** Poruszył Pan bardzo trudny problem. Jak nam samym trudno ocenić siebie, naszą postawę moralną względem pryncypiów ewangelicznych, tak tym trudniej nas ocenić z zewnątrz. Umykają wtedy szczegóły i dokonuje się osądu na bazie uproszczonych wrażeń. To powoduje krańcowe oceny. Jedni widzą Polaków jako heroicznie walczących o wolność, niezależność, sprawiedliwość, formują kolorowy i dramatyczny obraz Polaków ze skłonnością do idealizowania. Inni znów ze skrajnym krytycyzmem posądzają nas o powierzchowność, o lenistwo, o brak realistycznego organizowania sobie życia, o nadmierne „pielęgnowanie” alkoholizmu.

Ogólnie jednak odczuwa się wielką życzliwość dla Polski, szczerą chęć przyścia z pomocą ekonomiczną, stąd też tak ich pilne śledzenie losów Fundacji Rolniczej. Życzliwość odczuliśmy poważnie, zwłaszcza w okresie stanu wojennego, i odczuwamy nadal w formie pomocy medycznej. Nie jest to jednak pomoc, która by zdyspensowała nas od starania się o samowystarczalność w odniesieniu do najpilniejszych potrzeb życiowych.

**A.M.:** Prosiłbym jeszcze o krótkie uwagi o tym, co Kościół robi dla społeczeństwa polskiego w zakresie umacniania jego morale i obrony praw ludzkich, a z drugiej strony w zakresie niesienia społeczeństwu pomocy dzięki solidarności Kościoła Powszechnego?

**Ksiądz Prymas:** Kościół wypełnia swoją misję wtedy, gdy podaje prawdziwe normy postępowania, gdy poprawia błędy, gdy kształci wrażliwe na dobro sumienia. Czyni to w sposób pewny, gdyż pozostaje zjednoczony przez Biskupa Rzymu, Ojca Świętego, z wszystkimi biskupami świata. Lokalny Kościół w Polsce, tak jak w każdym innym kraju, czerpie bogactwo swego życia nadprzyrodzonego z tego źródła, jakim jest Misterium Kościoła Powszechnego, czyli zaczątek Królestwa Bożego wśród nas.

Nie wyczerpuję pytania, jest ono bardzo obszerne, pozwalające wnikać w głębię teologiczną, ale właśnie dlatego jestem wdzięczny Panu Redaktorowi oraz Ośrodkowi Księży Pallotyńów w Paryżu za podjęty wysiłek wydawniczy. Szczęść Boże.



**Dr Erhard Busek**  
Wiceburmistrz Wiednia

## **SĄSIEDZTWO BĘZ WSPÓLNEJ GRANICY**

### **Myśli o stosunkach między Polską i Austrią**

Przez kilka dziesięcioleci niewiele wiedzieliśmy o sobie, choć przez stulecia łączyły nas wspólne sprawy. Jednakże na pewien czas straciliśmy się z oczu, gdyż mieliśmy wystarczająco dużo własnych problemów, ale też może inni tego sobie życzyli, byśmy się nie znali. Mamy jednak wspólny los, choć chwilowo wpływają nań różne siły polityczne. Mamy także wspólny kraj ojczysty, którego nam nikt nie może odebrać: jest nim Europa Środkowa.

Kogo mamy na myśli mówiąc „my”, „nas”? Nas ludzi Środkowej Europy, żyjących w Polsce i Austrii, ciągle jeszcze niedostatecznie świadomych naszej wspólnoty. Współczesność na długi okres usunęła pamięć o wspólnotcie, a o przeszłości chce wielu — także wielu Polaków i Austriaków — zapomnieć, gdyż miała ona nie tylko dobre strony. W historii wiele naszych dróg było wspólnych, niektóre były paralelne, ale były także drogi przeciwstawne. Różna też była nasza historia: Polacy byli już dumnym narodem i królestwem, wielkim mocarstwem w Europie, podczas gdy Austria powstawała dopiero krok za krokiem, najpierw jako własność rodu Habsburgów, potem także jako twór polityczny, a wreszcie bardzo późno jako państwo o tej nazwie. Zgodnie z obyczajami ówczesnych czasów panujący mieli wiele wzajemnych stosunków rodzinnych. Kto zwiedzał zamek królewski w Warszawie oraz galerię obrazów Habsburgów w zamku Ambras koło Innsbrucka, znalazł te same twarze i nazwiska, ślady wspólnej europejskiej przeszłości. Wspólna była także obrona przed Turkami — stałym zagrożeniem ze wschodu — która w decydującym momencie dla mojego miasta, dla Wiednia, bez pomocy Polaków nie byłaby możliwa. Przed trzema laty, z okazji jubileuszu trzechsetlecia

zwycięskiej obrony oblężonego przez Turków Wiednia, obchodziliśmy „Polski rok”. Król Jan Sobieski jest postacią znaną każdemu wiedeńczykowi nie tylko dlatego, że jedna z ulic miasta przypomina jego imię, ale także dlatego, że wokół jego roli w bitwie pod Kahlenbergiem u bram Wiednia powstały legendy. Obrazują one cechy narodowe Polaków, dumę i przywiązanie do Kościoła katolickiego. Mówi się, że habsburski cesarz zrzekł się naczelnego dowództwa na rzecz Sobieskiego, gdyż król Polaków nie służy pod niczymi rozkazami. Kościół przypomina dzisiaj, że przed bitwą była celebrowana Msza święta, w czasie której Jan Sobieski był ministrantem, a kazanie wygłosił ojciec ze zgromadzenia kapucynów Marco d’Aviano. Jego statua znajduje się do dzisiaj przy grobowcu Habsburgów u kapucynów w sercu Wiednia. Różnice w politycznych systemach, w jakich żyjemy, nie przeszkodziły wspólnym uroczystościom; wspólnota historyczna przewyciężyła linie podziału systemów ideologicznych. Przyznajmy, nostalgia jest dzisiaj modna, ale co do Polski zostało jej w Austrii naprawdę dużo. Opowiada się, że Maria Teresa wybuchła płaczem po kolejnym rozbiórce Polski, lecz nie przedsięwzięła niczego, by Austria nie wzięła w nim udziału.

Wiele natomiast wynikało z polskiego wkładu w austriacką historię polityczną, duchową i kulturalną, mianowicie gdy chodzi o Galicję. Literatura austriacka byłaby nie do pomyślenia bez tych, którzy — jak na przykład Josef Roth — zamieszkiwali w Galicji. Wydarzenia polityczne znajdowały się przez długi czas w rękach takich polityków polskich, jak Badeni, Głuchowski czy Dunajewski. Do dzisiaj każdy wielki, reprezentacyjny bal w Wiedniu otwiera polonez — wiele z nich zawdzięczamy Fryderykowi Chopinowi, który komponował je tutaj w Wiedniu jako emigrant. W budynku aktualnego parlamentu, dawnego gmachu Rady Koronnej monarchii, niektóre pomieszczenia nazywają się do dzisiaj „Klubem polskim”, dla przypomnienia pokoi frakcji parlamentarnej polskich posłów. Gdy przybywa się dzisiaj do Polski południowej ze świadomością aktywnego współdziałania Austrii w rozbiórce Polski, to jest się przyjemnie zaskoczonym, że Austria mimo swej roli historycznej jest oceniana tak pozytywnie. Nie ulega wątpliwości, że ówczesna administracja austriacka rozumiała, iż należy w miarę możliwości być bardziej uczciwym wobec polskiej tożsamości, niż jak okazały się wówczas inne rządy. Z pewną przesadą legenda głosi, że istniał wtedy „Theaterzug” (pociąg wożący do teatru) z Krakowa do Wiednia, który przed pierwszą wojną światową dla przebycia tej trasy zużywał cztery i pół godziny, a dzisiaj potrzeba na to więcej niż dziesięć godzin. Sceptycy wobec nowoczesności zapytują, gdzie znalazł się postęp w kończącym się właśnie wieku dwudziestym?

Wszystko to jeszcze nie wystarczy, by powstały uczucia sąsiedztwa. Zwłaszcza gdy nie ma wspólnej granicy. Także „żelazna kurtyna”

spowodowała, że straciliśmy się z oczu. Polska nie była obecna w Austrii, a my Austriacy staliśmy się dla Polaków także bardzo odlegli. Ostatnie lata w wielkiej mierze przyczyniły się do tego, by nastąpiło niejako ponowne odkrycie Polski przez Austrię. Najpierw doszło do dyskusji politycznych, następnie do specyficznego rozwoju Polski wśród państw Paktu Warszawskiego, do pełnej napięcia przygody „Solidarności”, co zapierało nam wszystkim dech. Pojawiła się także duża ilość przybyszów z Polski, którzy wykorzystywali powstałe możliwości, a z których wielu w końcu pozostało tutaj, przynajmniej przez pewien czas jako emigranci, aby stąd udać się do innych krajów. Przybyło też wielu polskich księży, którzy umożliwiają rozwój duszpasterstwa, zwłaszcza w Wiedniu. Naturalnie, powstały także problemy, gdy czasem niektórzy Austriacy nie zajmowali właściwej postawy wobec Polaków albo gdy niewłaściwe zachowanie pojedynczych emigrantów było błędnie pojmowane jako specyfika całego społeczeństwa polskiego.

Istnieje jednak jeszcze inny korzeń ponownie odnalezionych związków, mianowicie Europa Środkowa. Jako Austriak muszę bez wymijania problemu przyznać, że my najprawdopodobniej jako ostatni odkrywaliśmy duchowy i kulturalny proces naszego wzajemnego odnajdywania się. Przed nami byli Włosi, Węgrzy, Chorwaci i Serbowie, Czesi i właśnie także Polacy, którzy przypominali, że kiedyś istniała Europa Środkowa. Inni Europejczycy pytają nas nieustannie, czym jest owa Europa Środkowa, gdzie się ona zaczyna i gdzie kończy. Mieszkańcy Europy Środkowej są z sobą zgodni: nie można jej definiować w kategoriach geograficznych, ponieważ najbardziej stanowią o niej wartości duchowe. Zasady duchowe posiadają ten walor, że przekraczają granice polityczne, nawet gdy są one tak bardzo „żelazne”. Tak oto po Czechosłowaku Milanie Kunderze, Czarnogórcu Milovanie Djilasie, Węgrze Györgym Konradzie, Polaku Stefanie Kisielewskim także niektórzy Austriacy zaczęli marzyć o Europie Środkowej. Zostali oni do tego zachęceni przez Papieża Jana Pawła II, który w czasie swojej wizyty duszpasterskiej w Wiedniu przed pałacem Hofburg na Placu Bohaterów w modlitwie w intencji Europy przypomniał historyczną rolę Austrii i Wiednia. Wiedeń został metropolią dzięki swojej roli w Europie Środkowej XIX wieku. Stał się tygłem stapiającym narody, a na przełomie wieków uważał się za stolicę duchową, dawał bowiem twórczy wkład w dziedzinie architektury i sztuki malarskiej, medycyny i nauk przyrodniczych, filozofii i psychiatrii. Tylko i wyłącznie w zasięgu dzisiejszej Austrii miasto to nie mogłoby spełniać tej roli, natomiast mogło jako centrum środkowo-europejskie.

Cóż może nas więc prowadzić do Europy Środkowej? Europa Środkowa musi dać wkład w utrwalenie pokoju, a nie tylko zrobić krok w kierunku planu Rapackiego. Ówczesny polski minister spraw

zagranicznych miał z pewnością pociągające plany dla swojego kraju, ale wyrażał także koncepcję Moskwy, uważając, że neutralizacja Europy Środkowej ma sens. Bardziej celowe, przy uznaniu realnych uwarunkowań polityki światowej, wydaje mi się zacieśnienie stosunków między państwami środkowo-europejskimi, z którego może wyniknąć także coś, co można by nazwać splotem pokoju, prowadzącym w sposób jakościowy do odprężenia. Być może pewną rolę odgrywa tu jakieś marzenie, ale dzięki marzeniom może powstać także nowa rzeczywistość. Taki układ wzajemnych stosunków prowadzi do tego, że Austriacy i Polacy są zmuszeni odnajdywać swoją tożsamość w Europie Środkowej. Dlatego winniśmy coraz więcej porozumiewać się co do naszego dziedzictwa historycznego. W przeciwnym wypadku grozi nam od dawna niebezpieczeństwo stania się „fallachami”, wieśniakami egipskimi pod piramidami, nie dostrzegającymi czynnika historycznego poza jego kamiennymi, pomnikowymi przejawami. Istnieje wielostronne zadanie przekazywania naszego dziedzictwa młodym pokoleniom, abyśmy następnej generacji po nas nie pozwolili żyć w przestrzeni pozbawionej historii i powiązań, abyśmy się nie amerykańizowali ani sowietyzowali, ale byli samodzielni, europejscy, rozwinięci, a tym samym humanitarni. To zadanie stoi zarówno przed Austrią, jak i przed Polską, choć w odmiennych uwarunkowaniach. Słowa Papieża o trosce o godność człowieka są w równej mierze aktualne dla obu krajów, ale w innych uwarunkowaniach. Jeśli w Polsce rozwój godności ludzkiej hamowany jest przez system polityczny, to u nas w Austrii czyni to system ekonomiczny, tworzący fałszywe wyobrażenia o prawdziwych wartościach. Wzajemne przypominanie i wzajemny przykład mogą tu być bardzo pomocne. Polska w jej dzisiejszej formie egzystencji stanowi dla Austriaków wskazówkę, że istnieją pryncypia duchowe, że lud i naród napotyka wyzwanie i musi być zdolny — mimo nie sprzyjających okoliczności — do zachowania swojej osobowości. Z kolei my, Austriacy, stajemy przed następującym zadaniem: nie tylko traktować z zadowoleniem naszą demokrację i nasz dobrobyt, lecz wykorzystywać istniejące możliwości, by pomóc innym w zakresie praw człowieka i potrzeb gospodarczych. Wolność Austrii będzie wtedy zabezpieczona, gdy będzie więcej wolności w Europie. Tu jednak Polska znowu stanowi dla nas wskazówkę, że Austriacy nie żyją na wyspie błogosławionych, ale położenie nasze jest w wielkim stopniu określone panującymi nad nami uwarunkowaniami. Z tego powodu będziemy wdzięczni Polakom, którzy — przy okazji albo bez niej — będą zwracali nam uwagę na naszą europejską i demokratyczną odpowiedzialność; zaś my Austriacy mamy obowiązek wypełniania wymogów sąsiedztwa. Obowiązkiem sąsiedztwa jest troszczyć się o innych, odwiedzać ich, rozmawiać z nimi oraz im pomagać. Zwłaszcza młodzi ludzie w Austrii zastanawiają się właśnie nad swymi

zadaniami. Da się je odczytać; szczególnie wtedy, jeśli przewycięży się własną wygodę i pojmie się, że miłość bliźniego nie oznacza miłości w oddaleniu.

Przy tym wszystkim nie powinniśmy mieć iluzji: nasze drogi pozostają nadal odrębne, ale znajdujemy się w tej samej okolicy geopolitycznej. My Austriacy nie możemy szukać wymówki, że znajdujemy się na Zachodzie, gdyż także Polacy nie znajdują się na Wschodzie, albowiem oba nasze narody znajdują się w Europie Środkowej. Odmienność sytuacji nie wymaga wzajemnego milczenia o sobie. Musimy mówić o naszych różnicach, poznawać je i wykorzystywać w takim zakresie, w jakim może to nam być pomocne. Jeśli powstają nieporozumienia, powinniśmy je zmniejszać, przeszkody w miarę możliwości przewyciężać i osiągać pokojowe sąsiedztwo. Nie powinniśmy czekać tylko na rządy, mamy być optymistami i zachować nadzieję na osiągnięcie naszego pokojowego sąsiedztwa także niezależnie od rządów. Stefan Kisielewski powiedział w czasie jednego ze swoich odczytów w Wiedniu, że Europejczycy powinni mieć odwagę marzyć o Europie Środkowej jako o nowej sile. Dla nas, starych Europejczyków, powinno być możliwe rozumienie siły jako potęgi ducha, kultury i pokoju. Zadaniem Polaków jest przypomnienie Austriakom, jakie mają możliwości. Jeśli znajdą się tam sceptycy, to przecież nie trzeba przypominać Polakom, że już w przeszłości zdarzały się nieraz cuda. A więc, możemy marzyć o Europie Środkowej!

*Dr Erhard BUSEK*

**Ks. Michał Czajkowski**

## **„WYJDŹ Z TWEJ ZIEMI RODZINNEJ...”**

**Rdz 12,1**

### **Słowo do pielgrzymstwa polskiego**

Każde pielgrzymowanie jest owocem i znakiem wiary. Bez wiary — staje się wycieczką, wyprawą, turystyką... Ruszając na pielgrzymkę — uobecniamy owo wydarzenie fundamentalne biblijnej wiary, jakim było u progu historii zbawienia powołanie i wyjście Abrahama: „Jahwe rzekł do Abrama: Wyjdź z twej ziemi rodzinnej Charanu i z domu twego ojca do kraju, który ci ukażę [...] Abram udał się w drogę, jak mu Jahwe rozkazał” (Rdz 12,1.4). Charan — to może być jakiegokolwiek miejsce zamieszkania Polaka w kraju czy na emigracji, a Ziemią Obiecaną — Rzym. Abram (późniejszy Abraham) wyszedł z ziemi rodzinnej, ponieważ uwierzył (zawierzył) swemu Bogu — „i Jahwe poczytał mu to za sprawiedliwość” (Rdz 15,6). Cytując te słowa Pisma dodaje św. Jakub: „i został nazwany przyjacielelem Boga” (Jk 2,23); a św. Paweł: „zrozumieście zatem, że ci, którzy polegają na wierze, ci są synami Abrahama” (Ga 3,7; por. Rz 4,3).

Człowiek Biblii — to człowiek w drodze: *homo viator*. Droga Abrahama i jego potomków-patriarchów wiodła poprzez pustynie i miasta Mezopotamii, Palestyny, Egiptu... Każdy Żyd i każdy chrześcijanin ma zakodowaną w swej wierze pamięć wielkiej wędrówki na początku historii Ludu Bożego: „oto tego samego dnia, po upływie czterystu trzydziestu lat, wyszły wszystkie zastępy Jahwe z ziemi egipskiej!” (Wj 12,41). Rozpoczęła się dramatyczna epopeja pielgrzymia o przeogromnym znaczeniu religijnym i narodowym... Czytamy potem o wyprawach w czasach Jozuego, Sędziów i królewskich; z misją wyruszyli prorocy Pańscy, nie brak wędrówek religijnych i politycznych w okresie niewoli babilońskiej i w czasach machabejskich...

„Maryja wybrała się i poszła z pośpiechem w góry do pewnego miasta w pokoleniu Judy...” (Łk 1,39). Potem z Józefem wyruszają do Betlejem, a z Dzieciątkiem do Jerozolimy, także później, gdy ono podrośnie... Nie wiemy, jak wyglądało pożegnanie z Matką i opuszczenie Nazaretu, gdy nadeszła godzina rozpoczęcia publicznej działalności mesjańskiej. Wiemy, że „wtedy przyszedł Jezus z Galilei nad Jordan...” (Mt 3,13). Wiemy, że „potem obchodził okoliczne wsie i nauczał...” (Mk 6,6). Wiemy, że „gdy dopełniał się czas Jego wzięcia z tego świata, postanowił udać się do Jerozolimy...” (Łk 9,51 — i o tej nieustannej wędrownicy mówi ewangelista aż w jedenastu rozdziałach). Gdy po Jego śmierci dwóch uczniów rusza z Jerozolimy do Emaus, nie jest to pielgrzymka wiary, jest to ucieczka zrodzona z rozczarowania, ludzkich kalkulacji i strachu; ale wtedy „sam Jezus przybliżył się i szedł z nimi!” (Łk 24,15) — i uciekinierzy wrócili do Jerozolimy jako misjonarze Dobrej Nowiny...

Już za swego ziemskiego życia posyłał Jezus swoich na misję. Ale ostatecznie w drogę wyprawi ich i nas jako Zmartwychwstały Pan: „Idźcie na cały świat!...” (Mk 16,15). Dzieje i Listy Apostolskie oraz historia chrześcijaństwa pokazują nam wymownie, jak to polecenie Pana realizowali Jego uczniowie. Niektórzy z nich — Cyryl, Metody, Jordan, Wojciech, Otton, Bruno... — dotarli aż w nasze strony. Niektórzy z nich przynieśli nam wiarę i chrzest — i to z Rzymu. Wraz z wiarą i chrztem przyjęliśmy z Rzymu przeszło tysiąc lat temu kulturę, która nas do dzisiaj kształtuje i określa... Możemy więc odnieść do nas, Polaków, w sposób szczególny słowa, które Sienkiewicz odniósł do „każdego człowieka cywilizowanego”, iż „ma dwie ojczyzny: swoją własną i... Włochy”. Ta włoska ojczyzna przybliżyła się nam gwałtownie i serdecznie, kiedy biskup Krakowa został biskupem Rzymu...

On też usłyszał wezwanie Pana: „Wyjdź z twej ziemi rodzinnej!” Domyślamy się, ile to go kosztowało i kosztuje — człowieka zakochanego w polskiej historii, poezji, górach i krajobrazach... Śpiewano mu: „Góralu, czy ci nie żal odchodzić od stron ojczystych, świerkowych lasów i hal, i tych potoków srebrzystych?” Ileż dobra zrodziło się dla nas i dla innych z tej jego ofiary... Każde wyruszenie niesie z sobą ryzyko i cierpienie („wyruszyć — to umrzeć trochę” — mówią Francuzi). Każda pielgrzymka jest jakimś ruszeniem naprzód, wyruszeniem w nieznaną, ryzykiem i przygodą, wyjściem „z niewoli egipskiej”, niebezpieczeństwem, trudem i cierpieniem... Wprawdzie wiemy, dokąd jedziemy czy idziemy, i może bilet powrotny mamy już w kieszeni, ale Pana Boga nasze bilety i asekuracje nie obchodzą... Kardynał Wojtyła też miał bilet powrotny, i to lotniczy — i na nic mu się to nie zdało wobec Woli Bożej. Niebezpieczna to dla człowieka rzecz dać się prowadzić Bogu... Prawdziwe to nieraz misterium

paschalne. Ale gdzie Pascha — tam Jezus, Ukrzyżowany i Zmartwychwstały. To już nie wędrówka samotna i bezsensowna: „i chodź ze mną zbawić świat — dwudziesty już wiek”. Tak w pieśni mówi Pan. A poeta wyznaje: „Dogoniłeś mnie, Jeźdźcze niebieski...”

Abraham czy biskup Krakowa wyruszyli realnie, boleśnie realnie, podobnie jak wyrusza misjonarz: „do kraju, krócy ci ukażę”. Nasza zaś wędrówka jest krótka i symboliczna. Ale w tej symbolice jej walor ogromny: oznacza pielgrzymkę duchową, która trwać ma całe życie, tak jak Abrahamowa (czy papieska). „Samo wyruszenie na pielgrzymkę jest wyrazem naszego zawierzenia Bogu i naszej determinacji, by porzucić to wszystko, co jest jakimś zasiedzeniem, zadowoleniem w sprawach niezbyt dobrych, obrośnięciem w materializm i kompromis ze złem — i by pójść ku nowemu życiu, życiu wynikającemu z wiary, życiu wyznaczonemu na każdym etapie drogi przez Boga, któremu myśmy zawierzyli” (St. Grabska). Droga, którą pociągami, autokarem, samochodem czy samolotem przebywamy do Rzymu oraz pielgrzymowanie po Wiecznym Mieście mają nam posłużyć do przemyślenia tej drugiej i długiej, i trudnej drogi, która nas czeka po powrocie z Włoch...

W tym przemyśleniu zadań nowych, które nas czekają po powrocie, może nam pomóc świadomość, że wędrujemy jak Żydzi wyzwoleni z Egiptu odbywający drogę przez pustynię do ziemi Kanaan. W tej drodze ubogaceni zostali przez Boga Przymierzem z Dziesięciorgiem Przykazań i karmieni byli cudowną manną. Podobnie i my w naszej rzymskiej pielgrzymce mamy przeżyć wiarę naszą w Nowe Przymierze — na nowo i mocniej związać się z naszym Panem i przyjąć raz jeszcze „przykazanie nowe”, przykazanie Jezusowej miłości, przykazanie naszej wzajemnej solidarności. A karmieni podczas pielgrzymki obficie i owocnie manną Słowa i Eucharystii mamy przetwarzać się w Lud Boży, nie tylko jako grupa pielgrzymkowa, ale w łączności z wszystkimi pątnikami i z wszystkimi rodakami oraz z całym światem chrześcijańskim.

Pielgrzymowanie zakłada bowiem zmianę nie tylko miejsca, ale także stosunku do Boga i ludzi, zakłada nawrócenie: „Nawracajcie się i wiercie w Ewangelię!” (Mk 1,15); „Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest wasz Ojciec niebieski” (Mt 5,48); „Trzeba porzucić dawnego człowieka [...] i przyoblec człowieka nowego” (Ef 4,22.24); „Jak przyjęliście naukę o Chrystusie Jezusie jako Panu, tak w Nim postępujcie” (Kol 2,6); „Jeśliście więc razem z Chrystusem powstali z martwych, szukajcie tego, co w górze [...] dążcie do tego, co w górze” (Kol 3,1-2). Człowiek wzywany jest nieustannie do wędrówki duchowej, do wzrostu duchowego, do wzrostu w człowieczeństwie. Bo póki jest w drodze, póty może zmieniać swoje bytowanie i swoje działanie, może przybliżać się ku osobowej pełni, w łączności z Panem i Zbawicielem, Pielgrzymem i Przewodnikiem, Jezusem Chrystusem.



Duchowym celem każdej pielgrzymki jest Ziemia Obiecana. Dla nas, uczennic i uczniów Jezusa Chrystusa, jest nią Królestwo Boże przez Niego nam zwiastowane i przybliżone (por. Mt 4,17 i Mk 1,15). Urzeczywistni się ono w pełni, gdy Jezus powróci. I wtedy dobiegnie kresu pielgrzymka ludzkości. I wtedy dokona się w pełni jedność ludzi z Bogiem i pomiędzy nimi samymi w Duchu Świętym. Przedblask tego Królestwa i tej jedności już widzimy oczyma wiary, jak tamci uczniowie, których Jezus wyprowadził na Górę Przemienienia. Ale pielgrzymujemy na Wzgórze Watykańskie (czy na Jasną Górę Zwycięstwa w Polsce) nie po to, aby tam rozbić namioty i spocząć. Pielgrzymujemy, aby tam pokrzepić się, by nie ustać w drodze życiowej. Pielgrzymujemy, aby tam z obłoku chwały usłyszeć Słowo Boże, przyjąć Wolę Bożą, zdecydować się na posłuszeństwo Jezusowi samemu (zob. Mk 9,7). Pielgrzymujemy, aby tam w blasku chwały uwierzyć w zwycięstwo Boga poprzez cierpienie (zob. Mk 9,9), uwierzyć, że „zbawienie przyszło przez krzyż” — i wrócić do szaryzny naszego powszedniego dnia, by walczyć o prawdę i sprawiedliwość, by służyć człowiekowi biednemu i krzywdzonemu, by „nie dać się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężać” (Rz 12,21).

Duchowym celem każdej pielgrzymki jest Królestwo Boże w nas i wokół nas — i o tym nie możemy zapomnieć, kiedy ruszamy do Rzymu i poruszamy się po jego ulicach, placach, świątyniach, ruinach, katakumbach, muzeach i sklepach. Poruszamy się, a nie biegamy z wywieszonym językiem („z jedną chętką: by dużo, byle jak i prędko”). Trzeba umieć chodzić po tym Mieście w zamyśleniu i modlitwie, napawać się duchem jego i próbować zrozumieć, czym ono jest... A papież? „Być w Rzymie i papieża nie widzieć”?! — zwłaszcza teraz, kiedy to „kość z naszych kości i ciało z naszego ciała”?... Oczywiście, wędrujemy do „polskiego papieża” — ale nie po to tylko, żeby mu nowy hymn narodowo-religijny zaśpiewać: „Sto lat”. Po to przede wszystkim doń wędrujemy, aby usłyszeć orędzie jego słów i czynów, a jest to orędzie Ewangelii. Cóż z tego, że będziemy tak dumni z „naszego” papieża, a to, o co mu tak bardzo chodzi, przejdzie nam obok uszu i obok serca?

Cieszymy się Janem Pawłem II ogromnie i odwiedzamy go w Rzymie, jak nas o to prosił. Ale pielgrzymujemy do grobu św. Piotra, pielgrzymujemy do źródeł chrześcijaństwa, pielgrzymujemy do krwi tam przelanej, pielgrzymujemy do wiary tam kiedyś i dziś wyznawanej, pielgrzymujemy do Kościoła Powszechnego. Zamknęci w ciasnym kręgu naszych polskich dum i kłopotów — tam otwieramy nasze uszy, oczy i serca na wielką rodzinę Chrześcijaństwa i na wielkie bóle świata... Temu otwieraniu służy także posługa „Piotra naszych czasów”. W Rzymie nie można myśleć tylko o sobie, o swoim kraju, o „swoim” papieżu! Tam Ewangelia zwiastowana jest rzeczy-

wieście „wszelkiemu stworzeniu”, tam Eucharystia staje się nadzwyczaj wymownie sakramentem powszechności i jedności, tam jakże głośno rozlega się profetyczny głos Kościoła w obronie wolności i godności każdego człowieka. Choćby żył na krańcu świata, w Rzymie nie jest on zapomniany — i tę wrażliwość na każdą biedę trzeba wieść z sobą z Rzymu troskliwie, przez wszystkie granice i cla...

Dlatego że jest to Kościół Powszechny, nie może zapomnieć o żadnym człowieku, zwłaszcza słabym i uciskanym. Dlatego że w Rzymie dotykamy pulsu Kościoła Powszechnego, czujemy się tam u siebie w domu. Nie dlatego, że mamy tam „swojego” papieża, nie dlatego, że jesteśmy lepsi od innych (bo nie jesteśmy), ale że Rzym to dom każdego chrześcijanina — jesteśmy tam u siebie. Nigdy nie zapomnę, jakimi słowami nas, kolonię polską w Rzymie i nielicznych przybyszów z kraju, witał u siebie, w pałacu apostolskim na Watykanie, papież Jan XXIII (gdy byłem rzymskim studentem): „Pokój wam, którzyście daleko, i pokój tym, którzy blisko, bo przez Chrystusa jedni i drudzy w jednym Duchu mamy przystęp do Ojca. A więc nie jesteście już obcymi i przychodniami, ale jesteście współobywatelami świętych i domownikami Boga — zbudowani na fundamencie apostołów i proroków, gdzie kamieniem węgielnym jest sam Chrystus Jezus!” (Ef 2,17-20). Nigdy nie zapomnę.

Czy tylko dlatego — z tych racji teologicznych — jesteśmy współobywatelami i domownikami w Rzymie? A racje historyczne i cywilizacyjne? Pisał polski Rzymianin (J. Gawroński): „Polski nigdy nie dosięgły podboje cesarów. Z cywilizacją Rzymu Polska zetknęła się o cały tysiąc lat później. Ale następnie przez całe tysiąclecie swego historycznego istnienia Polska utrzymywała z Włochami stosunki tak bliskie, głębokie i trwałe, jakich nie miało żadne inne państwo europejskie. Zdumiewać musi, że były to stosunki przede wszystkim kulturalne, które tylko w wyjątkowych wypadkach miały podkład polityczny. [...] Sprawiedliwość dawnych Rzymian twarda i bezwzględna, ożywiona następnie chrześcijańskim duchem miłości bliźniego, który także z Rzymu szedł, stała się podstawą nowoczesnego humanizmu. [...] Polska szczególnie żywo odpowiedziała na ten podwójny zew Rzymu: Rzymu starożytnego i Rzymu chrześcijańskiego. [...] Polska dusza nie byłaby tym, czym jest, gdyby jej piastowski początek nie został ukształtowany przez rzymskie prawo i rzymskie chrześcijaństwo. [...] Nie ma chyba nic bardziej pasjonującego, niż błąkać się po Rzymie i szukać poszlak, skądśmy są”.

Pielgrzymujemy do św. Piotra, pielgrzymujemy do źródeł, pielgrzymujemy do krwi i wiary. Pielgrzymujemy do naszego domu. Pielgrzymujemy też do piękna, które — choćby pogańskie — zawsze jest Boże. Pielgrzymujemy do Kościoła Rzymskiego — i do Kościoła

Powszechnego. Pielgrzymujemy dzisiaj do wczoraj — i do dzisiaj. „Niech ta pielgrzymka do grobów Piotra i Pawła, pielgrzymka po śladach początków chrześcijaństwa i całej jego historii, wzbogaci was wewnątrz i umocni waszą wiarę, nadzieję i miłość!” (Jan Paweł II do Polaków z kraju i emigracji).

*Ks. Michał CZAJKOWSKI*

## **Z dziejów kultury polskiej**

„Dziennik” Wacława Borowego (1890—1950), historyka literatury i krytyka literackiego, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, członka PAU i WTN, prowadzony przez blisko 40 lat (od rozpoczęcia studiów w 1909 roku aż do śmierci) stanowi cenne źródło do poznania życia literackiego trzech epok historycznych: dwudziestolecia międzywojennego, okresu okupacji niemieckiej oraz pierwszych lat po 1945 roku. Z obszernego manuskryptu, liczącego kilka tysięcy stron maszynopisu, wybraliśmy relację Borowego z pierwszego — po drugiej wojnie światowej — Zjazdu Literatów Polskich, który odbył się w Krakowie. Warto — z kilku powodów — przyrzeć się sporom ideowym tamtego czasu. Ówczesne dyskusje nie były jeszcze skażone smutnymi, zniechęcającymi do jakiegokolwiek wymiany zdań doświadczeniami ostatniego czterdziestolecia. Charakteryzowały się otwartością i bezpośredniością, pragnieniem współdziałania i wolą pracy dla wspólnego dobra. Niestety, nazbyt często ludzie o przekonaniach zbliżonych do poglądów profesora Wacława Borowego byli odsuwani od wpływu na kształt ideowy instytucji kulturalnych (takich jak wydawnictwa, redakcje czasopism, programy szkół i wyższych uczelni etc.), nikt ich nie wysłuchiwał ani nie wprowadzał w życie ich roztropnych rad, ich głos pozostawał wołaniem na pustyni. Dobrze, że po latach można wydobyć z archiwów świadectwo na światło dzienne i dzięki temu ukazać w nieco innej, niż czynią to opracowania marksistowskie, perspektywie powojenną genezę Związku Literatów Polskich — instytucji tak bardzo zasłużonej dla kultury polskiej.

Przypisy pochodzą od edytora i mają za zadanie ułatwić lekturę „Dziennika” Wacława Borowego.

Wacław Borowy

## Z DZIENNIKA

Kraków, 29.VIII.1945 (śr.)

Wedle instrukcji (prawie w ostatniej chwili otrzymanej) stawilem się o 6 pp. na dworcu towarowym (który jest teraz naczelną stacją kolejową Warszawy). Ok. 7 wyjechalismy. W Krakowie stanęliśmy dziś o 12 1/2. Czyli jazda trwała ok. 18 godzin! Koszmar! Pierwsze zwłaszcza godziny były nie do zniesienia. Kiedy sobie uprzytomniłem, że po trzech godzinach ledwieśmy dojechali do Milanówka, opanowało mnie przerażenie. Chciałem uciekać (mogłem być się dostać jeszcze do domu Antoniewiczów<sup>1</sup> i tam zanoćować). Dopiero całkowitą mobilizacją woli zdołałem się opanować. — Warunki jazdy były stosunkowo niezłe, bośmy dostali kilka przedziałów (ale ich „rezerwowanie” zaczęło się dopiero w jakiejś 20 minut po przyjeździe pociągu, kiedy wszystkie były już zapełnione ludźmi; ci, naturalnie, wymyślali i na zarząd kolei, i na nas). Moimi sąsiadami byli St. Dziukowski,<sup>2</sup> pp. Czermińscy,<sup>3</sup> Kozikowski,<sup>4</sup> Anna Kowalska<sup>5</sup> i Miller.<sup>6</sup> Dość się przyjemnie gadało (dopiero późną nocą mogłem zasnąć). Dowiedziałem się tego i owego: że Sebyła<sup>7</sup> zginął (ale gdzie? jak? kiedy? nikt nie umiał mi powiedzieć), że Wat<sup>8</sup> w Kazachstanie (kto by pomyślał); że Wasylewski<sup>9</sup> (redaktor „Czerwonego Sztandaru”, potem „Gazety Lwowskiej”) uszedł ze Lwowa, jest gdzieś w Krakowskim i robił starania o dostanie się z powrotem do Związku Literatów; Czer. opowiadał o stosunkach w Polpressie (na ogólną liczbę 130 pracowników jest tam 6 osób nieżydowskiego pochodzenia).<sup>(\*)</sup>

Po strasznych godzinach podróży nocnej noga za nogą pocieszył mnie widok pagórków kieleckich i krakowskich. Po sześciu latach niewidzenia wydały mi się cudem. Jeszcze bardziej olśnił mnie Kraków. Doznawałem uczuć takich, jak ongi po przyjeździe do Wenecji, do Werony, do Paryża. Jakież przepiękne widoki! Jaki czar starych a nie zniszczonych murów! Jakie nieprawdopodobieństwo normalnego życia w tym otoczeniu! Jaka bujność ruchu! Jakie bogactwo w sklepach! Jaka elegancja! Działa tu nie tylko kontrast z ruinami Warszawy, ale i ślady dobrobytu, w który Kraków opływał za czasów niemieckich. Dzień ciepły, słoneczny wzmacnia kontrasty światła i cieni, dodaje wszystkiemu południowego uroku.

(\*) Borowy przytacza plotkę będącą powszechnie w obiegu. Przestrzegamy przed przypisywaniem mu antysemityzmu. Red.

Organizacja Zjazdu mniej świetna. Nikt nas nie spotkał na stacji, niepotrzebnie wlekleśmy się na Krupniczą 22 (do domu związkowego, dwa takie są w Krakowie), po to tylko, żeby się dowiedzieć, że mamy pokoje zamówione w Hotelu Francuskim; tam znowu się okazało, że trzeba czekać, aż się coś zwolni (niekoniecznie w samym Hotelu Francuskim, bo jest to stacja rozdzielcza dla wszystkich w ogóle hoteli krakowskich). Była już godz. 4 po południu, kiedy się wreszcie mogłem umyć, ogolić i położyć (w dwuosobowym pokoju Hotelu pod Różą, który mi wypadło dzielić z miłym towarzyszem Stanisławem Dzikowskim).

Podniesienie turystyczne zresztą nie pozwoliło długo odpocząwać. — Do niespodzianek, którymi Kraków mnie zaskoczył, należy przede wszystkim sam dom Związkowy na Krupniczej: duży, solidny, b. dobrze urządony (przed wojną należał on do jakiegoś stowarzyszenia urzędniczego; w czasie okupacji, naturalnie, zagarnęli go Niemcy, ale na ich gospodarce źle nie wyszedł). Ma bardzo miłą salę jadalną, jego podwórze przylega do ładnego ogródka, w którym urządzona jest kawiarnia (z parasolami). W domu mieszka koło dwudziestu literatów z rodzinami (m.in. A. Górski<sup>10</sup>, Wolert<sup>11</sup>, Mortkowicz-Olczakowa<sup>12</sup>, Kruczkowski<sup>13</sup>). Synowa Artura G. do spółki z jakąś drugą panią prowadzi bufet i stołówkę domu. Inna niespodzianka to wielka księgarnia i antykwarnia „Czytelnika” — na rogu Rynku i placu Mariackiego. Prowadzi ją (doskonale) Antoni Trepieński,<sup>14</sup> b. współpracownik warszawskiego „Logosu”. Odnawiam z nim znajomość. Dowiaduję się, że w Krakowie jest Jan Michalski.<sup>15</sup> Oglądam samą księgarnię, ale w ciągu 1/2 godziny ledwo drobną część mogę zlustrować. Dużo ciekawych rzeczy i niedrogo liczone. Trepieński m.in. potwierdza wiadomość o Juliuszu Gomulickim,<sup>16</sup> że żyje, że jest w obozie pod Hamburgiem.

Urok dobrej herbaty z doskonałym ciastkiem, urok wędrówki o zmierzchu po ul. Floriańskiej, urok przejażdżki tramwajem koło Dominikanów i Franciszkanów. Tę ostatnią przyjemność zawdzięczam nudnej skądinąd formalności meldunkowej: bo nie wystarcza podać dane personalne w biurze hotelu — trzeba jeszcze iść do komendy policji i tam te same dane podyktować zmęczonemu żołnierzowi.

Spotykam sporo znajomych: Jalu Kurka<sup>17</sup> (który mi o swoich przejściach wojennych opowiada: jak się wałęsał na Podkarpaciu, ubezpieczony stanowiskiem rewidenta eksportu drzewa i pisał opowieść o Janosiku-partyzancie), St. R. Dobrowolskiego<sup>18</sup> (który przeszedł przez obóz po powstaniu, wyłonił się z niego jako porucznik i redaguje „Polskę Zbrojną”; dowiedziałem się od niego o śmierci Salomei Neris<sup>19</sup>), Artura Górskiego (dobrze się trzymającego) etc., etc. Wpadam na chwilę do Pigionia;<sup>20</sup> ten, niestety, w depresji, długo mu perswaduję, że nie wolno się poddawać fali, że w szczególności nie

powinien zrezygnować z udziału w Komitecie Redakcyjnym wydania Mickiewicza.

Ciemną zielen plant i niebotyczną sylwetkę Kościoła Mariackiego mam w oczach, kładąc się do łóżka w hotelu mało wykwinnym co prawda, ale mającym tradycję wizyt Napoleona i Balzaka.

### 30.VIII. (cz.)

Spotykam się rano z Janem Michalskim. Opowiadam mu o zachodach w sprawie Instytutu Polonistycznego. Na szczęście, on niezależnie od tej sprawy postanowił się przenieść do Warszawy. Komplikuje rzecz jednak przez to, że nie chce teraz swoich zbiorów ofiarować Uniwersytetowi na własność, ale tylko w depozyt. To bardzo utrudni, jeśli nie uniemożliwi kreacji Instytutu.

Ok. 11 zaczynają się obrady związkowe, w domu Instytutu Słowiańskiego na Gołębiej 20. Ok. 100 osób. Program do ostatniej chwili nie był ujawniony. Okazuje się, że pierwszy poranek wypełnić mają odczyty wyrazicieli przekonań urzędowych „Odrodzenia” i „Kuźnicy”: Ważyka,<sup>21</sup> Jastruna,<sup>22</sup> Przybosia,<sup>23</sup> Kornackiego,<sup>24</sup> z dodatkiem jeszcze podrzędniejszego Polewki.<sup>25</sup> Referaty filarów ideologii urzędowej nie zostały nawet opatrzone tytułami: za tytuły mają starczyć nazwiska. Istotnie mogą wystarczyć, bo słyszymy, to cośmy już dziesiątki razy czytali.

Ważyk gromi wiarę w twórcze siły intuicji i upewnia, że tylko rozum ludzki ma zdolność budowniczą. Potępia (uznawany niemal powszechnie do niedawna) podział twórczości na świadomą i podświadomą. Ale kryzys kulturalny naszych czasów — ciągnie — sięga głębiej: jest to kryzys idealistycznego myślenia. Decydującą rolę w walce o los narodu naszego odegrało państwo, zbudowane na zasadach materializmu społecznego: ono, rzecz zrozumiała, musi mieć wpływ i na dziedzinę naszej myśli. Czołgami i armatami państwo to dowiodło wobec historii, że jego system jest słuszny. System ten głosi m.in., że człowieka nie można atomizować, jak to przeważnie robiła kultura przedwojenna. Człowiek nie może być traktowany tylko jako zbiór luźnych stanów duchowych. „Możemy się różnić w gustach, ale wszyscy jesteście dziś humanistami” — to najważniejsza nauka tej wojny.

Jastrun podobnie: przypomina, że okres między dwiema wojnami cechuje wiara w wartości irracjonalne. Panował też w tym okresie konstruktywizm, który na nic twórczego nie mógł się zdobyć, bo nie miał oparcia w życiu społecznym. Bożyszczem był eksperyment literacki. Człowieka roztopiono na luźne elementy składowe. Biologizm podał rękę mistycyzmowi. Wielbiono poetów takich, jak Mallarmé, Supervielle czy Leśmian, którzy byli przedstawicielami jednej struny. Poezja taka to poezja dla „dziesięciu” (tu wszystkich

oczy zwracają się na Przybosia). Tradycjonałiści znowu chcieli nas racyzić naśladownictwami, co też jest niemożliwe. Katastrofa fałszyżmu jest zarazem katastrofą wyznawców wszystkich tych fałszywych kierunków kulturalnych i estetycznych: atomistów, mistyków, stylizatorów, konstruktywistów itp. Pisarze, których dziś czcimy, mają wymowę moralną: to Balzac, Tołstoj, Żeromski, Romain Rolland. Czcimy pisarzy humanistów, ale humanizm nie wystarcza, jeśli nie jest oparty na żadnym systemie myśli moralnej: jest oderwany i martwy. Patrzymy na wysiłki myśli i twórczość pisarzy radzieckich. Z zagranicy nadchodzą do nas zwiastuny nowej literatury humanistycznej. W bardziej przyzwoity sposób to samo wywodził Polewka.

Po krótkiej przerwie miała się zacząć dyskusja. Zapisywano się do niej opieszale. Kilku zgłoszonych zrezygnowało. Wynik był ten, że ja się pierwszy znalazłem na liście. A zapisałem się „na wszelki wypadek”, aby powiedzieć, co mi sumienie nakazywało, w razie gdyby tego nikt inny nie powiedział. W tych okolicznościach nie było rady: trzeba było być pierwszym. Zacząłem od komplementów dla mówców za znakomitą formę ich odczytów, za wielką jasność ich wywodów. Wyraziłem radość starszego pisarza, który w młodszym pokoleniu widzi realizację wielu swoich ideałów: potępienie mętnopisarstwa, potępienie idei tworzenia odruchowego, odstąpienie się od (jakże długo apoteozowanych!) ciemnych instynktów, odrzucenie atomizacji człowieka na poszczególne stany duchowe, veto przeciwko zwolnieniu jednostki z odpowiedzialności moralnej, wykazanie bezpłodności eksperymentatorstwa estetycznego, wrzucanie ramion dla konstruktywizmu i stylizacji. Nawet pozytywne tezy programu tych pisarzy budzą we mnie radość afirmacji: kiedy np. słucham o uniwersalizmie ideałów artystycznych, kiedy np. p. Przyboś mówi, że nie chodzi o sztukę narodową na miarę Polów czy Strugów, ale na miarę Chopinów, Norwidów czy Karolów Szymanowskich. Dlaczegoż jednak coś mnie od tych mówców oddała? Coś! Zastanawiam się przez dłuższą chwilę nad tym, co właściwie. Myślałem, że może jest to właśnie jakaś mgławica mistyczna, jakaś ciemna podświadomość; i nagle uprzytomniłem sobie, że tym czymś, co mi każe od pewnego punktu przeciwko ich wywodom protestować jest *rozum*. Uprzytomniwszy to sobie, postanowiłem zabrać głos w dyskusji. Rozum mój nie jest zadowolony, kiedy słyszę, że dla wykazania błędności wspomnianych kierunków estetycznych i kulturalnych trzeba było dopiero ideologii czysto materialistycznej, dopiero ekonomizmu historycznego. Czyż naprawdę tak było? Czy może Kościół katolicki był zwolennikiem atomizmu psychologicznego? Czy humaniści nowocześni w rodzaju Irvina Babbitta albo T. S. Eliota zwalniali jednostkę od odpowiedzialności moralnej? Czy Croce wielbił hermetyzm Mallarmégo? Czy Chesterton zalecał czysty konstruktywizm? Czy Duhamel gloryfikował ciemne siły instynktu stadnego? Czy Sygryda



Undset była raczej rzeczniczką pustego estetyzmu? Chyba nie. A czyż to są głosiciele nienawistnych haseł faszyzmu? zaprzysięgli reakcjonści? Chybaż nie, także. Ich przekonania zresztą bardzo się od siebie różnią. Co je łączy — to może — w największym skrócie rzecz wyrażając — przeświadczenie, przeświadczenie że sam rozum nakazuje uznać, że nie on jeden stanowi o człowieku. Prócz rozumu są jeszcze inne czynniki. Można, naturalnie, nazywać je wyrazami wymyślnymi a pogardliwymi. Ale można je także określać spokojnie i po prostu: serce, sumienie.

P. Kornacki, bliższy zapewne dzisiejszych referentów niż mnie, użył wyrazów „przykazanie Boże”. Jakkolwiek je nazwiemy, są to nie mieszczące się w systemie materialistycznej interpretacji świata imponderabilia. Sami referenci, w moim przekonaniu, stwierdzili, że je uznają. Boć przecie mówili, że o słuszności ich idei świadczą czołgi i armaty. Ale przecież nie powiedzieli, że przeciwko nam, ich ideowym przeciwnikom, użyją czołgów i armat. Z uśmiechu na twarz p. Ważyka i z liryzmu w głosie p. Jastruna wnosić można, jak samo takie przypuszczenie jest absurdalne. A przecież, jeśli byśmy samego rozumu pytali, to dłaczegóżby, skoro się dysponuje czołgiem i armatą, nie zrobić już zupełnego porządku? O godności, świętości człowieka sam rozum nie mówi, te przeświadczenia płyną skądinąd. Ale w ogóle z tymi czołgami i armatami to nie taka prosta sprawa. Czołgi i armaty są mocne, prawda. Ale teraz słyszymy ciągle o bombie atomowej, która jest jeszcze mocniejsza. Otóż zapytuję, czy bomba atomowa została skonstruowana w środowisku, które żyje ideologią materializmu historycznego. Jeśli wolno wnosić z pism Eddingtona, Jeansa, Whiteheada, to chyba nie. Przyznaję, że w innych okolicznościach wstydzilibym się wystąpić z takim kontrargumentem. Ale w pewnych wypadkach kontrargumenty muszą być takie jak argumenty. Nie zajedziemy daleko tam, gdzie w walce o myśli będziemy się posługiwać czołgami i armatami, choćby tylko... słownie. Nie potrzeba zresztą takich akcesoriów dla uwydatnienia wartości dzieł pisarzy radzieckich. I ja pisarzom radzieckim, zwłaszcza krytykom, niejedno zawdzięczam, choć nie podzielam ich przekonań materialistycznych. Morał ze wszystkich uwag jaki? Nie dogmatyzujmy zbyt pośpiesznie i w dziedzinie niewłaściwej, nie stosujmy metod inkwizycji w wieku XX. Miejmy tolerancję, którą mieli wielcy rewolucjoniści. Nie znieważajmy historii. Słusznie chwalono tutaj humanizm, do którego kultura radzieckiej Rosji dopracowała się w poważnym trudzie dwudziestolecia. Ale też każdy, kto zna dzisiejszą Rosję, przyzna, że tam o Puszkynie nie można pisać tak, jak u nas pisuje się teraz np. o Norwidzie. Organizujmy myśl polską jak możemy najlepiej. Wyznaczajmy jej perspektywy uniwersalne. Starajmy się o to, żeby nasze ideały artystyczne były w harmonii z naszymi ideałami społecznymi. Ale nie symplifikujmy. Zwłaszcza nie symplifikujmy

zanadto emocjonalnie, choćby przedmiotem naszej emocji był — *rozum*. Przy pewnych argumentach taki emocjonalny stosunek do rzeczy wytwarza jakąś atmosferę terrorystyczną. A *rozumowi* potrzebny jest spokój.

Nie bardzo byłem rad z tego swojego demagogicznego (z konieczności) występu. Jego skutki jednak okazały się dobre. Spotkałem się z aplauzem i różnymi powinszowaniami, m.in. ze stron najnieprawdopodobniejszych (Ewa Szelburg „dziękowała” mi; skąd ta właśnie? nie docieknę; Przyboś zaszczycił mnie uwagą, że można się ze mną nie zgadzać, trzeba jednak we mnie uznać dobrego fehmistrza), ale, co ważniejsza, sam „front Odrodzenia” zrezygnował z dalszych ataków: przeciwnie, jego mówcy wystąpili po południu z akcentami bardziej ludzkimi i pojednawczymi. „Nie chodziło o narzucanie programu — mówił Ważyk — ale o wywołanie dyskusji, a ta okazała się płodna”. Podobnie Putrament (ciekawy typ: coś z kresowego warchoła, ale zarazem i z Savonaroli): Nie mamy monopolu prawd, musimy się ich powoli dopracować i powoli zdobywać wpływ na społeczeństwo. Przy takim stawianiu sprawy można ich było nawet oklaskiwać. Dobrzy to mówcy, na ogół, trzeba przyznać. Putrament przyzwyczajony widać do „masówek”, bo strasznie krzyczy, ale styl ma żywy, płynność wielką. Okazem mówcy popularnego, popadającego w ordynarne efekty, ale na ogół interesującego, jest Polewka. Lubownik „soczystych” wyrażzeń, osiąga on dzięki nim znaczną plastykę. W swoim popołudniowym przemówieniu przedstawił dwa obrazy: obraz nogi żołdackiej („wszystko jedno w jakim mundurze”) kopiającej książki i obraz zabijania dzieci żydowskich w miasteczkach przy milczącej radości 80 % polskiej inteligencji w sąsiedztwie. Te rzeczy krzyczą, wołał. Jeśli one wrócą, to wszystko, co my robimy, jest dziecinną zabawką. I, niewątpliwie, miał słuszną.

Przewodniczącym zjazdu jest Jan Wiktor.<sup>26</sup> Wygłosił na początku kilka zdań skromnych, ale uczciwych. W pewnej chwili oświadczył, że wpłynął wniosek zarządu, aby wysłać depesze hołdownicze do Bieruta<sup>27</sup> i do Osóbki<sup>28</sup>, a pozdrowienia do Rzymowskiego<sup>29</sup> i Kowalskiego<sup>30</sup> (ministra Kultury i Sztuki). Nastąpiło głucho milczenie, a Wiktor zaczął mówić o czym innym. Wtenczas poderwał się wściekły Putrament<sup>31</sup> i zawołał, że przecież nad tymi depeszami powinno się zarządzić głosowanie. Na co Wiktor: rozumiem, że były przyjęte przez aklamację. Ale, jeśli są wątpliwości, zapytuję: kto jest przeciwny? Naturalnie nikt się nie odezwał.

Sporo było rozmaitych przemówień „reprezentacyjnych”. Przedstawił Związek Związków Pracowniczych wygłosił przemówienie krótkie i proste, acz z kilku fałszywymi metaforami. W górne tony uderzył reprezentant TUR, pięknie ubrany młody człowiek nazwiskiem Tęczar. Konsumentami kultury — mówił — była dotąd tylko wąska klika posiadaczy. Teraz muszą kulturę konsumować masy. Na

te masy też powinna być obliczona twórczość. Masy proszą o poezję, ale poezję przystępną. Bo rzesze robotnicze nie umieją rozwiązywać rebusów. (Tu oczy wszystkich zwracają się na Przybosia, ktoś jeden bije brawo, Leon Kruczkowski się śmieje).

Nie mniejsze wrażenia, jak na sali obrad, ma się w kuluarach, bo iluż dawno nie widzianych znajomych! M.in. Parandowski,<sup>32</sup> z którym się serdecznie witamy. Dalej: Artur Chojecki,<sup>33</sup> Zarębski,<sup>34</sup> Zaręba<sup>35</sup> etc. etc. W pewnym momencie widzę starego Nitscha<sup>36</sup> przez drzwi zaglądnącego do sali, niestety, nie mogę podskoczyć, żeby się z nim przywitać. Z trudem rozpoznaję Juliusza Wirskiego.<sup>37</sup> Ten nawet przemawia. Rozwlekłością i megalomanią psuje wrażenie swojej śmiałości, a śmieie się wyraził, że wielkości nie ma bez wolności, wolność zaś była większa w dwudziestoleciu międzywojennym, aniżeli teraz, i cała młodzież na to się skarży (tu moja sąsiadka Wanda M.<sup>38</sup> szepnęła: „Trzeba było wariata, żeby to powiedział”).

Innych jeszcze znajomych spotykam w lokalu Związku, m.in. Grzebieniowskiego. Na ul. Krupniczej widzę przechodzącą p. Zofię Iwaszkiewiczową i, naturalnie, zaczepiam ją, choć idzie w towarzystwie. Syn jej dostał tu zajęcie w Banku Komunalnym, więc się oboje przenieśli. Miała niedawno wiadomość o swoim mężu: od człowieka, który z nim razem, już po powstaniu, był w jakimś obozie niemieckim, potem się dopiero rozdzielili, więc może żyje? Obfityść wrażeń, ale też i nużą one. Nie mam już sił skorzystać z okazji zobaczenia jakiegoś widowiska.

### 31.VIII. (ptk)

Wybrano mnie wczoraj do „Komisji ideologicznej”, która ma sformułować rodzaj deklaracji zjazdowej. Niezbyt kongenialne to grono: Kruczkowski, St.R. Dobrowolski, Wiktor i Polewka. Bez większego też zapału idę rano na Krupniczą, gdzieśmy się mieli zebrać, a stamtąd na Gołębią (bo w godzinę po terminie wyznaczonym nikogo jeszcze, prócz mnie, nie było). Tam mnie odszukał po jakimś czasie Polewka i autem Kruczkowskiego zawiózł z powrotem na Krupniczą. Na niewiele się tam jednak przydał, bo uniepożytecznieił mnie krwotok nosowy, którego nie można było zatamować. Pomogli mi dobrzy ludzie, którzy się znaleźli na miejscu: J.A. Król (jeden z pierwszych moich słuchaczy warszawskich, który przy okazji wspominał wrażenia z wstępnego mojego wykładu i poinformował mnie, że dostałem wtedy przezwisko „Puhacza” — nie wiem, czy z powodu okularów, czy czego innego), Artur Chojecki, Piotr Grzegorzczak<sup>39</sup> (który z pobliskiej gelaterii włoskiej przyniósł mi lodów). Pół-leżąc rozmawiałem z członkami Komisji, potem z innymi gośćmi lokalu (m.in. z Kotarbińskim,<sup>40</sup> dowiedziałem się, że dostał list w sprawie Adamczewskiego<sup>41</sup> i już z nim mówił, chce mu zapropono-

wać katedrę zwyczajną). Zjawił się tam i młody anglista Przemysław Mroczkowski,<sup>42</sup> autor bardzo ładnego wspomnienia o Dybowskim, drukowanego w „Tygodniku Powszechnym” (jak się okazuje, zajęty jest on pracą nad Chestertonem — przygotowuje o nim rozprawę magisterską). Po dwóch godzinach dopiero mogę ruszyć z miejsca i dobrać do domu. Tam jednak krwotok się wznawia i trwa dalsze godziny. A powtarza się jeszcze przez godzinę wieczorem. Zmęczenie? Upał? Wysokie ciśnienie? Może wszystko razem — z dodatkiem jakiegoś stanu przedgrypowego. Jestem tym bardzo osłabiony. Przez większą część dnia leżę w łóżku hotelowym z nosem zapchanym watą żelazistą, a kiedy nareszcie mogę się ruszyć, człapię do apteki po tubkę sulfamidu i rozpoczynam zaleconą przez Walewskiego kurację „uderzeniową” (polegającą na spożyciu 20 tabletek w ciągu trzech dni): chcę się przynajmniej przed grypą zabezpieczyć. Aby czymś popić sulfamid, wstępuję do cukierenki Wedla na Rynku (nieznanej Krakowowi moich czasów). Tam spotykam Michałowskiego<sup>43</sup> i Lorentza,<sup>44</sup> którzy przyjechali do Krakowa na zjazd historyków sztuki, odbywający się razem z naszym i kilku innymi (plastyków, muzyków etc.). I te zjazdy mają, jak nasz, różne niemiłe momenty.

### 1.IX. (s.)

Jeszcze przez znaczną część dnia leżę. Odwiedzają mnie zacne dusze: Grzegorzczuk, Grzebieniowski,<sup>45</sup> Artur Chojecki (ten ostatni czyta mi swoje przekłady z poezji rosyjskiej, niektóre bardzo udatne). Robię korektę dwu swoich artykułów do „Teatru” (nie w druku zresztą, ale dopiero w maszynopisie! Jan Nepomucen i jego pomocnicy pracują w tempie *lento*).

Wylazłszy z domu, trafiam na jakąś *bagarre* przy kinie na ul. Św. Jana: jakiś żołnierz sowiecki (nieuzbrojony) chciał coś ukrąść, ale go przychwycono i zaczęto się z nim szarpać. Dzielny członek Czerwonej Armii długo nie chciał dać za wygraną, ale, spostrzegłszy, że tymczasem zebrał się tłum wcale duży (widać było w nim i mundury polskie), zrezygnował w końcu i zaczął wiać z szybkością niesłychaną, przy akompaniamencie głośnych ryków, śmiechów i okrzyków „job twaju mat” (którego to krótkiego idiomu Krakowianie najwidoczniej zdołali się dobrze nauczyć).

Ograniczam swoje ruchy. Jem obiad u dawnego „Chmury” na ul. Św. Marka, zakład przemianowany jest na „Dworek”, „ozdobiony” jakimiś wątpliwymi obrazkami i hucznym głośnikiem, ale poza tym wygląda zupełnie tak jak za czasów mojej młodości. W cukierni Wedla ponownie się spotykam z Lorentzem i zamawiam sobie miejsce w samochodzie muzealnym, mającym jechać jutro, na wypadek, gdybym się czuł w dalszym ciągu równie głupio i słabo, jak dzisiaj.

W księgarni „Czytelnika” kupuję sporo książek. Wstępuję na chwilę do Kościoła Mariackiego i olśniony jestem jego pięknnością i bogactwem (mimo braku ołtarza stwoszowskiego). Pod wieczór dołączę do Pigionia. Poznają jego 5-letnią wnuczkę (*tempus fugit!*) i spotykam Bielaka<sup>46</sup> (który postarzał, ale wygląda rażno i nawet wesoło). Spotykam potem jeszcze Michałowskiego i Włodzia,<sup>47</sup> ale już ich przechadzce nie mogę towarzyszyć. Człapię jeszcze tylko na Krupniczą, żeby się przed głową naszej delegacji warszawskiej Janem Nepomucenem wytłumaczyć ze swojej absencji.

Dziś obradowano tylko w Komisjach. Ciekawe rzeczy ujawniły się w Komisji Rewizyjnej (jak się dowiaduję od S.D.): oto zarząd lubelski, choć tyle ma frazesów demokratycznych na ustach, gospodarował jak typowa klika, obdzielając pieniędzmi siebie przede wszystkim. A było tych pieniędzy, jak na ubiegły okres, wcale sporo: 160 000 dało Ministerstwo Kultury i Sztuki, 50 000 wypłacił tytułem zaliczki „Czytelnik”. W księdze zaś wydatków powtarzają się głównie nazwiska Ważyka, Jastruna, Przybosia i Putramenta. Pobrali subwencje naprzód, potem zaliczki na honoraria (za 4 tomiki „lubelskie” poezji), wreszcie „subsytia na urządzenie się”. Wedle S.D., zaliczki wynoszą ponad 20 % z przypuszczalnego dochodu ze sprzedaży. Komisja Rewizyjna, naturalnie, nie ma możliwości wchodzić w szczegóły, ale poleca nowemu zarządowi, aby od „Czytelnika” zażądał szczegółowych rachunków.

„Dziennik Polski” (wychodzący tutaj) i inne gazety pełne artykułów o nominacjach PAU, które m.in. objęły nazwiska F. Młynarskiego,<sup>48</sup> Woltera,<sup>49</sup> Małeckiego<sup>50</sup> i L. Piotrowicza,<sup>51</sup> tj. ludzi, którzy albo mają proces dyscyplinarny, albo mogą się go spodziewać, albo świeżo przez taki proces przeszli i zostali dyskulpowani półgębkiem ze względu raczej na okoliczności łagodzące, niż zupełną poprawność swojego postępowania w czasie wojny. Ton artykułów rewolwerowy, ale *in merito* uważam je za słuszne. Zdaje się, że w tym wypadku jakiś ciasny взгляд lokalno-koleżeński wziął górę nad interesem instytucji i racją obywatelską. Ale nie wszyscy Krakowianie podzielają ten pogląd.

Zalesie, 2.IX. (ń)

Znowu w domu. Znacznie rychlej, niż sobie zakładałem. Ale gorzej się czułem dziś rano niż wczoraj, więc widoki wydatnej pracy w Krakowie były małe. Pocciwy Lorentz w ostatniej chwili znalazł dla mnie miejsce w samochodzie osobowym „Czytelnika”, którym dysponuje jego dyrektorka (tytułarna) pani Westfalewicz-Dembińska, wdowa po Henryku D.,<sup>52</sup> osobliwym katolickim komuniście, więzionym w r. 1938 przez władze polskie, a w czasie wojny rozstrzelanym przez Niemców. Przypomniałem jej, żeśmy się ongi poznali

u Konradostwa Górskich.<sup>53</sup> Odpowiedziała mi, pół-cierpko, że o tych czasach zupełnie zapomniała. W toku rozmowy zjawił się major Borejsza,<sup>54</sup> a więc nareszcie i tę wybitną postać poznałem. Ani on zresztą, ani „pani dyrektor” dziś z samochodu nie korzystali: jechała nim tylko ciocia pani D. — miła starsza dama spod Baranowicz, z którą wymienialiśmy żalotne pół-zdania i pół-słówka o Wileńszczyźnie i Nowogródzczyźnie. Jazda przez Kielce, Radom i Grójec — uroczą. Pierwszy raz przejechałem (szkoda, że tak prędko) przez cały piękny „kraj Żeromskiego”. Jak, rzeczywiście, zachwycająca ta Święta Katarzyna, na szczycie góry, wśród lasów! Jak śliczne Kielce! Co za fantasmagoria Chęciny z widokowymi jakby ruinami! A Miechów, Jędrzejów, Szydłowiec — ile wzruszeń i ile wspomnień historycznych!

Droga zresztą podła. „Kicha” dwukrotnie nawalała. Mimo to wyjechawszy o 11, koło 6 byliśmy w Warszawie. Zdażyłem jeszcze na kolejkę na 6<sup>40</sup>.

Wacław BOROWY

## PRZYPISY

1. Chodzi o położoną w Milanówku-Grudów willę zaprzyjaźnionego z Wacławem Borowym Włodzimierza Antoniewicza (1893—1973), archeologa, członka PAN, od 1920 roku profesora Uniwersytetu Warszawskiego, a w latach 1936—1939 rektora tej uczelni.
2. Stanisław Dzikowski (1884—1951), powieściopisarz, redaktor popularnej prasy (m.in. pracował w redakcjach „Wsi Ilustrowanej” i „Rewii”), współpracownik Polskiego Radia w latach 1933—1939. Krakowski Zjazd Literatów wybrał go — obok Wojciecha Natansona i Kazimierza Truchanowskiego — do Komisji Rewizyjnej ZLP.
3. Adrian Czermiński (1901—1982), dziennikarz i literat, w latach 1923—1934 korespondent zagraniczny pism codziennych z północnej Afryki i państw basenu śródziemnomorskiego, autor powieści i studiów historycznoliterackich (m.in. o literaturze romantycznej). Po drugiej wojnie światowej publicysta w Agencjach Prasowych „Polpress” i „Interpress”.
4. Edward Kozikowski (1891—1980), poeta, współzałożyciel (razem z Emilem Zegadłowiczem) grupy poetyckiej „Czartak”, redaktor almanachu o tej samej nazwie, od 1935 roku do wybuchu wojny sekretarz generalny Zarządu Głównego Związku Zawodowego Literatów Polskich. W 1945 roku został powołany do pracy w departamencie Literatury Ministerstwa Kultury i Sztuki, pełnił też funkcję sekretarza Oddziału Warszawskiego ZLP, redagował miesięcznik „Teatr”. W latach 1946—1951 organizował życie literacko-kulturalne na Dolnym Śląsku, po powrocie do stolicy pracował w ZAIKS-ie. Opublikował kilka książek wspomnieniowych o pracy w ZLP.
5. Anna Kowalska (1903—1969), powieściopisarka, debiutowała w 1931 roku powieścią „Catalina”, napisaną wspólnie z mężem Jerzym. W latach 1936—1937 należała do zespołu redakcyjnego lwowskiego tygodnika „Sygnały”. W 1945 roku zamieszkała we Wrocławiu, brała udział w organizowaniu życia literackiego w tym

mieście, m.in. redagowała „Zeszyty Wrocławskie”. W 1954 roku przeniosła się do Warszawy.

6. Jan Nepomucen Miller (1890—1977), krytyk literacki, publicysta, redagował czasopisma: „Młoda Myśl” (1921), „Czartak” (1922), „Przegląd Teatralny i Muzyczny” (1924), współpracował z „Europą” (1924—1930). Podczas okupacji brał udział w pracach PPS, publikował na łamach konspiracyjnego czasopisma „Robotnik”. W latach 1945—1947 był prezesem Oddziału Warszawskiego ZLP oraz redaktorem naczelnym miesięcznika „Teatr”. W latach 1947—1957 przebywał na Dolnym Śląsku, gdzie pracował jako kierownik literacki w Państwowym Teatrze Dolnośląskim w Jeleniej Górze. Od 1957 roku mieszkał w Warszawie.

7. Władysław Sebyła (1902—1941), poeta, krytyk literacki, w 1927 roku przystąpił do grupowania poetyckiego „Kwadryga”, a od 1929 do 1931 był wydawcą i redaktorem czasopisma literackiego „Kwadryga”. W latach 1935—1939 prowadził na antenie Polskiego Radia dział krytyki wydawnictw poetyckich. W 1938 roku został odznaczony Złotym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury. Powołany do wojska w sierpniu 1939 roku brał udział w kampanii wrześniowej. Zginął w obozie w Katyniu w 1941 roku.

8. Aleksander Wat (1900—1967), poeta, prozaik, tłumacz, w latach 1920—1925 brał udział w wystąpieniach i wydawnictwach futurystycznych, redagował czasopisma: „Nowa Sztuka”, „Almanach Nowej Sztuki”, „Miesięcznik Literacki”. W latach 1932—1939 był kierownikiem literackim wydawnictwa Gebethner i Wolff. Po wybuchu wojny przebywał we Lwowie, aresztowany w styczniu 1940 roku został zwolniony na podstawie amnestii w listopadzie 1941 roku i do 1946 roku przebywał w Kazachstanie. Po powrocie do Polski był redaktorem naczelnym Państwowego Instytutu Wydawniczego w Warszawie oraz członkiem władz ZLP i PEN-Clubu. Od 1963 roku przebywał na emigracji.

9. Stanisław Wasylewski (1885—1953), prozaik, eseista. W latach 1905—1910 pracował w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie, współpracował w tym okresie z „Pamiętnikiem Literackim” i kwartalnikiem „Lud”. W 1914 roku został wybrany członkiem Komisji Literackiej Akademii Umiejętności. W latach 1915—1918 był redaktorem naczelnym „Gazety Porannej”. W roku 1927 przeniósł się do Poznania, gdzie oprócz systematycznej pracy z czasopismami redagował w Wydawnictwie Polskim „Bibliotekę Laureatów Nobla”. W 1937 roku został wybrany prezesem Poznańskiego Oddziału ZLP. W 1938 roku otrzymał Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury. Jesienią 1939 roku przedostał się do Lwowa, po zajęciu tego miasta przez wojska niemieckie nawiązał współpracę z koncesjonowaną przez władze okupacyjne „Gazetą Lwowską”. W 1945 roku przeniósł się do Krakowa. W tymże roku Walny Zjazd Literatów potępił Wasylewskiego z powodu współpracy z „Gazetą Lwowską” — w uchwale czytamy, że Wasylewski „postawą swoją i działalnością w czasie okupacji wykluczył się ze społeczności pisarskiej”. W roku 1946 odbył się w Krakowie proces sądowy, w wyniku którego Wasylewski został zrehabilitowany. W 1948 roku Wasylewski zamieszkał na stałe w Opolu.

10. Artur Górski (1870—1959), krytyk literacki, tłumacz, publicysta. Założyciel PPS w Krakowie, redaktor jej organu „Naprzód”, od 1897 roku współpracownik „Życia”, przez pewien czas był kustoszem Biblioteki Pawlikowskich we Lwowie. W 1938 roku otrzymał państwową nagrodę literacką. Po drugiej wojnie światowej mieszkał w Krakowie, w 1957 roku przeniósł się do Warszawy.

11. Władysław Wolert (zm. 1947), krytyk literacki i historyk literatury polskiej, w okresie międzywojennym współpracował z czasopismami literackimi „Przegląd Literacki”, „Prosto z mostu”. Zajmował się twórczością Adolfa Dygasińskiego.

12. Hanna Mortkowicz-Olczakowa (1905—1968), literatka, córka wydawcy Jakuba Mortkowicza. W 1932 roku redagowała dział literacki pisma „Siwat”, pracowała też w wydawnictwie swego ojca. Okres okupacji spędziła w Warszawie, od 1945 roku mieszkała w Krakowie, zajmując się pracą literacką i wydawniczą

(pracowała w oddziale krakowskim Sp. Wyd. „Książka”). Dwukrotnie pełniła funkcję prezesa Oddziału Krakowskiego ZLP.

13. Leon Kruczkowski (1900—1962), powieściopisarz, dramatopisarz, publicysta, przed drugą wojną światową prowadził działalność kulturalną i oświatową w organizacji lewicy społecznej. W 1945 roku, po powrocie z obozów jenieckich, został członkiem Krajowej Rady Narodowej oraz wiceministrem Kultury i Sztuki (do 1948 roku). W 1945 roku zamieszkał w Krakowie, brał udział w organizowaniu miesięcznika „Twórczość”. W 1947 został wybrany do Sejmu Ustawodawczego, w latach 1949—1956 był prezesem Zarządu Głównego ZLP. Po 1957 roku ponownie został posłem na Sejm.

14. Antoni Trepiński (1908—1972), dziennikarz, antykwariusz, bibliofil. Do 1939 roku pracował w prasie prowincjonalnej (m.in. w „Kurierze Sremskim”, „Kurierze Porannym”). Po wybuchu wojny razem ze Stanisławem Dzikowskim, Albertem Rohozińskim i Tadeuszem Teslarem otworzył w dawnej czytelnicy „Logos” przy ul. Mazowieckiej antykwariat. Oprócz tego współpracował z wydawnictwami i czasopismami konspiracyjnymi. W latach 1962—1970 wchodził w skład zespołu redakcyjnego tygodnika „Stolica” publikując na jego łamach wiele artykułów o prywatnych zbiorach bibliofilskich.

15. Jan Michalski (1876—1950), filolog, bibliofil, nauczyciel w gimnazjach warszawskich w latach 1900—1918, a w latach 1918—1931 wizytator w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oraz w Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego. Podczas okupacji był nauczycielem na tajnych kompletach w Gimnazjum Wojciecha Górskiego. Od 1893 roku gromadził książki, zebrał ok. 40 000 woluminów, w tym przeszło 8 000 starych druków. Księgozbiór obejmował wydawnictwa z zakresu literatury pięknej, historii Polski, varsaviana, judaica, pamiętniki polskie i książki dotyczące sztuki. Michalski posiadał też bogatą kolekcję ceramiki ludowej. W 1947 roku ofiarował swą bibliotekę narodowi, przekazując ją Centralnemu Instytutowi Kultury w Warszawie, a po zniesieniu Instytutu powołał do życia w 1949 roku Fundację im. Jadwigi i Jana Michalskich, związaną organizacyjnie z IBL PAN, w którym pełnił funkcję dyrektora i kuratora Fundacji od chwili jej utworzenia. Od 1952 roku księgozbiór Michalskich, jako niepodzielna całość, stał się własnością Biblioteki Instytutu Badań Literackich PAN.

16. Juliusz Wiktor Gomulicki (ur. 1909), historyk literatury, eseista, edytor pism Cypriana K. Norwida. W czasie okupacji hitlerowskiej przebywał w Warszawie, brał udział w konspiracyjnym życiu kulturalnym. W latach 1942—1944 studiował psychologię i socjologię na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Walczył w powstaniu warszawskim w szeregach AK. Po upadku powstania został wywieziony do obozu jenieckiego w Grossborn (Offlag II D), gdzie współorganizował życie kulturalne i naukowe. W 1945 roku został ewakuowany do obozu w Sandbostel. Po wyzwoleniu przebywał krótko w Verden am Aller, a następnie był kierownikiem literackim Teatru Ludowego im. Bogusławskiego, założonego przez Leona Schillera w Lingen. We wrześniu 1945 roku wyjechał do Brukseli, a stamtąd w miesiąc później powrócił do Polski i zamieszkał na stałe w Warszawie.

17. Jalu Kurek (1904—1983), poeta, powieściopisarz, publicysta. Po studiach romanistycznych od 1923 roku pracował w zawodzie dziennikarskim (w „Głosie Narodu” — 1923-1931, w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” — 1931-1939), redagował też czasopisma awangardy poetyckiej „Linia”. Po wybuchu wojny przebywał we Lwowie i brał udział w pracach Związku Pisarzy. W latach 1941—1945 ukrywał się przed gestapo, wówczas powstała przytomowa powieść „Janosik” — wydana w Krakowie w latach 1945—1948. W 1945 roku Kurek powrócił do Krakowa, do 1947 roku pracował w agencji „Polpress”.

18. Stanisław Ryszard Dobrowolski (ur. 1907), poeta i publicysta związany z miesięcznikiem „Kwadryga”, okres okupacji spędził w Warszawie. Po powstaniu warszawskim wywieziony został do obozu dla jeńców wojennych w Lambowicach i Grossborn. Uwolniony z obozu w 1945 roku wstąpił do Wojska Polskiego,



w latach 1945—1947 prowadził dział kulturalny pisma „Polska Zbrojna”, następnie w latach 1947—1948 pracował w redakcji „Nowin Literackich” na stanowisku zastępcy redaktora naczelnego. W latach 1945—1946 był sekretarzem generalnym ZLP, a w latach 1954—1956 wiceprezesem Zarządu Głównego ZLP.

19. Salomea Neris (1904—1945), poetka litewska, w latach trzydziestych przyłączyła się do antyfaszystowskiego ruchu literatów litewskich, współpracowała z czasopismem „Trecias Frontas”.

20. Stanisław Pigoń (1885—1968), historyk literatury, edytor, profesor Uniwersytetów w Poznaniu, Wilnie i Krakowie, członek PAU i PAN. W 1942—1944 brał udział w pracach tajnego uniwersytetu w Krakowie.

21. Adam Ważyk (1905-1982), poeta, prozaik, krytyk, tłumacz, przed wojną związany z awangardą poetycką, współpracował z „Almanachem Nowej Sztuki”. W czasie wojny przebywał początkowo we Lwowie, a od 1941 roku do 1944 na terenie Związku Radzieckiego, służył w I Armii Wojska Polskiego, przygotowywał audycje polskie dla rozgłośni radiowych w Saratowie i Kujbyszewie, a następnie był kierownikiem literackim teatru I Korpusu. W 1944 roku, po powrocie do kraju, zostaje sekretarzem ZLP w Lublinie. W latach 1946-1950 był członkiem redakcji tygodnika „Kuznica”, a w 1950-1954 miesięcznika „Twórczość”.

22. Mieczysław Jastrun (1903-1983), poeta, prozaik, eseista. We wrześniu 1939 roku przedostał się do Lwowa, gdzie przebywał dwa lata zajmując się tłumaczeniami z jęz. rosyjskiego oraz współpracując z redakcją podręczników szkolnych. W grudniu 1941 roku przedostał się do Warszawy, współpracował z prasą podziemną. Jesienią 1945 roku wyjechał do Lublina, gdzie redagował „Wieś” i „Rzeczpospolita” dziennik. W 1945-1949 był zastępcą redaktora naczelnego „Kuznicy”. Od 1949 roku mieszkał w Warszawie, m.in. otrzymał nagrodę literacką tygodnika „Odrodzenie” (1949).

23. Julian Przyboś (1901-1970), poeta, eseista, czołowy teoretyk krakowskiej awangardy poetyckiej, współpracownik „Linii” i „Zwrotnicy”. Po wybuchu wojny, od października 1939 do grudnia 1941 roku mieszkał we Lwowie, gdzie od 1940 roku był bibliotekarzem w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, publikował też na łamach czasopisma „Nowe Widnokregi”. W latach od 1941 do 1944 ukrywał się przed Niemcami na wsi. Po wyzwoleniu, w sierpniu 1944 roku udał się do Rzeszowa i tu pełnił funkcję kierownika Wydziału Propagandy Urzędu Wojewódzkiego. Następnie po krótkim pobycie w Lublinie powrócił w styczniu 1945 roku do Krakowa. Był pierwszym prezesem reaktywowanego Związku Zawodowego Literatów Polskich i posłem do Krajowej Rady Narodowej. W latach 1944-1947 należał do redakcji „Odrodzenia”. W 1955 roku przeniósł się do Warszawy.

24. Jerzy Kornacki (1908-1981), powieściopisarz, wspólnie z żoną — Heleną Boguszewską — założył Zespół Literacki „Przedmieście”, który skupiał grono pisarzy sympatyzujących z myślą lewicową. W okresie okupacji niemieckiej brał udział w życiu konspiracyjnym kulturalnym. W lutym 1944 roku Kornacki został posłem do Krajowej Rady Narodowej, a następnie po przeniesieniu się do Lublina uczestniczył w pracach Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Kornacki był założycielem i kierownikiem Instytutu Pamięci Narodowej oraz dyrektorem Funduszu Kultury Narodowej przy Prezydium Rady Ministrów.

25. Adam Polewka (1903-1956), literat, krytyk, publicysta. W roku 1932 wstąpił do KPP, wspólnie z L. Kruczkowskim prowadził czasopismo „Biuletyn Literacki”. Po wybuchu wojny przedostał się do Lwowa i pracował w Bibliotece Zakładu im. Ossolińskich. W tym czasie był także posłem do Ukraińskich Narodnich Zborów. Po zajęciu Lwowa przez Niemców przebywał w okolicach Krakowa (1941-1944). W 1945 roku został posłem do Krajowej Rady Narodowej, redagował dziennik „Echo Krakowa”, zajmował się pracą publicystyczną.

26. Jan Wiktor (1890-1967), powieściopisarz, publicysta związany z Podhalem, brał udział w pracach Biura Prasowego Komitetu Plebiscytowego Spisko-Oraw-

## PRZYPISY

- skiego w Nowym Targu, redagował „Gazetę Podhalańską”. Po wojnie, w 1945 roku został powołany do Krajowej Rady Narodowej.
27. Bolestaw Bierut (1892-1956), polityk — przewodniczący Krajowej Rady Narodowej, członek KC PPR.
28. Edward Osóbka-Morawski (ur. 1909), polityk, przewodniczący KC RPPS (1944-1945), premier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej (1945-1947), wiceprzewodniczący KRN.
29. Wincenty Rzymowski (1883-1950), dziennikarz, polityk, pisarz. W 1944 roku kierownik resortu kultury i sztuki w PKWN, w latach 1945-1947 minister spraw zagranicznych, Prezes CK SD (1944-1949).
30. Władysław Kowalski (1894-1958), powieściopisarz, publicysta, polityk, uczestniczył w pierwszym posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej, potem był członkiem jej prezydium. Od lipca 1945 r. był ministrem kultury i sztuki. W 1949 roku został prezesem NK ZSL.
31. Jerzy Putrament (ur. 1910), powieściopisarz, publicysta. W okresie studiów należał do nielegalnej organizacji komunistycznej młodzieży. Po wybuchu wojny przebywał we Lwowie, a potem ewakuował się w głąb ZSRR. Był założycielem Związku Patriotów Polskich w Moskwie. W sierpniu 1944 roku organizował prasę komunistyczną w Lublinie, pełnił funkcję zastępcy redaktora naczelnego „Rzeczypospolitej” oraz był redaktorem naczelnym „Dziennika Polskiego” w Krakowie. W latach 1950-1956 był sekretarzem Zarządu Głównego ZLP.
32. Jan Parandowski (1895-1978), powieściopisarz, eseista, tłumacz. W 1945 roku objął jako profesor zwyczajny katedrę kultury antycznej, a następnie literatury porównawczej na KUL. Wiele czasu poświęcił na odbudowę polskiego oddziału PEN-Clubu.
33. Artur Chojecki (1880-1951), poeta, doktor psychologii, po studiach w Warszawie, Krakowie, Genewie i Paryżu prowadził wykłady z psychologii w Towarzystwie Kursów Naukowych (późniejszej Wolnej Wszechnicy Polskiej), na Uniwersytecie Warszawskim i na KUL. W latach 1919-1927 pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Okres okupacji spędził w Warszawie, po powstaniu warszawskim zamieszkał w Krakowie.
34. Ignacy Zarębski, wydawca i bibliofil, podczas okupacji niemieckiej kierownik oddziału krakowskiego wydawnictwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.
35. Józef Zaręba, krytyk literacki, wydawca, bibliofil, współpracownik „Polonisty”, autor podręczników szkolnych do nauki języka polskiego. Podczas okupacji razem z Marią Kann i Stanisławem Tomaszewskim założył konspiracyjne wydawnictwo „Żaloga”.
36. Kazimierz Nitsch (1874-1958), językoznawca, sławista, od 1910 roku profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego w 1911 został wybrany członkiem PAU. Redaktor i założyciel czasopisma „Język Polski” (1913-1939 i 1945-1958), autor wielu rozpraw naukowych, redaktor „Słownika staropolskiego”.
37. Juliusz Wirski (1893-1960), dramatopisarz, podczas pierwszej wojny światowej przebywał przez trzy lata w Irkucku na Syberii. W latach 1920-1922 studiował polonistykę i anglistykę w Wilnie, Warszawie i Krakowie. W latach 1925-1939 mieszkał w Warszawie, współpracował m.in. z „Kurierem Warszawskim”. W 1943 roku wstąpił do PPR, współdziałał w organizowaniu konspiracyjnych rad narodowych i był członkiem Rady Narodowej Województwa Warszawskiego.
38. Wanda Melcer (1896-1972), literatka, założycielka ZLP, w latach 1927-1939 współpracowniczką „Wiadomości Literackich”. Okres drugiej wojny światowej spędziła w Warszawie, publikując na łamach konspiracyjnego „Głosu Demokracji”. Po wojnie redagowała czasopismo „Morze”.
39. Piotr Grzegorzczak (1894-1968), krytyk literacki, bibliograf, studiował polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, od 1926 roku redagował „Ruch Literacki”. Okupację niemiecką spędził w Warszawie, współpracował z prasą konspiracyjną. Od 1945 roku mieszkał w Krakowie i zajmował się pracą historycznoliteracką.
40. Tadeusz Kotarbiński (1886—1981), filozof, od 1919 profesor Uniwersytetu

- Warszawskiego, członek PAN, w latach 1945—1949 rektor nowo utworzonego Uniwersytetu Łódzkiego.
41. Stanisław Adamczewski (1883—1952), historyk literatury, krytyk literacki. Od 1935 roku na stanowisku docenta na Uniwersytecie Warszawskim, podczas okupacji przebywał w Warszawie prowadząc wykłady i ćwiczenia na tajnym uniwersytecie. W roku 1945 objął katedrę historii literatury polskiej na Uniwersytecie Łódzkim.
42. Przemysław Mroczkowski (ur. 1915), tłumacz z języka angielskiego, eseista. Od 1945 roku pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor tej uczelni.
43. Kazimierz Michałowski (1901—1981), archeolog, historyk sztuki, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, członek PAN, autor wielu prac naukowych.
44. Stanisław Lorentz (ur. 1899), historyk sztuki, muzeolog, od 1936 do 1982 roku dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie. Od 1947 roku profesor Uniwersytetu Warszawskiego, członek PAN.
45. Tadeusz Grzebieniowski (1894—1973), historyk literatury, sławista, profesor Uniwersytetu Warszawskiego i Łódzkiego, członek Komitetu Neofilologicznego PAN, autor wielu prac naukowych.
46. Franciszek Bielak (1892—1973), historyk literatury, współpracownik Komisji Historii Literatury Polskiej PAU, członek-korespondent PAU, autor wielu studiów, głównie poświęconych literaturze polskiej drugiej połowy XIX wieku.
47. Włodzimierz Antoniewicz.
48. Feliks Młynarski (1884—1972), ekonomista, w latach 1929—1939 profesor bankowości w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. W czasie okupacji prezes Banku Emisyjnego w Krakowie, w latach 1945—1948 wykładowca ekonomii na Uniwersytecie Jagiellońskim.
49. Władysław Wolter (ur. 1897), prawnik, specjalista z zakresu prawa karnego, w latach 1928—1967 profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wykładał prawo karne materialne, logikę oraz proces karny. Od 1967 roku członek PAN.
50. Mieczysław Małecki (1903—1946), sławista, dialektolog, od 1937 roku profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, w latach 1945—1946 kierownik Studium Słowiańskiego.
51. Ludwik Piotrowicz (1886—1957), historyk starożytności, filolog klasyczny. Od 1922 profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, w latach 1939—1940 więzień obozu w Sachsenhausen.
52. Henryk Dembiński (1908—1941), działacz polityczny, publicysta. Przeszedł ewolucję poglądów — od katolickich (w latach 1928—1932 był prezesem katolickiej organizacji młodzieży akademickiej „Odrodzenie”) do komunistycznych (od 1934 roku był działaczem Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej). Współtwórca grupy wileńskiej literackiej „Żagary”, współpracownik pisma o tej samej nazwie. W latach 1933—1934 przebywał w Rzymie i Wiedniu, pisał korespondencje do „Kuriera Wileńskiego”. Był współzałożycielem i redaktorem radykalnego pisma studenckiego „Po prostu” (1935—1936). W 1937 roku został skazany na 4 lata więzienia, w 1938 roku zwolniono go z powodu słabego stanu zdrowia. Po wybuchu drugiej wojny światowej pracował jako nauczyciel w Starej Wilejce, został rozstrzelany przez hitlerowców.
53. Konrad Górski (ur. 1895), historyk literatury, w 1934 roku redagował kwartalnik katolicki „Verbum”, w tym samym roku objął Katedrę Literatury Polskiej na Uniwersytecie Wileńskim, a od 1945 roku jest profesorem na Uniwersytecie im. M. Kopernika w Toruniu. W 1949 roku otrzymał nagrodę Episkopatu Polski za całokształt pracy naukowej.
54. Jerzy Borejsza (1905—1952), publicysta, działacz polityczny. Od 1929 roku członek KPP, w latach 1939—1940 dyrektor „Ossolineum” we Lwowie, redaktor naczelny „Wolnej Polski” (organu ZPP, „Rzeczypospolitej”) — w latach 1944—1945, organu PKWN), organizator i prezes Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik”, w latach 1947—1950 redaktor naczelny „Odrodzenia”.

## **Historia najnowsza**

**Ludwik Dorn**

# **CZAS „SOLIDARNOŚCI”; LUDZIE — IDEE — PROGRAMY**

Zamieszczony poniżej szkic Ludwika Dorna opiera się na wynikach badań socjologicznych przeprowadzonych w 1981 r. przez Ośrodek Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”. Dorn zdecydowanie afirmuje „Solidarność”, ale w myśl zasady ujawniania nie tylko cech naszej „wielkości”, ale także „małości”, formułuje tezy krytyczne, których ostrość chwilami nadaje jego szkicowi charakter pamfletu. Zwłaszcza gdy krytykuje ideę „Rzeczypospolitej Samorządnej” bardziej w płaszczyźnie układów personalnych w Związku, a mniej z punktu widzenia dość powszechnych wątpliwości co do jej ekonomicznej i praktycznej realności. „Solidarność” była wielkim i przełomowym fenomenem powojennej Polski. Jej wartości moralne są nieprzemijające. Uznając jednak także potrzebę autentycznej krytyki, drukujemy pełen pasji szkic L. Dorna, zapraszając jednocześnie do dyskusji również osoby myślące odmiennie. Chodzi nam bowiem o wydobycie obiektywnej prawdy historycznej, ujawniającej się także w ogniu dyskusji.

Ludwik Dorn, urodzony w 1954 roku, publicysta, socjolog. Publikował w pismach katolickich, niezależnych i związanych z „Solidarnością”. Uczestnik akcji pomocy robotnikom od września 1976 roku. Członek-założyciel warszawskiego Studenckiego Komitetu Solidarności. W latach 1980—1981 kierował zespołem badań opinii związkowej w Ośrodku Badań Społecznych przy NSZZ „Solidarność” region Mazowsze. Po wprowadzeniu stanu wojennego ścigany listem gończym; ukrywał się przez dwa lata działając w posolidarnościowym podziemiu.

Pod przemożnym wpływem tradycji romantycznej przywykliśmy patrzeć na polskie powstania, bunty, rewolucje jako na czasy „uznawania się narodu w jestestwie swoim”, chwile, w których naród

przygnieciony przez lata sztuczną rzeczywistością tworzoną przez zaborcę, okupanta czy nie chcianą władzę uświadamia sobie prawdę, czego chce, do czego dąży, czemu jest wierny.

Doświadczenia drugiej połowy XX wieku pokazały, że nie tylko wysiłek insurekcyjny, walka zbrojna i narodowa literatura „wywodzi myśl narodu na jaśnię”; sprawiają to także wydarzenia całkiem pokojowe i pozaliterackie. Czasem „uznawania się narodu w jęstwie swoim” była pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do ojczyzny; czasem takim była także „przerwa na wolność”, sławne „16 miesięcy” — okres legalnego działania „Solidarności”.

W znanej, popularnej i często prymitywizowanej formule Mochackiego kryje się jednakże pewna dwuznaczność: „uznawanie się” to przede wszystkim czas wielkiej próby, odsłonięcia nie tylko tego, co w Polakach wielkie i godne szacunku, ale i tego, co w nich słabe, małe, nieudolne. Takie chwile ujawniają siłę i stałość, z jaką Polacy dążą do swoich narodowych celów, choćby przez długie lata wydawało się, że „naród usnął”, zastygł w pokorze, względnym dobrobycie czy zwykłym strachu. Jednocześnie jednak pokazują te przeszkody na drodze narodowych dążeń, których nie ustanawia obca przemoc, narzucona władza, układ geopolityczny, lecz własny Polaków nierozum, ideowe wygodnictwo, brak myśli politycznej.

Jeśli chcemy mieć z naszych najświeższych doświadczeń jakikolwiek pożytek dla przyszłości, to należy właśnie w ten sposób spojrzeć na czas „Solidarności”: zastanowić się nie tylko nad tym, co w nas jako w narodzie, zbiorowości aktywnej ideowo i politycznie ujawniło się wtedy wielkiego, lecz i — małego, słabego lub po prostu głupiego.

Po „Solidarności” zostało wielkie doświadczenie i przeżycie narodowe. Korzystają z niego całe warstwy społeczne, pamiętają jednostki, nawiązują, każde na swój sposób, liczne środowiska polityczne. Jednakże przeżycie, nawet wzniosłe i obejmujące naród, jeśli nie zostanie utrwalone w języku idei, w konstrukcjach programowych i myśli politycznej, albo rozmywa się we wspomnieniową gawędę, albo zastyga w popularną mitologię, której jedynym zadaniem jest krzepienie serc w trudnych czasach.

Bywa, że czasy są tak beznadziejne, iż pozostaje tylko krzepić serca; rozbijanie narodowych mitologii jest wtedy zadaniem dla płatnych wesołków spotykających się ze słuszną pogardą. Jednakże póki istnieje cień nadziei i ułamek szansy, należy starać się wykorzystać przeżyte doświadczenia dla przyszłości. A to znaczy przede wszystkim — przemyśleć je, sporządzić rachunek własnych błędów i słabości, zastanowić się nad tym, jakie wątki ideowe i polityczne z niedawnej przeszłości nadają się do kontynuacji, a jakie należy odrzucić.

Podstawowym dokumentem politycznym i ideowym „Solidarności” jest uchwała programowa I Krajowego Zjazdu Delegatów. Był to po części zapis postulatów, żądań, rozwiązań, które zawsze marzyły się Polakom, o których myślano, mówiono, pisano od wielu lat, jeszcze przed Sierpniem 1980. Po podpisaniu porozumień gdańskich miliony ludzi tworzących Związki spotkały się, przede wszystkim przez kolejne konflikty z władzami, z problematyką praworządności i wolności obywatelskich, wolności słowa i obiegu informacji, samorządów terytorialnych, reformy i polityki gospodarczej. To polityczne, ustrojowe doświadczenie czasów przed- i posierpniowych znalazło swój wyraz w uchwale programowej I KZD.

Tezy programu głosiły konieczność „pluralizmu światopoglądowego, społecznego, politycznego i kulturalnego”, „autentycznego samorządu pracowniczego”, „samodzielnych, prawnie, organizacyjnie i majątkowo samorządów terytorialnych”; mówiły o tym, że „system prawny musi gwarantować podstawowe wolności obywatelskie, respektować zasady równości wobec prawa wszystkich obywateli i wszystkich instytucji życia publicznego” i o tym, że „sądownictwo musi być niezawisłe, a aparat ścigania poddany społecznej kontroli”. „Solidarność” zobowiązała się „popierać i chronić wszelkie niezależne poczynania zmierzające do samorządności w kulturze i edukacji”.<sup>1</sup>

Ale oprócz tych znanych, od dawna wysuwanych i niezbyt oryginalnych — bo w polityce oryginalność nie zawsze jest zaletą — postulatów, program „Solidarności” aspirował do miana konstrukcji politycznej, alternatywy ustrojowej dla istniejącego systemu i wizji ideowej, która nada głęboki sens dramatycznym konfliktom i codziennej związkowej szarpaninie.

Tą konstrukcją polityczną, alternatywą ustrojową i wizją ideową miała być „samorządna Rzeczpospolita”. Tak zatytułowano rozdział programu zawierający postulaty zmian ustrojowo-politycznych, tak w skrócie ochrzczono cały program „Solidarności”, do tego sformułowania nawiązuje wprost istniejące post-solidarnościowe podziemie. Hasło „samorządnej Rzeczypospolitej” przetrwało datę 13 grudnia 1981 roku i ono określa dzisiaj polityczne i ideowe dziedzictwo „Solidarności”.

Czym była „samorządna Rzeczpospolita”? Podczas Zjazdu i po nim dość obficie posługiwano się słowem „wizja”. Nagle okazało się, że „Solidarność” ma „wizję” lub „horyzont”. Bronisław Geremek, bezdyskusyjny inspirator i twórca sloganu o „samorządnej Rzeczypospolitej”,<sup>2</sup> twierdził w hali „Olivii”, że „konieczne jest stworzenie samorządnej Rzeczypospolitej jako horyzontu dla ustawionego w kolejkach społeczeństwa”.<sup>3</sup>

Obecnie używa się słowa „utopia” w jak najbardziej pozytywnym znaczeniu. „Samorządna Rzeczpospolita” — pisze lewicujący

historyk — była „utopią należącą do długiego szeregu wolnościowych utopii socjalistycznych”,<sup>4</sup> a więc miała zapewne, jak to z utopiami bywa, w nowej formie odpowiadać na odwieczne tęsknoty i marzenia o dobrym i sprawiedliwym ładzie społecznym.

„Samorządna Rzeczpospolita” nie była ani „wizją” ani „utopią”. Była z jednej strony hasłem, chwytliwym zawołaniem, z drugiej zaś — czysto taktycznym pomysłem, efektem konkurencji i współpracy między najważniejszymi grupami politycznymi w kierownictwie „Solidarności”, a przede wszystkim — metodą na takie określenie programu Związku, który w jak najmniejszym stopniu wiązałyby ręce jego rzeczywistemu kierownictwu politycznemu dla dalszego uprawiania polityki praktycznej i bieżącej. Ponadto „samorządna Rzeczpospolita” przenosiła na całość postulatów przebudowy życia publicznego szereg niejasnych intuicji i pomysłów znanych działaczom i członkom Związku z okresu ostrego konfliktu o samorząd pracowni- czy, który rozpoczął się w początkach lipca 1981 roku i osiągnął kulminację podczas obrad Zjazdu. Dzięki temu głosujący za „samorządną Rzeczpospolitą” delegaci uzyskiwali poczucie ciągłości zasadniczej linii Związku.

Uderzające jest przy tym, że z postulatów pluralizmu, wolności, sprawiedliwości, praworządności, sprawności gospodarczej, demokracji zapisanych w programie „Solidarności” nie wynikała w żaden sposób wizja „samorządnej Rzeczypospolitej”, która w uchwale programowej występuje przede wszystkim jako ozdobnik retoryczny wpychany tam, gdzie trzeba, i tam, gdzie nie trzeba.

Jeśli pluralizm miał być „podstawą demokracji”, to oczywiście, demokracja miała zaistnieć „w samorządnej Rzeczypospolitej”; jeśli domagano się „autentycznego samorządu pracowniczego”, to po to, by stał się „podstawą samorządnej Rzeczypospolitej”; jeśli stwierdzano, że „Solidarność” domaga się nowego porozumienia społecznego”, to w warstwie polityczno-ustrojowej miało to być „porozumienie dla samorządnej Rzeczypospolitej”.<sup>5</sup>

Faramuszkii retoryczne mają swój byt osobny, ale ranga polityczna tekstu, który ukwiecają, może zmienić ich charakter i wtedy ozdobnik awansuje do klasy zasadniczych ustrojowych postulatów. Pożądane zmiany prawne i polityczne musiały uzyskać jakąś gwarancję prawną i instytucjonalną. Uchwała Zjazdu wskazywała dość często na różnego rodzaju samorządy. Gwarancją swobody badań miała być „samorządność środowisk naukowych”; istotną gwarancją praworządności miał stać się „pełny samorząd sędziowski” oraz „pełna niezależność i samorządność adwokatury”.<sup>6</sup>

Były to konkretne wskazania, które trudno powiązać z nowatorską wizją; samorząd środowisk akademickich i naukowych to instytucja znana od czasów średniowiecza; samorząd sędziowski niewiele młodszą ma tradycję. W uchwale programowej pojawiły się zatem

postulaty, które miały sprawiać wrażenie, że istnieje zarys konstrukcji ustrojowej „samorządnej Rzeczypospolitej”.

Obok wcześniej już formułowanej w „Solidarności” koncepcji regionalnych i krajowych porozumień samorządów pracowniczych pojawiło się żądanie umożliwienia zawierania takich porozumień samorządom terytorialnym, co sugerowało, że w przyszłości pokryje kraj sieć porozumień samorządów terytorialnych i pracowniczych, która stworzy infrastrukturę i strukturę niezależnego życia społecznego i politycznego.

Zwieńczeniem sieci porozumień samorządowych miało być ciało o zasięgu i kompetencjach ogólnokrajowych. „Organizacje i ciała samorządowe — głosił program — powinny uzyskać reprezentację na szczeblu najwyższych władz państwowych”. Drogą do osiągnięcia tego celu miało być „powołanie ciała o charakterze samorządnym (Izby Samorządowej lub Izby Społeczno-Gospodarczej) na szczeblu najwyższych władz państwowych. Jej zadaniem byłby nadzór nad realizacją programu reformy gospodarczej i polityką gospodarczą oraz podobnych instytucji na niższych szczeblach”.<sup>7</sup>

Jak widać z powyższego cytatu, gramatyka stała się ofiarą polityki, bowiem chodziło o powołanie Izb Samorządowych na szczeblu województwa. Konstrukcja „samorządnej Rzeczypospolitej” nie była zbyt szczegółowo zarysowana, co nie było wadą; miało to oczywisty walor taktyczny i pozwalało w przyszłości na elastyczne reagowanie w zmiennych sytuacjach. Precyzyjne opisy tego, czego nie ma, a ma dopiero być, to nie jest zadanie dla programów politycznych.

Jednakże programy polityczne wielkich ruchów masowych, nawet jeśli z koniecznych względów taktycznych są mgliste i ogólnikowe, muszą mieć jakiś związek z potrzebami, pragnieniami, niejasno uświadamianymi odczuciami tych, którzy programy te będą popierać i realizować. To dlatego w hali „Olivii” tyle mówiono o wizjach i horyzontach. Niestety, deklamacje te miały wyłącznie charakter perswazyjny, służyły wmawianiu sobie i innym, że Zjazd „Solidarności” wypracowuje program skuteczny, mądry, dobry. Rzeczywistość wyglądała inaczej.

Ustawione w kolejkach społeczeństwo do samorządowego horyzontu odnosiło się dość sceptycznie, wizji mistycznych też nie miało. Ośrodek Badań Społecznych przy NSZZ „Solidarność” region Mazowsze przeprowadził w przerwie między turami Zjazdu (w dniach 16—21 września 1981 r.) sondaż opinii publicznej na losowych, reprezentatywnych próbach członków „Solidarności” — pracowników zakładów przemysłowych w województwie stołecznym i w regionie śląsko-dąbrowskim. W sondażu zadano pytanie otwarte o to, jakie sprawy powinny zostać rozstrzygnięte drogą ogólnopolskiego



referendum, skoro Zjazd „Solidarności” zapowiedział jego zorganizowanie.

Na Śląsku i Mazowszu wymienia następujące sprawy: wolne wybory do Sejmu (28% i 12%); demokratyczna ordynacja wyborcza do rad narodowych (23% i 30%); uprawnienia samorządu pracowniczego (19% i 24%); podwyżka cen (17% i 13%).

Natomiast odpowiedzi na pytanie zamknięte, gdy badani nie wymieniali sami spraw, które winny być rozstrzygnięte w drodze referendum, lecz wybierali co najwyżej trzy z podanego im 10-punktowego zestawu, przedstawiały się następująco (najpierw podaje odsetki dla Śląska, następnie dla Mazowsza):

- rozpisanie nowych, wolnych wyborów do Sejmu — 49% i 43%;
- demokratyczna ordynacja do rad narodowych — 46% i 33%;
- uprawnienia samorządu pracowniczego — 45% i 35%;
- wejście przedstawicieli „Solidarności” do rządu — 39% i 46%;
- określenie prawdziwie równoprawnych stosunków między Polską a ZSRR — 31% i 28%.

Takie sprawy wymieniano najczęściej. Natomiast na Izbę Samorządową przy Sejmie — podstawową instytucję „samorządnej Rzeczypospolitej” — wskazało na Śląsku i na Mazowszu odpowiednio 8% i 7%.<sup>8</sup>

Żaden ze składowych elementów „samorządnej Rzeczypospolitej” nie wzbudzał wśród członków „Solidarności” szczególnego entuzjazmu i zainteresowania. Wysoka ilość wskazań na samorząd pracowniczy była wynikiem ostrego konfliktu, jaki na tym tle rozgrywał się między władzą a „Solidarnością”, oraz przyciągającej uwagę kampanii propagandowej prowadzonej przez obie strony. Jednakże wyniki innych badań, które zostaną jeszcze wspomniane, pozwalały zrozumieć, że ogół członków „Solidarności” nie był w ogóle zainteresowany samorządnością pracowniczą, a jego poparcie dla instytucji samorządu było przede wszystkim efektem poparcia dla kierownictwa Związku, które pod tym hasłem prowadziło go do starcia z władzą.

Natomiast wysoki procent wskazań na demokratyczną ordynację do rad narodowych należy interpretować nie jako wyraz szczególnego zainteresowania samorządnością terytorialną, lecz jako opowiedzenie się za wolnymi wyborami na każdym szczeblu struktury administracyjnej. Wolne demokratyczne wybory do Rad Narodowych miały być po prostu pierwszą przymiarką do wolnych wyborów do Sejmu.

Wszystko to nie oznacza, że uchwalony na I KZD program „Solidarności” wzbudził wśród członków Związku sprzeciwy, opory lub — co więcej — dążności rozłamowe. W przeprowadzonym przez OBS Mazowsze w końcu października sondażu opinii członków „Solidarności” (losowa, reprezentatywna próba ogólnopolska) 73% respondentów oceniło uchwalony na Zjeździe program jako słuszny

(zdecydowanie słuszny — 27%, raczej słuszny — 46%), jako zdecydowanie lub raczej niesłuszny — 1,4%, trudno powiedzieć i za mało wiem na ten temat — 25,6%. Ponadto 78% badanych uznało, że program spełnia oczekiwania większości członków Związku (zdecydowanie — 23%, raczej — 55%).<sup>9</sup> Dane te z pozoru przemawiają przeciw hipotezie o rozminięciu się odczuć formalnych programotwórców (delegatów na I KZD) i tak zwanych mas członkowskich.

Jednakże można spojrzeć inaczej na przedstawione wyżej wyniki świadczące o aprobacie i poparciu programu, zwłaszcza jeśli pamiętać się o rzeczywiście niewielkim zainteresowaniu Izłą Samorządową i innymi instytucjami „samorządnej Rzeczypospolitej”. Warto też odnotować, że uderzająco duża liczba członków Związku wyraziła swoją aprobatę w formie słabej (raczej słuszny, raczej spełnia oczekiwania), nie zaś mocnej (zdecydowanie słuszny, zdecydowanie spełnia oczekiwania).

Otóż program „samorządnej Rzeczypospolitej” został zaakceptowany przez ogół członków „Solidarności” dzięki silnemu oddziaływaniu czynnika, jakim był „wewnątrzwiązkowy legalizm”. Chodziło po prostu o to, że „samorządna Rzeczpospolita” znalazła się w programie uchwalonym przez Krajowy Zjazd Delegatów, stał zatem za nią autorytet „Solidarności”, zaufanie, jakim członkowie darzyli swoją organizację.

Od późnej wiosny 1981 roku w „Solidarności” zaczęły odzywać się głosy o potrzebie programu. Im bliżej było Zjazdu, im ostrzejszy był kryzys gospodarczy, im bardziej skomplikowana i niejasna stawała się sytuacja kraju i Związku, tym głośniej i powszechniej było je słyhać. W końcu złąły się w jedno wielkie, zbiorowe wołanie o program.

Wołanie o program zawsze jest ważnym sygnałem, że coś jest nie w porządku. Póki cele i zadania organizacji — partii politycznej, związku zawodowego, stowarzyszenia — są dla członków jasne i zrozumiałe, póki droga do przebycia jest widoczna a środki działania pod ręką, póty o program nie woła się, bo nie ma takiej potrzeby. Wołanie o program jest zawsze związane z potrzebą przewartościowania, odmiennych samookreśleń, znalezienia nowych punktów orientacyjnych dla myślenia i działania. Nowy program jest potrzebny wtedy, gdy dotychczasowe kierunki działania oceniane są jako zawodne, błędne, nieskuteczne.

Uchwała programowa I KZD miała odpowiedzieć na te potrzeby i — siłą faktu — odpowiadała. Nie dzięki swym treściom, lecz dzięki temu, że była uchwałą najwyższej władzy Związku. W gruncie rzeczy cokolwiek by zjazd uchwalił, zostałoby to przez ogół członków zaakceptowane, byleby tylko nie uderzało wprost w ich głębokie i utrwalone przeświadczenia zblizając się do bieguna jawnej zdrady lub jawnego awanturnictwa. Program „Solidarności” — „samorządna

Rzeczpospolita” nie była ani jawną zdradą, ani jawnym awanturnictwem — mógł zatem zostać zaakceptowany.

Nie tylko mógł, ale i musiał. Członkowie „Solidarności” nie mieli w gruncie rzeczy innego wyboru. Przyznanie się — nie tylko przed innymi, ale także przed samym sobą, że zjazd Związku uchwalił program zły, błędny, nieskuteczny oznaczałoby, że najwyższa władza „Solidarności”, kilkuset reprezentantów dziesięciomilionowej zbiorowości wybranej w pierwszych od czterdziestu lat wolnych wyborach, zawiodło, nie spełniło nałożonego na nich zadania. Taka ocena prowadziłaby z kolei do wycofania zaufania wobec „Solidarności” i jej władzy. A „Solidarności” i jej władzom członkowie związku nadal, mimo wszystkich błędów, ufali i chcieli ufać. To wciąż była ich organizacja. Popierali zatem program, aby móc poprzeć swój Związek.

O tym, że dla członków „Solidarności” ważny jest Związek a nie programowe uchwały, świadczą cytowane już badania OBS Mazowsze. We wspomnianym badaniu z końca października starano się uchwycić, czy i na ile członkowie „Solidarności” mają do uchwalonego programu stosunek rygorystyczny, na ile w ich odczuciu ma on charakter zobowiązujący dla ogółu członków i władz Związku. Okazało się, że największa grupa — 71% — uważała, że „trzeba ten program realizować, ale życie może wnieść do niego różne poprawki”; 17% było zdania, że „wszyscy powinni się starać dokładnie ten program realizować”, natomiast 7% miało do uchwały programowej stosunek krańcowo „liberalny”: ich zdaniem „program nie jest zbyt ważny, nie należy nim się przejmować, tylko robić to, czego wymaga sytuacja”.<sup>10</sup>

W pewnym sensie wyniki te zawierają pośrednią aprobatę dla niejasnych wizji i zamglonych horyzontów „samorządnej Rzeczypospolitej”, bowiem literalnie traktowany program „Solidarności” dawał początek wielości i otwartości opcji politycznych. Taka konstrukcja mogła odpowiadać członkom Związku, których cechował brak „programowego rygoryzmu”, przywiązania do przegłosowanych i zapisanych formułek.

Po roku istnienia Związku sytuacja polityczna i ustrojowa była bowiem wciąż nieustabilizowana, trudno było przewidzieć, jak się rozwinie, a na czynionych przewidywaniach, które w polityce bieżącej są jednak nieodzowne, nie sposób było budować zwartej konstrukcji politycznej i ustrojowej. „Samorządna Rzeczpospolita” dzięki swej niejasności i mglistości odpowiadała taktycznym wymogom sytuacji i w tym sensie — i tylko w tym — spełniała oczekiwania członków „Solidarności”.

Jednakże program „Solidarności”, organizacji wciąż poszukującej wyrazu i określenia swojej tożsamości, usiłującej zmienić rzeczywistość społeczną, polityczną i ustrojową, by w ten sposób odnaleźć

własne miejsce w polskim krajobrazie — otóż program takiej organizacji nie mógł być motywowany wyłącznie czy przede wszystkim względami taktycznymi. Względ na politykę bieżącą i konieczną przy jej uprawianiu taktykę może mieć wpływ przeważający na program organizacji od lat ustabilizowanej i działającej w znanej sobie i akceptowanej przestrzeni ustrojowej, uznawanej przez innych i uznającej własne miejsce na politycznej mapie, świadomej swych celów i dróg, jakie do nich wiodą.

„Solidarność” nie była taką organizacją. Stwarzała wciąż sama siebie i próbowała przekształcić własne otoczenie ustrojowe. Nie powinna i nie mogła ograniczyć się do taktyki. Sam Zjazd, uchwalony na nim program powinien stać się czynnikiem głębokiej refleksji nad naturą Związku, przebytą drogą, możliwymi do osiągnięcia celami.

W przypadku „Solidarności”, organizacji i ruchu w stadium poszukiwania i samostwarzania, zadaniem programu było dokonanie wyboru — choćby bardzo szerokiego — z szeregu możliwych opcji; wybór taki wyznaczyłby punkty orientacyjne, wytyczył tropy dla dalszych poszukiwań ideowych i stworzył ramy dla bieżącej gry politycznej. Takiego wyboru w uchwale programowej Zjazdu nie było.

Polityczną pustkę programu Związku wypełniono hasłem, sloganem, wiecowym zawołaniem — „samorządną Rzeczpospolitą”. Jak do tego mogło dojść i jakie były tego faktu konsekwencje? — odpowiedź na te dwa pytania wyjaśnia dużą część z politycznych i ideowych zawiłań okresu sławnych 16 miesięcy.

Jak do tego mogło dojść? Historia dzieje się niechlujnie i bałaganiarsko pełna jest — jak mawiał Raymond Aron — wściekłości i wrzasku, nic nie jest w niej bezwarunkowo konieczne. To, że podstawowe idee „Solidarności” przybrały w końcu pokraczny kształt „samorządnej Rzeczypospolitej”, było wynikiem splotu szeregu czynników. „Samorządna Rzeczpospolita” nie była konieczna, ale oddziaływanie tych czynników nie było przypadkowe; świadczą one coś o Polakach jako o zbiorowości politycznej, a przede wszystkim o elitach tej zbiorowości — i to świadczą nie najlepiej.

Do „samorządnej Rzeczypospolitej” wiodły następujące ścieżki: wcześniejsze zaangażowanie „Solidarności” w walkę o samorząd pracowniczy; rywalizacje grup aspirujących do przewodnictwa politycznego i ideowego w Związku; stopniowe rozchodzenie się odczuć tak zwanego „aktywu Solidarności” i ogółu członków. Nie bez znaczenia było też i to, że „samorządna Rzeczpospolita” była „politycznie migotliwa”: było to hasło tak niejasne, że każda z istotnych, działających wewnątrz „Solidarności” grup mogła je odczytać w myśl swoich życzeń, przy czym były to życzenia najzupełniej ze sobą sprzeczne.

Dla działania na zewnątrz i wewnętrznego funkcjonowania „Solidarności” niezwykle ważna była opcja na rzecz samorządu pracowniczego. Trzeba przy tej sprawie zatrzymać się nieco dłużej, gdyż w tym wyborze zawarte były jak w zarodku te czynniki, które przesądziły o późniejszym przyjęciu programu „samorządnej Rzeczypospolitej”: rywalizacje wewnętrzne, poszukiwanie łatwych i wszystko obejmujących formuł politycznych, niewrażliwość na rzeczywiste postawy ogółu członków, ucieczka od skomplikowanej rzeczywistości w świat uproszczonej ideologii.

Przez długi czas od założenia Związku „Solidarność” jako całość, ogół członków, działacze w regionach, Lech Wałęsa i najistotniejsza politycznie grupa doradcza, czyli duet Bronisław Geremek — Tadeusz Mazowiecki do idei samorządowych odnosili się albo z jawną rezerwą, albo wręcz niechętnie. Natomiast samorząd jako główne pole aktywności pracowniczej lansowała przede wszystkim PZPR, widząc w tym możliwość stworzenia bezpiecznej alternatywy dla działalności niezależnych związków zawodowych.<sup>11</sup> Wczesną wiosną 1981 roku w „Solidarności” za kierunkiem samorządowym opowiadały się jednostki i grupy w jakimś sensie marginesowe: tworząca się dopiero po kryzysie bydgoskim „Sieć wiodących zakładów pracy”, lewicowa grupa Jacka Kuronia — Adama Michnika — Karola Modzelewskiego, której znaczenie w tym czasie na skutek konfliktu z Wałęsą oraz Geremkiem i Mazowieckim zdecydowanie zmalało, niewielkie grupki proweniencji lewackiej (Zbigniew Kowalewski w Łodzi, miesięcznik NTO w Warszawie) i wreszcie samotny myśliwy wśród ekspertów — docent Jadwiga Staniszkis. W ciągu dwóch i pół miesiąca sytuacji ulegał radykalnej zmianie: na przełomie czerwca i lipca samorząd pracowniczy stał się głównym zawołaniem bojowym „Solidarności”. *Tygodnik Solidarność* — pismo Geremka i Mazowieckiego — wprowadził stały dział „Samorząd dla naprawy”, za samorządem pracowniczym opowiedziała się większość regionalnych zjazdów Związku oraz Lech Wałęsa. „Sieć” stworzyła własne projekty ustaw o samorządzie pracowniczym i przedsiębiorstwie społecznym, a jej stanowisko zostało w zasadzie przyjęte przez Krajową Komisję Porozumiewawczą.

Najważniejszą przyczyną tej zmiany była sytuacja gospodarcza, załamanie się systemu reglamentacji, brak czegokolwiek na rynku żywnościowym i rynku przemysłowym artykułów konsumpcyjnych, łącznie z artykułami pierwszej potrzeby. Ostre reakcje ze strony „dołów” „Solidarności” zaczęły się w pierwszej połowie czerwca: zdecydowano się na ogłaszanie gotowości strajkowej.<sup>12</sup> Instancje regionalne Związku gasiły te pożary: zdawano sobie sprawę, że okres między XI plenum KC PZPR a IX zjazdem tej partii nie jest odpowiedni dla strajków i manifestacji. Jednakże napięcie społeczne musiało znaleźć jakieś ujście; dla licznych działaczy Związku

rozwiązaniem było zastąpienie niemożliwego radykalizmu czynów przez radykalizm słów i haseł odnoszących się do gospodarki. Samorządy pracownicze nadawały się do tego celu znakomicie.

Po drugie, widoczna była bierność władz w obliczu kryzysu gospodarczego. W kręgach „Solidarności” sądzono, że wynika ona z rozbięcia i rozregulowania podstawowych instytucji dotychczasowego systemu politycznego. Formułowano też pogląd bardziej radykalny: bierność władz na obszarze gospodarczym ma charakter sabotażu i dywersji. Na spotkaniu „Sieci” Jadwiga Staniszkis stwierdziła, że „władze dążą do strukturalnej degradacji gospodarki”.<sup>13</sup> W miarę załamywania się rynku żywnościowego opinia ta stawała się coraz bardziej powszechna wśród członków i działaczy „Solidarności”. Oczywiście, nie myślano o „strukturalnej degradacji”, lecz o tym, że „czerwony chce wygłodzić zbuntowany naród”.<sup>14</sup>

Jakkolwiek było w rzeczywistości, bierność władzy stawała się dla kierownictwa Związku coraz większym problemem politycznym, dla całego społeczeństwa — problemem życiowo-kolejkowym.

Po trzecie, coraz ostrzejszą i publicznie wyrażaną krytykę zaczynała budzić bierność w sferze gospodarczej samej „Solidarności”. Atakowano ją od wewnątrz za praktyczną nieobecność na najważniejszym dla narodu obszarze. Na odbytej w Łodzi w początkach lipca konferencji działaczy i ekspertów w sprawie programu „Solidarności” „przeważała opinia, że jeśli Związek nie podejmie tych spraw (gospodarczych — L. D.), to zaciąży na nim odpowiedzialność za katastrofę narodową”.<sup>15</sup> Podobne opinie formułowano w publicystyce związkowej i na zjazdach regionalnych.

Także w badaniach opinii członków „Solidarności” kwestia jej zaangażowania w reformę gospodarczą zaczyna wyraźnie zwyżkować od przełomu wiosny i lata: w opinii związkowców w czerwcu sprawa reformy gospodarczej znajduje się w grupie spraw średnio ważnych; w sierpniu stanie się obok suwerenności Polski najważniejszą sprawą kraju.

Po czwarte, sprawa samorządu pracowniczego zaczęła zyskiwać w „Solidarności” szerszy rozgłos po dwu i półmiesięcznym okresie bezowocnych negocjacji z rządem (od porozumienia warszawskiego do połowy czerwca). Wprawdzie uzyskano jedno fundamentalne ustępstwo — zapowiedzianą w porozumieniu warszawskim rejestrację związków chłopskich — a w sprawie dostępu do telewizji prowadzący rokowania ze strony Związku odrzucił propozycję autonomicznej 20 minutowej audycji związkowej — ale wobec dramatycznej sytuacji kraju ogół członków i działaczy „Solidarności” oczekiwał zarysu globalnego porozumienia, a tego z kolei nie chciały władze. Do połowy czerwca 1981 żadnych istotniejszych wyników nie osiągnięto w negocjacjach, a wśród działaczy „Solidarności” narastała frustracja spowodowana świadomie tworzonym przez władze impasem.

Jednocześnie na przełomie czerwca i lipca propaganda partyjno-rządowa rozpoczęła ostrą kampanię przeciwko samorządowym projektom „Sieci” i stanowisku „Solidarności” wobec rządowych projektów ustaw. Prawdopodobnie miał to być środek nacisku na „Solidarność”, przyniósł jednak wyniki przeciwne założonym: kampania propagandowa władzy sprzyjała narodzinom przekonania, że w sprawie reformy gospodarczej rząd sam nic nie robi, a zajmuje się atakowaniem tego, co proponuje Związek — czyli „autentycznych samorządów”.

Wszystkie te czynniki razem wzięte sprawiły, że duża część działaczy Związku wróciła myślą do metody sprawdzonej w czasach sukcesów „Solidarności”. Była to metoda stawiania władzy przed faktami dokonanymi. Wczesną jesienią 1981 roku taktykę tę opisywało hasło ironicznie nawiązujące do sloganu z początków gierkowskiej dekady: „partia kieruje, rząd rządzi, a my robimy swoje”. W 1980 roku rzeczywiście robiliśmy „swoje” — zakładaliśmy „Solidarność”, budowaliśmy polską, niezależną instytucję społeczną.

W 1981 roku chodziło nie o związek zawodowy, lecz o reformę gospodarczą i ratowanie kraju przed kryzysem. Wydawało się, że samorząd pracowniczy stwarza taką możliwość, że można go założyć, i to niezależnie od władzy.

„Tak jak «Solidarność» powstawała w sposób spontaniczny — mówił w początkach marca 1981 roku znany działacz Mazowska — tak samo muszą się tworzyć rady pracownicze. [...] My powinniśmy tworzyć formy, które będą musiały być później zaakceptowane przez władze i ustawodawstwo”.<sup>16</sup> Nie innego zdania była docent socjologii, dla której samorządy pracownicze były środkiem do „wywłaszczenia państwa z roli dysponenta środków produkcji, jeśli nie potrafi ono zapewnić bytu narodowi”. Samorządy miały też posłużyć do likwidacji zjednoczeń i „konwersji potencjału przemysłowego, czyli przedstawienia go na potrzeby rynku i rolnictwa”.<sup>17</sup>

Świadomość solidarnościowego aktywu nasączyła się tymi ideami: latem 1981 zostaną one uznane za własne. Na wspomnianej już konferencji w Łodzi zadawano pytanie: „Jak Związek ma przeprowadzić reformę gospodarczą? Jak często się zdarza, tylko radykałowie znaleźli jasną odpowiedź. „Solidarność” może — ich zdaniem — przeprowadzić reformę od dołu, poprzez ruch samorządowy. Zostawmy rząd, niech sobie egzystuje, jeśli ma na to ochotę, byleby nie przeszkadzał w dziele reformy, którą wraz z samorządami podjąć trzeba od zaraz”.<sup>18</sup>

Opcja samorządowa przedstawiała się działaczom wyrosłym na doświadczeniu „Solidarności” niezwykle atrakcyjnie. Łączyła w sobie wszystkie składniki solidarnościowej recepty na sukces: nacisk na władze, ruch oddolny, ruch społeczny, fakty dokonane, tworzenie własnych instytucji. Obiecywała wyjście z impasu, była prosta, jasna,

łatwa do zrozumienia. Ponadto była wygodna i nie wymagała większego wysiłku ze strony Związku.

Wiosną i latem 1981 roku proces podejmowania decyzji został w dużej mierze w „Solidarności” zablokowany przez odbywające się wybory do władz związkowych. Tworzący się — przede wszystkim na papierze — ruch samorządowy spadał w takiej sytuacji jak z nieba: to on, a nie Związek miał dokonać dzieła reformy. „Solidarności” wystarczyło go poprzeć, by uzyskać przekonanie, że rozwiązano problem zaangażowania się w ratowanie gospodarki polskiej.

Wszystkie te czynniki stwarzały sytuację ideowo-polityczną, w której idea samorządowa mogła uzyskać przewagę w szeregach działaczy Związku. Aby jednak „idea opanowała masy” i stała się przez to siłą materialną, muszą istnieć grupy polityczne, które będą ją formułować i forsować. Samorządom nie zabrakło takich grup.

Oprócz działającej w pojedynkę Jadwigi Staniszkis i środowisk lewackich, inspirowanych politycznie prężną grupę działaczy łódzkich (Palka, Kropiwnicki, Słowik i inni), największe znaczenie w dziele forsowania idei samorządowych miała „Sieć” oraz grupa Kuroń—Michnika—Modzelewskiego.

W przypadku „Sieci” za opcją samorządową kryły się głównie czynniki socjologiczne. Tworzyli ją nie robotnicy, lecz młodzi technicy i inżynierowie sfrustrowani załamaniem się gospodarki, bałaganem w zakładach pracy, biernością „Solidarności”, zablokowaniem własnych karier zawodowych. W latach siedemdziesiątych w wyniku wzrastającego upartyjnienia kadry kierowniczej grupa ta wbrew własnym kwalifikacjom i aspiracjom została odsunięta od jakiegokolwiek wpływu na zarządzanie systemem przemysłowym. W zaprojektowanym ruchu samorządowym ludzie z tego środowiska mieli w sposób naturalny objąć stanowiska przewodniczących i członków prezydiów rad pracowniczych. Idea samorządowa dawała im nadzieję na przełamanie impasu gospodarczego i zmianę własnej frustrującej pozycji społecznej. Nic też dziwnego, że została sformułowana i była forsowana.

Natomiast w przypadku grupy Kuroń—Michnika—Modzelewskiego pierwszoplanową rolę odgrywały motywy ideowo-polityczne. Koncepcja organizacji społeczeństwa w różnego rodzaju ciałach samorządowych ze szczególnym uwzględnieniem rad robotniczych stanowiła jeden z nielicznych, pozataktycznych punktów głębokiej krystalizacji ideowej tego środowiska, sięgający wstecz do 1956 roku.

W „Liście otwartym do partii” napisanym w początkach lat sześćdziesiątych Kuroń i Modzelewski stwierdzali, że w 1956 roku „namiastką politycznej awangardy ruchu mas robotniczych mogła być tzw. lewica październikowa [...]; odróżniała się ona od nurtu liberalnego przede wszystkim swym stosunkiem do Rad Robotniczych”.<sup>19</sup>



Ten właśnie wątek kontynuował „List otwarty”: „Interesem klasy robotniczej — pisano — jest rewolucja [...], czyli wprowadzenie systemu ekonomicznego, społecznego i politycznego opartego na demokracji robotniczej”. W takim systemie „przedstawicielstwa załóg robotniczych są podstawą władzy ekonomicznej i politycznej”.<sup>20</sup>

Tym niezbyt oryginalnym projektem towarzyszyły gwałtowne deklamacje entydemokratyczne i antyparlamentarne, z których autorzy wycofali się w latach siedemdziesiątych. Jednakże idea ciał samorządowych jako podstawy organizacji społeczeństwa pozostała. W 1981 roku Karol Modzelewski widział w samorządach główną nadzieję Polaków, a Jacek Kuroń opisywał ją jako „nową organizację do rządzenia”, która zastąpi rozbity i skompromitowany aparat partyjno-państwowy.<sup>21</sup>

Jednakże w przypadku działaczy pokroju lewicowo-lewackiego nie tylko wizje ustrojowe, lecz i względy polityki praktycznej sprawiły, że obdarzali oni rady i samorzady pracownicze wyjątkowym zainteresowaniem. W myśleniu inspirowanym lub też genetycznie wywodzącym się z marksizmu-leninizmu idea rad robotniczych pozostaje w najściślejszym związku z doświadczeniem zdobycia władzy przez partię stanowiącą znikomą mniejszość i pozbawioną szans w warunkach demokratycznych. Jest to doświadczenie partii bolszewickiej i rewolucji rosyjskiej 1917 roku.

W 1917 roku Lenin przeciwstawił powstające rady (przede wszystkim Radę Piotrogrodzką) Rządowi Tymczasowemu, „bezpośrednią inicjatywę mas ludowych” republikańsko-demokratycznej formie rządów. W ramach tego ustroju bolszewicy byli pozbawieni szans na zdobycie władzy, a Lenin był konsekwentnym wyznawcą poglądu, że „podstawowym zagadnieniem każdej rewolucji jest zagadnienie władzy w państwie”.<sup>22</sup>

Rosyjskie rady były formą plebejsko-robotniczej rewolty z charakterystycznym dla tego typu ruchów brakiem zorganizowania i polityczną amorficznością. Przyciągnęło to uwagę Lenina: najciekawsze w jego publicystyce z roku 1917 są rozważania taktyczne o możliwości opanowania rad przez bolszewików i obalenia na tej drodze Rządu Tymczasowego. „Aby stać się władzą” — pisał Lenin w znanym artykule „O dwuwładztwie”, poświęconym w znacznej części Radom — „świadomi robotnicy powinni zdobyć sobie większość: *póki* nie ma przemocy nad masami, nie ma innej drogi do władzy [...] zespólmy się dla proletariackiej pracy klasowej”.<sup>23</sup>

Nie sugeruję w żadnym razie, że grupa Kuronia—Michnika—Modzelewskiego kierowała się ideologią marksizmu-leninizmu, że chciała założyć partię komunistyczną i ustanowić dyktaturę proletariatu z sobą na czele. Twierdzę natomiast, że najwybitniejszym postaciom tego kręgu wychowanym politycznie i ideowo na teorii i praktyce marksizmu-leninizmu nie były obce taktyczne rozważania

Lenina, skądinąd inteligentne i — jak wykazała praktyka — niezwykle trafne. W szczególności trafna była intuicja odnosząca się do otwartości rad i wszelkich amorficznych i niebrojnych instytucji na wpływ zwartych i dobrze zorganizowanych grup politycznych.

Dlatego widziałbym związek między opcją samorządową grupy Kuronia—Michnika a bliskim w czasie rozpoczęciem dyskusji i prac organizacyjnych nad powołaniem załóżka partii politycznej — powstałej w końcu na jesieni 1981 pod nazwą Klubów Samorządnej Rzeczypospolitej.<sup>24</sup> Wybór kierunku samorządowego miał zatem dla tej grupy podwójny charakter: z jednej strony stwarzał nadzieję na realizację wyhołubionej koncepcji ustrojowej, z drugiej — otwierał nowe możliwości grupowego wpływu na życie polityczne kraju, politycznego zagospodarowania stwarzanego obszaru samorządowego.

Najważniejszy ośrodek w politycznym kierownictwie „Solidarności” — tandem Geremek-Mazowiecki — w kwestii samorządów dokonał na przełomie czerwca i lipca wyraźnego zwrotu przechodząc od rezerwy do poparcia; świadczy o tym wyraźnie ewolucja linii „Tygodnika Solidarność”.<sup>25</sup>

Przyczyny tego zwrotu były po części wewnątrzgrupowe: za ideami samorządowymi opowiadała się część ich bezpośredniego zaplecza politycznego — skupieni w OPSZ eksperci *minorum gentium* bez szczególnych politycznych wpływów i możliwości (typową postacią tego kręgu był docent Szymon Jakubowicz), należący do specyficznej formacji „październikowej”, ukształtowanej w okolicach 1956 roku. Przez lata przechowali oni koncepcję rad robotniczych jako istotnego elementu systemu społeczno-gospodarczego i odmiennej od modelu radzieckiego formy realizacji idei socjalistycznej. Gdy czas „Solidarności” stworzył możliwości realizacji samorządowego socjalizmu, naciskali oni swoich liderów, by zaangażować się w tym kierunku.

Jednakże diumwirat kierujący politycznie „Tygodnikiem Solidarność”, a w dużej mierze związkiem „Solidarność”, poparł w końcu opcję samorządową pod wyraźną presją wewnętrznej sytuacji w całym Związku i działalności konkurencyjnej grupy Kuronia—Michnika—Modzelewskiego. Widoczna była obawa, by polityczna konkurencja nie przejęła na własność nośnego społecznie hasła. Z drugiej strony poparcie przez „Tygodnik Solidarność” samorządów pracowniczych przyczyniło się do nadania im rangi podstawowego problemu politycznego, wywindowało go na pierwsze miejsce w agendzie działań „Solidarności”.

Opcja Geremka i Mazowieckiego była o tyle ważna, że czynnik o największej wadze w „Solidarności”, czyli Lech Wałęsa, przez dłuższy czas do kursu samorządowego odnosił się z dystansem i nieufnością. Na jesieni 1980 Wałęsa przeciwny był udziałowi

„Solidarności” w samorządzie pracowniczym; w czerwcu 1981 podtrzymał to stanowisko podczas szeregu spotkań ze związkowcami w różnych regionach kraju.<sup>26</sup>

Wkrótce potem zmienił front. Wpłynęła na to z pewnością postawa wszystkich grup politycznych, z jakimi miał kontakt: zarówno wspierających go (powołana w porozumieniu z nim „Sieć” oraz Geremek—Mazowiecki), jak i zwalczających (grupa Kuronia—Michnika—Modzelewskiego).<sup>27</sup> Czynnikiem decydującym była jednak wewnętrzna sytuacja w całym Związku.

W lipcu w zaufanych gronach Wałęsa napomukał, że władze Związku, a zwłaszcza KKP, powinny zmanifestować wobec członków „Solidarności” i całego kraju, że jeśli nawet w Związku zdarzają się spory i konflikty, to mają one charakter przede wszystkim merytoryczno-programowy, a nie wyłącznie personalny.

Wcześniejszy spór o porozumienie warszawskie stał się znany i głośny przede wszystkim przez swój aspekt personalny: we wszystkich regionach wiedziano o konflikcie między Wałęsą i Anną Walentynowicz oraz Andrzejem Gwiazdą. Konflikt ten przybrał jawny charakter w czasie zjazdu delegatów regionu gdańskiego, a podobne zjawiska — choć na innym tle — wystąpiły podczas zjazdów w innych regionach. Sprawiało to wrażenie, że Związek rozdierany jest wyłącznie sporami personalnymi. Ten stan rzeczy należało zmienić i pokazać, że najwyższe władze Związku zdolne są także do działalności programotwórczej.

Ponadto „Solidarności” potrzebna była w tym czasie znacząca wypowiedź programowa ze względu na okres przedzjazdowy. W powszechnym odczuciu przygotowane w marcu 1981 roku przez OPSZ „tezy do dyskusji” mocno się zdezaktualizowały i nie stały się podstawą do przedzjazdowych refleksji. Innej wypowiedzi programowej nie było i wyglądało na to, że politycznie i programowo Zjazd „Solidarności” będzie całkowicie nie przygotowany. Temu trzeba było zapobiec.

Wreszcie ostatnim dzwonkiem alarmowym była próba wewnętrz-solidarnościowego zamachu stanu dokonana przez grupę działaczy w Łodzi kierujących tamtejszym Zarządem Regionalnym. Pod hasłami przeciwstawienia się „bierności” KKP i Wałęsy próbowano zwołać w Łodzi zebranie przedstawicieli regionów, które przejęłoby w swe ręce polityczno-programowe przywództwo w Związku. Próba ta spaliła na panewce, ale niewątpliwie była ostatnim poważnym ostrzeżeniem.<sup>28</sup> Coś trzeba było zrobić, jakaś wypowiedź programowa naczelnej władzy Związku była konieczna, jeśli chciało się zapobiec dalszym wewnętrznym wstrząsom.

Taka była sytuacyjna geneza posiedzenia KKP w dniach 24-26 lipca 1981 roku, na którym zdecydowano, że głównym kierunkiem zaangażowania „Solidarności” są samorządy pracownicze.

Stenogram dyskusji z tego posiedzenia, poświęconej głównie samorządom, opublikowano w „Tygodniku Solidarność” w półmilionowym nakładzie i ten właśnie dokument zakreślił ramy do dyskusji przedzjazdowych.

Ponadto publiczne poświadczenie zgodności wszystkich istotniejszych grup politycznych w Związku w kwestii samorządów było znakiem sojuszu zawartego między diumwiratem Geremek—Mazowiecki a grupą Kuronia—Michnika—Modzelewskiego. Jeśli Zjazd „Solidarność” nie miał się skończyć jednym wielkim bałaganem, trzeba go było sensownie politycznie rozegrać. Doświadczenia wiosny i lata 1981 wykazywały, że żadna z dwóch grup nie jest w stanie uczynić tego samodzielnie bez wsparcia drugiej. Od czasu lipcowego posiedzenia KKP datuje się polityczna współpraca między grupą Kuronia a tandemem Geremek—Mazowiecki; lepikiem kooperacji stał się samorząd, a celem rozegranie na tym motywie okresu przedzjazdowego i samego Zjazdu „Solidarność”.

Ponadto obie te grupy miały dodatkowy motyw, by wspólnie opowiedzieć się za koncepcją samorządową. Motywem tym było przeciwstawienie się tendencjom skonstruowania programu Związku wokół postulatu przeprowadzenia wolnych wyborów do Sejmu. Postulat ten na forum KKP wyrażany był niezbyt udolnie i w języku radykalnym przez Jana Rulewskiego i Stefana Kurowskiego, ale wśród ogółu członków zaczynał zyskiwać na popularności. Brakowało mu jedynie odpowiedniego sformułowania w języku polityki. Temu przeciwstawiły się ostro obie grupy: widać to było na lipcowym posiedzeniu KKP w wypowiedziach Jacka Kuronia, Janusza Onyszkiewicza, Andrzeja Wielowieyskiego. Wraz z uchwaleniem programu samorządowego koncepcja wyborcza schodziła, mimo masowego poparcia, na margines wewnątrzwiązkowej kontestacji.

O przeforsowaniu idei samorządowych rozstrzygnęły względy taktyczne: gry z władzą i gry wewnątrz „Solidarność”. Miało to dla Związku konsekwencje złowrogie: w czasie trudności ze znalezieniem właściwej linii programowej wybrano kierunek działania obojętny dla większości członków „Solidarność”, choć ponętny dla jej działaczy.

Dla części inicjatorów walki o samorząd hasło to miało stać się latem 1981 roku tym, czym dwanaście miesięcy wcześniej było hasło wolnych związków zawodowych. Takie nadzieje wyrażano otwarcie, na to liczono i przeliczono się. Po prostu idea samorządu pracowniczego nia miała wśród załóg i Komisji Zakładowych „Solidarność”, w społecznych odczuciach i potrzebach, zaplecza odpowiadającego skali wiązanych z nią nadziei. Angażując „Solidarność” w samorząd wpędzono Związek w obszar społecznej pustki wypełnionej watakrzyków i entuzjastycznych dziennikarskich doniesień, że samorzady są potrzebne, że wszędzie się tworzą, że działają skutecznie dla naprawy.

Sygnaty, że załogi odnoszą się do samorządów pracowniczych z rezerwą, docierały do członków KKP, lecz nie wpływało to w najmniejszym stopniu na ich poglądy i działania. Opowiadano się co najwyżej za wzmożeniem szkoleń lub wydaniem zarządzeń zobowiązujących instancje zakładowe „Solidarności” do popierania samorządów.<sup>29</sup> Brak poparcia ogółu członków dla samorządów sygnalizowały też sondaże opinii związkowej. W sierpniu 1981 roku w trakcie kampanii o samorząd pracowniczy (ale przed pierwszą turą Zjazdu „Solidarności” i przed III plenum KC PZPR poświęconym samorządom) OBS Mazowsze przeprowadził ogólnopolski sondaż opinii członków „Solidarności” na losowej reprezentatywnej próbie. Pytano między innymi o ocenę najważniejszych w obecnej sytuacji spraw, przedstawiając badanym ich listę i prosząc o stwierdzenie, czy są one pierwszorzędnej wagi, bardzo ważne, ważne, dość ważne, mało ważne, nieważne.

Otóż „samorządność w zakładach pracy” znalazła się — sumując głosy tych, którzy uznali ją za sprawę pierwszorzędnej wagi lub bardzo ważną — na szóstym miejscu dziewiętnastopunktowej listy z odsetkiem głosów 64,8%. W opinii członków Związku wyprzedziły ją takie sprawy jak: zabezpieczenie przed bezrobociem (72,4%), zwiększenie jawności informacji, ograniczenie cenzury (75%), znajomość prawdziwej historii Polski (77%).

Na czele listy znalazły się dwie sprawy: reforma gospodarcza (80%) i suwerenność kraju (79,3%).<sup>30</sup> Można argumentować, że ogólnikowe hasło „reforma gospodarcza” dla większości członków Związku zawierało w sobie sprawę samorządności w zakładach pracy, ale w owym czasie kampania propagandowa „Solidarności” nakierowana była wyłącznie na samorządy jako narzędzie, główną instytucję i gwaranta reformy.

Przypuszczenie, że samorządy są wśród związkowców instytucją o słabo znanych kompetencjach, zadaniach i funkcjach, znalazło potwierdzenie w innych badaniach przeprowadzonych przez OBS Mazowsze pod koniec sierpnia 1981 na Śląsku i Mazowszu (celem badania było uzyskanie informacji o reakcjach członków Związku na apel KKP o pracę w wolne soboty). Gdy pytano respondentów o to, jakie, ich zdaniem, zmiany wpłynęłyby korzystnie na decyzje załóg o przystąpieniu do pracy w wolne soboty, 29% górników i 31% pracowników w zakładach przemysłowych Mazowsza wskazało na „powołanie w zakładzie autentycznego samorządu”. Jednocześnie o wiele większy odsetek górników (56,5%) i pracowników z Mazowsza (41%) wymienił „kontrolę załogi nad tym, co zostało w wolne soboty wypracowane”.<sup>31</sup>

Jeśli przypomnieć, że w myśl postulatów „Sieci” i „Solidarności” kontrolę załogi nad produkcją realizować miał autentyczny samorząd, to nasuwa się wniosek, że związkowcy funkcje kontrolne

przypisywali innej instytucji. Jak wykazały badania OBS Mazowsze z jesieni 1981, tą instytucją był nie nieistniejący lub słaby samorząd, lecz istniejąca Komisja Zakładowa „Solidarności”.

Te same badania pozwoliły na sformułowanie wniosku o powszechnej jednogłośnieści przeciętnych działaczy Komisji Zakładowych, którzy negatywnie oceniają „akcję samorząd”.

Możemy stwierdzić, że wbrew swoim przekonaniom działacze KZ odpowiadając na apel Związku poparli swoim autorytetem ruch samorządowy, który jest w tej chwili w dużej części zakładów przemawiany przez „bankrutów społecznych”, czyli PZPR i związki branżowe. Fakt ten osłabia wyraźnie autorytet „Solidarności” i autorytet działaczy w oczach członków Związku”...<sup>32</sup>

Późną jesienią 1981 ta skrzecząca samorządowo-zakładowa rzeczywistość zaczęła docierać do politycznych inicjatorów walki o samorząd. Jan Lityński (ekspert Mazowsza, członek grupy Kuroń—Michnika) podczas jednej z dyskusji stwierdził: „jak dotychczas propozycja samorządów nie wzbudziła ruchu społecznego. Powstaje zasadniczy problem jak nasz Związek, rzucając hasło samorządów, ma obudzić aktywność ludzi”.<sup>33</sup> Henryk Wujec (także uczestnik grupy Kuroń—Michnika, odpowiedzialny w prezydium Zarządu Regionu Mazowsze za sprawy samorządów) przyznał, że ruch samorządowy „nie posiada wewnętrznej dynamiki, a jego przyszłość stoi pod znakiem zapytania”.<sup>34</sup> Przewodniczący KZ „Solidarności” w Hucie Warszawa trzeźwo odnotował: „Kiedy sprawa idzie o pieniądze, kiedy strajkujemy o kartę hutnika, nie ma problemu — wszyscy są gotowi, a gdy chodzi o samorząd, zainteresowanie jest minimalne”.<sup>35</sup>

Na cofnięcie się, zmianę kierunku było już jednak za późno. Zbliżał się stan wojenny. Przez poprzedzające go, kluczowe miesiące olbrzymia maszyna „Solidarności” kręciła się w społecznej pustce, pracowała na jałowym biegu. Powodowało to stopniową, więc słabo dostrzegalną utratę sił, zacieranie się trybów.

Opisana wyżej aktywność grup politycznych dążących do preferowania koncepcji samorządowych byłaby bezowocna, gdyby nie ukształtowane w specyficzny sposób postawy i nastroje średniego i wyższego szczebla działaczy „Solidarności”. Paradoks polega na tym, że wybrani demokratycznie przedstawiciele ogółu związkowców, obdarzeni przez ten ogół autentycznym, głębokim zaufaniem, zaakceptowali i poparli ideę, do której tenże ogół odnosił się z dystansem bądź wręcz z niechęcią.

Opozycja przeciw samorządom była wewnątrz Związku bardzo słaba: ze znanych działaczy wyrażał ją jedynie Jan Rulewski, w kręgach polityczno-doradczych samorządom przeciwstawiał się Stefan Kurowski, Jan Olszewski i Wiesław Chrzanowski oraz grupa Antoniego Macierewicza (grupa „Głosu”) oddziałująca wewnątrz „Solidarności” poprzez OBS Mazowsze. Natomiast za kierunkiem

samorządowym poza wymienianymi już grupami politycznymi opowiedziała się olbrzymia większość regionalnych i krajowych działaczy Związku, czego najlepszym wyrazem było przegłosowanie przez zjazd „Solidarności” uchwały w sprawie samorządów pracowniczych przy jednym głosie sprzeciwu i jednym wstrzymującym się. Po przegłosowaniu uchwały „rozległy się oklaski, które po chwili objęły całą salę. Wszyscy wstali zdając sobie sprawę, że uchwalono najważniejszy dokument z tej tury Zjazdu”.<sup>36</sup>

W chwili tej burzliwej, długo nie milnącej owacji nastąpiło daleko idące rozejście się postaw i odczuć delegatów (przede wszystkim działaczy szczebla regionalnego i „oddziałowego”) i ogółu członków.

Fakt ten dokumentuje w sposób uderzający porównanie badań opinii ogółu członków Związku i delegatów na I KZD. Istotną „różnicą między delegatami a «masami członkowskimi» jest częstość widzenia w «Solidarności» samorządu pracowników. Ten aspekt podnoszony jest wyraźnie częściej przez członków niż przez delegatów. Spośród członków wymienia go na pierwszym miejscu 4,7%, ogólnie zaś wspomina o nim jako o aspekcie ważnym 45,7%. Spośród delegatów tylko jeden człowiek wysunął aspekt samorządu na czołowe miejsce, zaś 23,2% uznało tę cechę za jedną z ważnych dla charakterystyki «Solidarności». Różnica okazała się statystycznie istotna poniżej poziomu  $p = 0,001$ ”.<sup>37</sup>

Różnie można interpretować tę odmienną poglądów. Autorzy cytowanego opracowania sądzą, że da się ona wytłumaczyć tym, że „przeciętny członek Związku operuje, jak każdy przeciętny człowiek, optyką lokalną, gdy horyzonty przeciętnego delegata są szersze, częstokroć znacznie, i dlatego delegaci rzadziej uznają za pierwszoplanowy lub nawet bardzo ważny ów aspekt samorządowy”.<sup>38</sup>

W takiej interpretacji jest coś rzeczowego, ale sądzę, że winna ona pójść w nieco innym kierunku. Odmienną perspektywę, różnicą w „szerokości horyzontów” polegała raczej na tym, że delegaci w o wiele większym stopniu niż szeregowi członkowie żyli wewnętrznymi, organizacyjnymi i ideowymi problemami „Solidarności”, byli wyczuleni w pierwszym rzędzie na sygnały płynące z jej wnętrza, a nie z otaczającej ją rzeczywistości społecznej, politycznej i gospodarczej. A w „Solidarności” latem 1981 roku ustalił się pogląd, że Związek nie powinien pełnić sam ról samorządowych, lecz poprzeć i powołać do życia autonomiczny ruch samorządowy.

Natomiast szeregowi członkowie Związku odbierali także sygnały z pozasolidarnościowego obszaru życia społecznego, stykali się z rzeczywistością, patrzyli na nią i musieli rozstrzygać problemy, które napotykali. „Solidarność” widzieli, mogli obserwować, jak działała w zakładzie pracy niejednokrotnie uczestnicząc w zarządzaniu nim w sposób mniej lub bardziej sformalizowany. O ruchu samorządowym

najczęściej tylko słyszeli lub czytali o nim w solidarnościowej prasie. I gdy pytano ich, czym jest „Solidarność”, odpowiadali, że jest ona także samorządem pracowników.

To daleko idące rozjęście się postaw „aktywu” i członków było ceną, jaką płacono za przydatność taktyczną idei samorządowych. Dla ludzi uprawiających w „Solidarności” politykę praktyczną najważniejszą zaletą kierunku samorządowego było to, że nie był on żadną koncepcją, lecz pozorem pomysłu, cieniem udającym żywego człowieka, polityczną cząstką nieoznaczoną. Ruch samorządowy mógł oznaczać wszystko i nic zarazem: nową organizację do rządzenia, instytucję reformy gospodarczej, oddolne społecznikstwo, narzędzie przekształcania istniejącego państwa, rewolucyjne przejmowanie władzy gospodarczej. Dla każdego coś miłego, ale nic, co można by skonkretyzować, co wiązałoby ręce. Politycy uprawiający w imieniu „Solidarności” grę o władzę mieli wymarzoną sytuację: bezpieczne pole starcia, które nie prowadzi do konfrontacji, udający gromko istnienie ruch samorządowy, rewolucyjne wrzenie i rewolucyjny frazes za plecami, a nad sobą — żadnej kontroli, nic, co ograniczałoby pole manewru, co w jakikolwiek sposób wiązałoby ręce.

Para wytworzona w społeczeństwie i „Solidarności” przez łańcuchanie się rynku żywnościowego i systemu kartkowego, kryzys gospodarczy, bierność władzy i Związku w sferze ekonomicznej, bezowocność negocjacji z rządem musiała znaleźć jakieś ujście. Napięcia społeczne mogły zostać przełożone na język jasnego programu politycznego — chociażby zyskującego na popularności żądania nowych, zdemokratyzowanych wyborów do Sejmu. By do tego nie dopuścić, puszczono ją w gwizdek — samorzady. Gwizdał głośno — to prawda. Ale ani społeczeństwo, ani „Solidarność” nie mogły nasycić się gwizdaniem.

Program „samorządnej Rzeczypospolitej” był nie tylko przeniesieniem wątpliwego i mglistego postulatu samorządności ze sfery gospodarczej na całość organizacji życia publicznego. Z koncepcją samorządów pracowniczych łączyły go podstawowe uwikłania personalno-taktyczne oraz brak rzeczywistego zaplecza społecznego wiodący nieuchronnie do wyrodzenia się w dętą sloganowość.

To, co sobie myślą członkowie „Solidarności” o „wizji samorządnej Rzeczypospolitej”, nie miało w gruncie rzeczy większego znaczenia. Motyw „samorządnej Rzeczypospolitej” był po prostu sposobem w miarę bezpiecznego rozegrania Zjazdu przez kierownicze i aspirujące do pozycji kierowniczych grupy polityczne w Związku.

Nie było w tym nic złego ani nienaturalnego. Z punktu widzenia ludzi uprawiających politykę czynną, praktyczną, bieżącą, wszelkiego rodzaju zjazdu, spędy, ustalania platform programowych — to dopust Boży, w czasie którego dochodzi do głosu masa ludzka nie zajmująca



się na co dzień polityką, która może napsuć, nakręcić, zamieszać. Potem delegaci rozjeżdżają się, a politycy zostają z masłem na głowie. Wobec takiego, nieuchronnego w organizacji demokratycznej koszmaru, zdrowo myślący polityk przyjmuje jedną postawę: przetrwać z jak najmniejszymi stratami własnymi i jak najmniejszą liczbą faktów dokonanych, które obciążą konto, gdy przyjdzie czas działania.

Ponadto podczas Zjazdów i ustalania programów ci, którzy mają już pozycję kierowniczą mogą wzmocnić ją albo stracić lub osłabić, natomiast konkurencja może uzyskać dostęp do władzy i wpływu lub szansę tę na dłuższy czas zaprzepaścić. Ostry spór programowy jest na wszelkiego typu zjazdach znakiem walki nie tylko idei, ale przede wszystkim ludzi i grup; brak sporu, zgoda wszystkich poważniejszych sił na przedstawiany pod dyskusję program świadczy o tym, że między potencjalnymi rywalami doszło wcześniej do kompromisu.

Na Zjeździe w hali „Olivii” w sprawie programu istotniejszych sporów nie było. W ten sposób zaowocował wcześniej zawarty między grupą Kuronia—Michnika a duetem Geremek—Mazowiecki samorządowy kompromis. Do rangi podstawowego sporu politycznego na Zjeździe awansowała w takim układzie kontrowersja zapoczątkowana w zespole opracowującym temat „Związek wobec władz państwowych i PZPR”, który podzielił się na „fundamentalistów” i „pragmatyków”. Konflikt ten już wtedy przedstawiano, a czyni się to po dziś dzień jako wynik „postępującej radykalizacji dołów związkowych”.<sup>39</sup> Radykałami mieli być „fundamentalisci”, natomiast umiarkowanie cechować miało „pragmatyków”, wśród których znalazły się osoby związane z tak odmiennymi orientacjami i układami politycznymi, jak Karol Modzelewski, Władysław Siła Nowicki, Andrzej Gwiazda, Bogdan Lis.

Na „fundamentalistów” znaczny wpływ wywarła osoba i koncepcje profesora Leszka Nowaka, współtwórcy głośnej w latach siedemdziesiątych w kręgach marksistów-leninistów „szkoły poznańskiej”.

Pod koniec gierkowskiego dziesięciolecia profesor Nowak odkrył, że dla grup sprawujących władzę kontrola i dyspozycja środkami przemocy jest nie mniej ważna, a może ważniejsza niż dyspozycja środkami produkcji, i na bazie tego odkrycia zbudował „teorię trójpanowania i trójpanów”, którzy w socjalizmie realnym skupiają w swych rękach trzy zasadnicze elementy władzy: własność, przymus i propagandę.

Obserwacja ta, sama w sobie dość banalna, została podana w szacie językowej marksizmu-leninizmu, znanej członkom Związku z komentarzy Dziennika Telewizyjnego i *Trybuny Ludu*. Miało to ten psychologiczny walor, że dawało poczucie zwrócenia narzędzia propagandy przeciwko jego twórcom i mogło się podobać z racji widocznej agresji językowej.

Projekt „fundamentalistów” inspirowany przemyśleniami profesora Nowaka miał charakter ideologiczny. Odrzucono ponadto porozumienie i umowę społeczną z władzami stwierdzając, że „broniący dotychczasowego systemu aparat władzy nie może być wiarygodnym partnerem społeczeństwa, a zatem i naszego Związku”. Alternatywą stanu dotychczasowego miało stać się wprowadzenie „faktycznego ludowładztwa” i „pluralizmu w życiu społeczno-politycznym”, tj. zasady wielopartyjności.<sup>40</sup>

Projekt „fundamentalistów” spadł jak z nieba elicie politycznej Związku, a zwłaszcza międzygrupowemu porozumieniu rozgrywającemu Zjazd na motywie wszechogarniającej samorządności. Zjazd zafundował sobie spór pozorny, mecz, w który strzelano gole do jednej bramki, z takiej w dodatku pozycji, jaka była najdogodniejsza dla strzelającego. Krytykując „fundamentalistów” Andrzej Gwiazda mógł wykazać, że nieobce mu jest właściwe dla realpolitików rozumienie subtelnych niuansów taktyki, a Karol Modzelewski skutecznie bronił przeciwko marksistowskiemu językowi projektu pluralizmu ideowego i światopoglądowego „Solidarności”, a w tym inspiracji chrześcijańskiej i narodowej.<sup>41</sup>

Dodatkową zaletą projektu „fundamentalistów” było włączenie postulatu wolnych wyborów w nierealny na pierwszy rzut oka plan polityczny, odrzucający jakiegokolwiek porozumienie lub umowę z władzami. Wałąc jak w bęben w „fundamentalistów” utrupiono zarazem jedyną opcję, która mogła stać się alternatywą „samorządnej Rzeczypospolitej”.

Zjazd z zadowoleniem odrzucił projekt „fundamentalistów” i nie dopuścił do głosowania nad wycofaniem z aneksu do statutu Związku klauzuli o kierowniczej roli partii komunistycznej; dało to ogółowi delegatów poczucie, że wykazali się zrozumieniem sytuacji politycznej i nie dali się powieść na manowce jałowego radykalizmu.

Sztuczna, pozorna w skali całej „Solidarności” i jej Zjazdu kontrowersja między „fundamentalistami” a „pragmatykami” nie dopuściła do ujawnienia się rzeczywistych różnic politycznych. Był to w gruncie rzeczy spór o deklarację i samookreślenie: pierwsi chcieli, by „Solidarność” ogłosiła, że władzy nie uznaje i rozmawiać z nią nie będzie, drudzy dążyli do czegoś przeciwnego. Rację mieli oczywiście „pragmatycy”, ale była to racja oczywista, powszechna, wspólna i przez to maskująca różnicę.

W cieniu tego sporu przebiegała działalność grup i jednostek dążących do zablokowania koncepcji „samorządnej Rzeczypospolitej” i sformułowania dla niej programowej alternatywy. Starania takie podejmowała grupa „Głosu” współdziałając odcinkowo z Ruchem Młodej Polski, który obsadził kluczowe stanowiska w Biurze Informacji i Propagandy (BIPS) przy KKP. Jednym z efektów tej współpracy było wprowadzenie do programu Związku szeregu

poprawek do pierwotnego projektu, akcentujących potrzebę zmiany ordynacji wyborczej do Sejmu i osłabiających wymowę samorządnościowych sformułowań.

Jednakże najpoważniejszą próbę programotwórczą podjęli dwaj eksperci KKP, członkowie Rady Programowej OPSZ i twórcy statutu „Solidarności” — prawnicy Wiesław Chrzanowski i Jan Olszewski. W przerwie między turami Zjazdu przygotowali oni „Tezy do programu i deklaracji ideowej NSZZ «Solidarność», które miały stać się alternatywą dla projektu przygotowanego w Komisji Programowej.

„Tezy do dyskusji” nie były wcześniej dyskutowane w ramach OPSZ ani nie zostały przedstawione Komisji Programowej Zjazdu, albowiem przewodził jej Bronisław Geremek niezbyt życzliwie ustosunkowany zarówno do autorów tekstu jak i jego zawartości.

Wiesław Chrzanowski dyskutował swoją wersję tekstu z zaprzyjaźnionymi przywódcami RMP, a Jan Olszewski z paroma delegatami regionu Mazowsze, którzy otworzyli później tzw. „Centrum” w Zarządzie Regionu.

Oba teksty połączono w jednolity dokument pod nazwą „Tez...”, a grupa delegatów z Mazowsza próbowała przy jego pomocy zmontować coś w rodzaju wewnętrzzjazdowej „platformy politycznej”. Niestety, niektórzy z nich wykazali się takim brakiem zręczności i umiejętności nawiązywania międzygrupowych porozumień, że bardziej zaszkadzili tej inicjatywie niż ją wspomogli. W ten sposób zostały zaprzepaszczone szanse stworzenia skutecznej opozycji wobec „wizji samorządnej Rzeczypospolitej”, opozycji zarówno programowej jak i polityczno-personalnej.

„Tezy...” usiłowały odwrócić zwyciężający na Zjeździe trend samorządowy proponujący polityczne oparcie się na instytucji umów społecznych, które „nie pozbawiają nikogo władzy, zapewniają natomiast rzeszom obywateli wpływ na losy i oblicze kraju [...]. W obecnych warunkach uznajemy za pilną potrzebę renegotjacje umów z sierpnia 1981 r.”

Renegocjacje te dotyczyć miały przewyciężenia kryzysu gospodarczego bez czego „nie możemy nawet marzyć o prawdziwej suwerenności”.

„Kryzysu — przestrzegano — nie rozwiąże samo tylko wprowadzenie samorządu pracowniczego w przedsiębiorstwach. Aby samorząd mógł działać efektywnie, konieczna jest zasadnicza reforma całego życia gospodarczego”.

Dla społeczeństwa gwarantem takiej reformy miała być Rada Społeczno-Gospodarcza, która jednakże nie miała nic wspólnego z Izbą Samorządową przy Sejmie. „Konstytucyjnych funkcji autentycznego przedstawicielstwa narodowego — stwierdzono wprost — nie da się przekazać żadnym instytucjom zastępczym w rodzaju Izby Samorządowej itp. Podważałoby to bowiem konstytucyjną zasadę

zwierzchnictwa narodu stanowiącą fundament ustroju demokratycznego”.

Ostateczną gwarancją polityczną dla społeczeństwa i „Solidarności” miała stać się „demokratyzacja struktury państwa oraz zapewnienie obywatelom pełnego korzystania z wolności konstytucyjnych. Sejm musi w pełni odzyskać — zgodnie z postanowieniami konstytucji — rolę najwyższej władzy w państwie. Nowa ordynacja wyborcza powinna mu zapewnić powszechnie uznany charakter przedstawicielski”.<sup>42</sup>

„Tezy...” zostały poparte i podpisane przez kilkudziesięciu delegatów z kilku regionów i powielone bez wiedzy i zgody prezydium Zjazdu, co na rozpowszechniających je ściągnęło zarzut „działalności frakcyjnej” podczas zjazdowych i pozjazdowych walk personalnych. Mimo to dokument ten wywarł pewien wpływ na ostateczny kształt uchwały programowej nie tyle dzięki własnemu ciężarowi politycznemu, co dzięki temu, że trafił w odczucie części delegatów i sformułował je w inny sposób niż projekt „samorządnej Rzeczypospolitej”.

Program „Solidarności” był — jak na program wielkiej organizacji przystało — kompromisem. Można wskazać sprzeczne i alternatywne wątki polityczne, koncepcje, szkice pomysłów, które w formie szczątkowej znalazły swoje miejsce w uchwale programowej. Trudniej byłoby odpowiedzieć na pytanie, między kim a kim był to kompromis, bo z żadną z tych koncepcji nie związały się liczące się w skali „Solidarności” grupy, natomiast najbardziej wpływowym ośrodkiem zależało ze względów taktycznych, by program Związku żadnej wiążącej koncepcji nie zawierał.

Jeśli zastosować ustrojowo-prawne rozumienie terminu „samorządna Rzeczpospolita”, to nigdy ona nie istniała, nie istnieje i nie zaistnieje, bo zaistnieć nie ma prawa. Rzeczpospolita — to forma państwa, samorząd — to sposób organizacji zbiorowości poza państwem. Rzeczpospolita może być demokratyczna, szlachecka, jeśli się uprzeć — to nawet ludowa, choć lud to pojęcie prawnie nieostre, ale na pewno nie może być — samorządna. Samorządna Rzeczpospolita to masło z serwatki ubite.

Uchwała programowa ukierunkowała aktywność Związku na ustrojową fikcję.<sup>43</sup> Jednakże hasło „samorządnej Rzeczypospolitej”, które zyskało sobie prawo obywatelstwa w „Solidarności”, poza jednym przypadkiem nie zostało przed 13 grudnia 1981 poważnie zaatakowane wewnątrz Związku. Można nad tym ubolewać, ale lepiej spróbować zrozumieć, dlaczego tak się stało, jakie mechanizmy polityczne wyzwoliła „samorządna Rzeczpospolita” wewnątrz „Solidarności” i jakie były ich konsekwencje.

Zawołanie o „samorządnej Rzeczypospolitej” odwoływało się do znacznej części działaczy „Solidarności”, trafiało różnymi drogami

w ich nie do końca uświadamiane uczucia i było ponadto tak mgliste, że różne grupy wśród szeroko pojętej polskiej, niezależnej elity politycznej mogły je interpretować w najkorzystniejszy dla siebie sposób. Istotne było też i to, że większość działaczy i delegatów na Zjazd miała w głowach polityczny męt i zamęt. Wynikało to z niejasności sytuacji i braku treningu politycznego, a nie z niedostatków wykształcenia i czytania. Niezależnie od niego większość delegatów od profesora przez inżyniera do wytapiacza była w polityce „ludźmi nowymi”, wyrwanymi przez sierpniową rewolucję ze swoich codziennych ról i znanych środowisk. Natrafili na problemy, które ich przerastały nie dlatego, by byli głupi, ale po prostu dlatego, że nigdy dotąd z nimi się nie stykali, nie przygotowywali się do ich rozwiązywania. Bez żadnej umiejętności pływania zostali rzućeni na głębokie wody wielkiej polityki. Dlatego grupa ta wykazała taką podatność na łatwe ideologiczne formuły, które jakoś porządkowały jej nowo odkrytą rzeczywistość. O tym, że formuły te były od rzeczywistości odległe, nie wiedzieli i nie mieli czasu się dowiedzieć.

„Samorządna Rzeczpospolita” odwoływała się i w inny sposób do odczuć delegatów na Zjazd i członków Związku. Samorządność w rozumieniu powszechnym, ludowym, jakie wykształciło się podczas sporu o samorząd pracowniczy, znaczyła: będziemy rządzić się sami, nie będzie nam rozkazywać „czerwotka”. Slogan o „samorządnej Rzeczpospolitej” poddawał się i takiej interpretacji i trudno się dziwić, że zyskała ona pewien poklask.

Z drugiej strony w akceptacji „samorządnej Rzeczypospolitej” pomocna była jej wewnętrzna ustrojowo-logiczna sprzeczność. Składowa samorządności wskazywała na obszar zainteresowań poza strukturami państwa; składowa Rzeczypospolitej pozwalała domyślać się, że chodzi o projekt ustrojowy różny od socjalizmu realnego.

Otóż ta niespójność i nieprzystawalność elementów odpowiadała dobrze wahaniom wewnątrz „Solidarności”, oscylacji świadomości i „politycznej podświadomości” działaczy między dwoma biegunami: klasycznie i — w sytuacji polskiej — wąsko pojmanego związku zawodowego, który poprzez aneks o „kierownicy” pogodził się z zasadniczym kształtem systemu politycznego oraz organizacji większości świadomych politycznie obywateli, którzy nie godzą się na dotychczasowy ustrój i pragną go zmienić.

Na poziomie ideowych samookreśleń „Solidarności” oscylację tę wyciszało nieco sformułowanie: związek zawodowy, ale i ruch społeczny, które w końcu znalazło się w uchwale programowej. Pozwalało ono uniknąć skrajności i mieściło się wewnątrz specyficznego quasi-legalizmu porozumień sierpniowych. Określenie to funkcjonowało przede wszystkim wśród działaczy; członkowie „Solidarności” stwierdzali, że wstąpili do Związku, bo dzięki niemu będzie w Polsce lepiej. Z grubsza biorąc to oznaczało to samo.

Otóż istnieje analogia między samookreśleniem „ruch społeczny” a programowym hasłem „samorządnej Rzeczypospolitej”. To ostatnie pozwalało wytłumić polityczną oscylację już nie na poziomie jednostek i grup, lecz celów programowych.

Wskazywano na Rzeczpospolitą, a zatem można było domyślać się, że chodzi o zmianę systemu; ale miała to być Rzeczpospolita samorządna — a więc można było bronić się, że chodzi nie o zmianę struktur politycznych, lecz te obszary życia społecznego, które znajdują się poza nimi, nie ma zatem mowy o odejściu od porozumień sierpniowych, w których zgodzono się na kierowniczą rolę partii komunistycznej w państwie.

„Samorządna Rzeczpospolita” oddziaływała też na działające w Związku lub kręcące się wokół niego grupy polityczne i środowiska opiniotwórcze.

Działacze zaangażowani w ruch samorządowy, niekiedy stawiający samorządność przed „Solidarnością”, mogli poczuć się usatysfakcjonowani, skoro ich idee zostały przeniesione na całość politycznego programu Związku.

Część związanej z „Solidarnością” inteligencji wywodzącej się z szeregów PZPR i przywiązanej do słowa „socjalizm” mogła się pocieszać, że choć delegaci wyrugowali z uchwały programowej „tradycje myśli socjalistycznej”, to jednak stworzyli „wolnościową utopię socjalistyczną”.

„Samorządna Rzeczpospolita” przemawiała na inny sposób do doradczo-profesorsko-docenckiej otoczki „Solidarności”. Od co najmniej 1956 roku w kręgach zainteresowanej polityką inteligencji, nie zawsze jednoznacznie związanej z władzą, o najróżniejszych orientacjach ideowych (od socjalistycznych rewizjonistów i ex-rewizjonistów po niekomunistycznych katolików) funkcjonowała idea, by socjalizm realny nieco uzdatnić, przystosować do wymogów życia społecznego i gospodarczego poprzez rozwój inicjatyw lokalnych, oddolnych i samorządowych.

W przeciwieństwie do koncepcji rad robotniczych idea ta nigdy nie miała posmaku rewolucyjnego czy quasi-rewolucyjnego. Jeśli dawała osadzić się w jakiejś tradycji polskiego myślenia i odczuwania polityki, to była to tradycja pracy organicznej, walki o autonomię skromną działań społecznych, politycznego pozytywizmu. Była to także koncepcja ideowo bardzo pakowna: jedni wpychali w nią socjalizm demokratyczny, inni liberalizm, jeszcze inni czystą realpolitikę.

W różnych wystąpieniach, artykułach, rozprawach opisywano ideę tę bardzo uczenie; jej polityczna istota sprowadzała się do następującego przeświadczenia, które na ogół funkcjonowało jako skierowany pod adresem władzy argument perswazyjny: skoro komuniści w Polsce rządzą — to trudno, niech rządzą, wiadomo,

geopolityka, Jałta, układ międzynarodowy; skoro komuniści rządzą tak jak to zwykli czynić komuniści — to też trudno, byłoby nierealne wymagać od nich, by się ze szczerem odkomunizowali; ale czy komuniści nie mogliby poluzować trochę na dole, pozwolić ludziom na to, by w bardzo wąskim, nie zagrażającym władzy zakresie, zajęli się własnymi sprawami? Przecież — argumentowano aluzyjnie — zabieg taki leży w gruncie rzeczy w interesie samej władzy.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych koncepcja ta znalazła najpełniejszy wyraz w raportach konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”,<sup>44</sup> skupiającym głównie środowisko profesorsko-publicystyczne. Do tej grupy, odgrywającej w okresie 16 miesięcy opiniotwórczą rolę hasło „samorządnej Rzeczypospolitej” mogło przemawiać dzięki dobrze znanej składowej. Nie bez znaczenia przy tym było i to, że część naukowo-doradczego establishmentu związanego z władzą życzliwie odnosiła się do haseł odnowy poprzez samorządność. Postawom takim nadawano duże znaczenie, politycznie je przesadzając.

Napadto „samorządna Rzeczpospolita” otrzymała znaczące wsparcie ze strony istotnych grup katolików świeckich. Ostatnim przedjazdowym artykułem programowym w „Tygodniku Solidarność” był esej redaktora katolickiego miesięcznika *Znak* pod wiele mówiącym tytułem *Ku Polsce samorządowej*.

Jak przystało na intelektualistę wysokiego lotu, Stefan Wilkanowicz nie bawił się w konkrety, natomiast przekonująco deklarował swą wiarę w to, że samorządność w fabryce, domu, osiedlu i szkole odrodzi oblicze Polski. Ciekawsze od tych wyznań było wskazanie patronów Polski samorządowej i samorządności. Poza Edwardem Abramowskim zostali przywołani: Jan XXIII, papież, i Stefan Bratkowski, prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich oraz autor książeczki *Nie tak stromo pod tę górę*. Wilkanowicz stwierdzał, że „ten nurt w socjalizmie”, który reprezentuje Bratkowski, „wykazuje pewną zbieżność z myślą chrześcijańską, z nauczaniem społecznym Kościoła”.<sup>45</sup> Wynikać z tego by mogło, że nie ma przeszkód natury doktrynalnej dla sojuszy natury ideowej i personalno-politycznej.

Ostatnią wreszcie grupą, która w „samorządnej Rzeczypospolitej” odnalazła wątki przystające do jej odczuć, byli solidarnościowi „rewolucjoniści”, grupy bez określonej i ukształtowanej tożsamości ideowej, które po sierpniu 1980 wyłoniły się z politycznej nicości i wkroczyły w przestrzeń polityki. Ludzie ci wiedzieli jedno: że Polskę trzeba zmienić. Slogan o „samorządnej Rzeczypospolitej” dawał im poczucie, że znaleźli się w posiadaniu projektu ustrojowego, radykalnie odmiennego od komunistycznego i nie wykraczającego — co ważne — poza granice realizmu.

Takie były czynniki, które przesądziły o akceptacji hasła „samorządnej Rzeczypospolitej”. „Wolność — rzekę — i osła

w szmaragdowym rządzie po rynku wodzić / Przecie osieł osłem będzie” — pisał Wacław Potocki. Program „Solidarności” zawarł pragnienia i marzenia Polaków o demokracji, narodowej niezależności, sprawności gospodarczej, dobrobycie, praworządności, samorządności — także samorządności lokalnej. To był ten „szmaragdowy rząd”. Osłowata była natomiast konstrukcja polityczna — „samorządna Rzeczpospolita” — na której grzbiecie spoczął.

Trzeba jednak dla przeciwwagi dodać, że funkcjonowanie hasła o „samorządnej Rzeczypospolitej” było w pewnym sensie korzystne dla całej „Solidarności”, a nie tylko dla grup, które były nim zainteresowane ze względów taktycznych. Wiele środowisk w Związku odnajdywało w tym sloganie-worku własne postulaty, a raczej rzutowało je na biały politycznie ekran. Nie było to samo w sobie złem. W organizacji tak masowej i zróżnicowanej jak „Solidarność” — choć różnice dusił przemożny imperatyw jedności — potrzebne było hasło łączące, zwornik podtrzymujący konstrukcję ideową i polityczną, w której mogły zamieszkać każdy i poczuć się jak u siebie w domu. „Samorządna Rzeczpospolita” pełniła tę funkcję. Do czasu i za bardzo wysoką cenę.

Ceną była postępująca schizofrenia polityczna przywódców i działaczy Związku. „Samorządna Rzeczpospolita” nie miała żadnego odniesienia do ustrojowej, politycznej i społecznej rzeczywistości Polski. Zgubienie, rozchwianie, utrata punktów orientacyjnych, widoczne w „Solidarności” już późną wiosną 1981 roku, wzmocniona przez konflikt o samorządy pracownicze, nie została w hali „Olivii” przezwyciężona. Działacze i członkowie „Solidarności” uwierzyli w „samorządną Rzeczpospolitą”, bo musieli uwierzyć, że Związek ma nareszcie „wypracowany” program i wie, co robić. Nie było innego wyjścia, nie można było przyznać, że Zjazd zakończył się porażką.

Trzeba było uwierzyć w iluzję i uwierzono w nią tak mocno, że na pewien czas nadano jej pozory życia. Można w iluzję uwierzyć, można przez pewien czas żyć i działać w świecie politycznej fikcji. Płaci się za to chorobą, a w końcu i tak fikcja pęka pod naporem rzeczywistości. Przyjęcie przez Zjazd „Solidarności” programowej fikcji jako kierunkowskazu działania zmusza do postawienia pytania: czy Polaków rzeczywiście stać jedynie na własnowolne — gdy są po temu warunki — tworzenie iluzji? czy łączyć i godzić się możemy wyłącznie przez złudzenia?

Czy oddziaływanie „samorządnej Rzeczypospolitej” było rzeczywiście tak złowrogie? Trzeba zastanowić się nad działaniem „Solidarności” od końca Zjazdu do 13 grudnia 1981 roku. W żadnym okresie 16 miesięcy aktywność Związku — Komisji Krajowej, Zarządów Regionalnych, Komisji Zakładowych — nie była tak chaotyczna, źle skoordynowana, niepewna. „Solidarność” wyszła z hali „Olivii” po prostu osłabiona.



Z pewnością przyczyną główną była sytuacja gospodarcza i polityczna, jej pogłębiająca się bezwyjściowość. Wiadomo było jednak, że takie chwile dla „Solidarności” w końcu nadejdą, że są nieodległe i właśnie na nie miał przygotować Związek jego Zjazd.

Nie przygotował. Jest uderzające, że podstawowe konflikty, w jakie zaangażowała się „Solidarność” w okresie między październikiem a grudniem 1981 roku, nie miały żadnego związku z ideami „samorządnej Rzeczypospolitej”. Kierunki zaangażowania „Solidarności” w tym czasie to powołanie Społecznej Rady Gospodarki Narodowej, która kontrolowałaby proces wychodzenia z kryzysu, kwestia udziału w strukturach władzy — z jednej strony poprzez Front Porozumienia Narodowego, a z drugiej przez powołanie Komitetu Ocalenia Narodowego — przeprowadzenie wolnych wyborów nie tylko do rad narodowych, lecz i Sejmu.

Żadne z tych rozwiązań nie było silniej zaakcentowane w fikcyjnym projekcie „samorządnej Rzeczypospolitej”, choć niektóre pozostawiły pewne tropy w uchwale programowej. W końcowym okresie legalnego istnienia Związku rzeczywistość polityczna i rzeczywistość programowa rozeszły się w różne strony.

Nie można wykluczyć, że był to jeden z celów taktycznych, jakie przyswiewiały inicjatorom „wizji samorządnej Rzeczypospolitej”. Struktura sytuacji była podobna jak podczas przyjmowania samorządów pracowniczych za główne pole starcia z władzą. „Samorządna Rzeczpospolita” także była udającą istnienie nicością. Nie dawała Związkowi żadnych punktów orientacyjnych, nie ujmowała w programowe ramy jego aktywności, ale jednocześnie — i to było ważne — w żaden sposób nie wiązała rąk wtedy, gdy przychodziło z ramienia „Solidarności” prowadzić przetarg z władzą lub tego przetargu odmawiać. Najwyższa elita polityczna Związku, ta, która uprawiała politykę bieżącą na wielką skalę, działała poza kontrolą — przynajmniej poza kontrolą programu i idei.

Taktyczne korzyści płynęły dla nielicznych; Związek jako całość tracił siły. I bez względu na doraźne pożytki nic nie może usprawiedliwić „wizji samorządnej Rzeczypospolitej”, świadectwa politycznej schizofrenii, pustki dętej dla taktycznych celów bez oglądania się na najgorsze z możliwych konsekwencje polityczne i społeczne.

Jeśli szukamy przyczyn porażki „Solidarności” nie tylko w dziedzinie błędów taktycznych i doraźnych zabiegów; jeśli uznamy, że świadomość, koncepcje, idee miały jakiegokolwiek znaczenie dla jej działania, to trzeba myśl zwrócić ku tej pokracznej utopii, „ostłowi w szmaragdowym rzedzie”, za którym Związek postępował na bezdroża.

Taka ocena stawia na porządku dziennym kwestię ponownego, krytycznego przemyślenia ideowego dziedzictwa „Solidarności”. Formułując rzecz najkrócej: czas „Solidarności” był wielkim

społecznym, politycznym, narodowym doświadczeniem, które nie znalazło dotąd odpowiedniego wyrazu. Przemysłenie i opisanie tego doświadczenia jest najważniejszym, nie zapoczątkowanym nawet, zadaniem na dziś. Może się bowiem zdarzyć, że w obliczu przyszłych, niewiadomych wydarzeń Polska nadal będzie krajem, gdzie „każdy czyn przychodzi za wcześniej, a każda książka za późno”.

Ludwik DORN

## PRZYPISY

1. Uchwała programowa I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”.
2. Jan WASZKIEWICZ, *Samorządna Rzeczpospolita: upodmiotowienie społeczeństwa*, „Tygodnik Solidarność” (cyt. dalej „TS”) nr 31 z 30.10.1981.
3. Wypowiedź podczas prezentacji kandydatów do Komisji Krajowej, „Wiadomości Dnia” (cyt. dalej jako „WD”) nr 204 z 15.10.1981. Por. wypowiedź B. Geremka przed sprawozdaniem Komisji Programowej, „TS” nr 28 z 9.10.1981.
4. Jerzy HOLZER, „Solidarność” 1980—1981. *Geneza i historia*, Wyd. Krąg, Warszawa 1984, s. 195.
5. Uchwała programowa I KZD.
6. Tamże.
7. Tamże.
8. Ludwik DORN, *Program Związku w opiniach członków „Solidarności” po pierwszej turze Zjazdu*. Komunikat z badań OBS Mazowsze (maszynopis powielony), także w: „Niepodległość pracy”, wrzesień 1981, OBS Mazowsze.
9. OBS Mazowsze, *Członkowie Związku o Zjeździe i programie „Solidarności”*, komunikat z badań (maszynopis powielony).
10. Tamże.
11. Przykładowo: Irena DRYLL, *Samorząd — zasada ustrojowa*, „Trybuna Ludu”, z 24.02.1981; także artykuł przyszłego samorządowego eksperta „Solidarności” Szymona JAKUBOWICZA, *Nadzorcze czy robotnicze*, „Polityka” nr 4 z 24.01.1981. Patrz też: Janusz WEISS, *Współodpowiedzialność*, „Kierunki” z 22.02.1981 oraz „WD” nr 51 z 4.03.1981.
12. Wyliczenie najważniejszych reakcji dał Waldemar KUCZYŃSKI, *Sytuacja rynkowa u progu wytrzymałości*, „TS” nr 17 z 24 lipca 1981.
13. Jadwiga STANISZKIS, *Program działania na czas kryzysu*, „Niezależność” nr 41 z 9.05.1981; „Solidarność” *wobec aktualnych zagrożeń*, odczyt w zakładach im. R. Luksemburg, przedruk w: „Dyskusja nad programem i taktyką Związku”, zeszyt informacyjny BIPS, sierpień 1981, Gdańsk.
14. Omówienie sondażu Ośrodka Badań Prasoznawczych, „Czas” nr 31 z 2.08.1981, 49,4% badanych zgodziło się z opinią, że „obecne trudności rynkowe są celowo potęgowane działalnością władz gospodarczych”.
15. Irena WÓJCICKA, *Łódzka konferencja o programie*, „TS” nr 16 z 17.07.1981.
16. Wystąpienie Seweryna JAWORSKIEGO podczas dyskusji o samorządach pracowniczych w zakładach im. R. Luksemburg 9.03.1981, w: NTO nr 5 z 21.03.1981.
17. Jadwiga STANISZKIS, *loc. cit.*
18. Irena WÓJCICKA, *loc. cit.*
19. Jacek KURON, Karol MODZELEWSKI, *List otwarty do partii*, Instytut Literacki, Paryż 1965, s. 65-66.
20. Tamże.

21. Wystąpienia obu mówców na posiedzeniu KKP w dniu 25.07.1981, KKP o sytuacji w kraju i związku (wkładka), „TS” nr 19 z 7.08.1981.
22. Włodzimirz LENIN, *O dwuwładztwie*, w: W. LENIN, *Dzieła wybrane*, T. II, KiW, Warszawa 1949, s. 12.
23. Tamże, podkreślenie w tekście.
24. Por.: wypowiedź Jacka Kuronia na lipcowym posiedzeniu KKP anonsująca ideę powołania Klubów Inicjatywy Samorządowej, wcześniej dyskutowaną w regionie Mazowsze, KKP o sytuacji w kraju i Związku (cyt. wkładka do „TS”).
25. Przede wszystkim artykuły W. Kuczyńskiego, wprowadzenie do rubryki „Samorząd dla naprawy”, wprowadzenie do rubryki „Samorządy pracownicze”, kolumna informacyjna, publikowanie materiałów „Sieci”.
26. „WD” nr 125 z 16.06.1981; podobne wypowiedzi w innych regionach, por.: AS nr 21, s. 2. 02, AS nr 22, s. 2.03.
27. Punktem przełomowym była z pewnością ostra krytyka, z jaką spotkała się chłodna wypowiedź Wałęsy na spotkaniu działaczy samorządowych w Gdańsku, por.: AS nr 24, s. 2.08. W dzień po tym spotkaniu Wałęsa wydał oświadczenie popierające samorządy pracownicze, tamże s. 3.01.
28. Przebieg całej afery w doniesieniach AS nr 25, s. 2.01.
29. Np. Wypowiedź Andrzeja GWIAZDY na lipcowym posiedzeniu KKP.
30. Andrzej RADŹKO, Członkowie „Solidarności” o Związku i sprawach kraju (komunikat z badań OBS).
31. Bogdan OFIERSKI, Andrzej RADŹKO, *Opinie na temat apelu KKP*; Ludwik DORN, *Czy chcemy pracować w wolne soboty* (komunikaty z badań OBS, maszynopisy powielone).
32. „WD” nr 243 z 27.11.1981. Autorem badań był Andrzej KRASNOWOLSKI.
33. Wypowiedź na posiedzeniu Zarządu Regionu, „WD” nr 194, z 21.09.1981.
34. „WD” nr 243.
35. „WD” nr 194.
36. „Niezależność” nr 124 z 9.09.1981.
37. Bogdan OFIERSKI, Andrzej RADŹKO, *Socjologiczne badania poglądów delegatów na I Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”*. (Komunikat z badań OBS, maszynopis powielony).
38. Tamże.
39. Artur HAJNICZ, sprawozdanie z obrad zespołu XI, „TS” nr 26 z 25.09.1981; por. także J. HOLZER, *op. cit.* s. 196.
40. AS nr 38, s. 31-33.
41. A. HAJNICZ, *loc. cit.*
42. Tezy do programu i deklaracji ideowej NSZZ „Solidarność”, bdw, bmv, xerox, archiwum prywatne.
43. Uwaga ta odnosi się oczywiście do ukierunkowania politycznego, a nie do pozytywnej działalności wielu Komisji Zakładowych Związku na polu samorządności lokalnej. Działania te zasługują na odrębny opis.
44. Zespół usługowy konserwatorium „Doświadczenie i Przyszłość”. Raport o stanie Rzeczypospolitej i drogach wiodących do jej naprawy, NOW-a, Warszawa 1979, s. 64-66.
45. Stefan WILKANOWICZ, Ku Polsce samorządowej, „TS” nr 23 z 4.09.1981.

**Andrzej Micewski**

## **Tradycje historyczne katolicyzmu polskiego**

### **I**

Katolicyzm polski ma różne tradycje. Jedna z nich bywa określana mianem katolicyzmu ludowego. Symbolem jej od wieków była Częstochowa, w przeszłości także Ostra Brama w Wilnie, a w czasach nam współczesnych, za sprawą kanonizowanego o. Maksymiliana Kolbego, również Niepokalanów. Tradycję tę nazywano także często narodową, jako że Kościół od najdawniejszych czasów łączył wartości religijne i narodowe, stając się w okresach zagrożenia polskości depozytariuszem naszej tożsamości narodowej i przynależności do rzymsko-łacińskiej kultury europejskiej.

Symbolem drugiej, młodszej tradycji są podwarszawskie Laski, a jej wyrazicielem była przedwojenna organizacja akademicka „Odrodzenie”. Jednym ze źródeł tej tradycji była francuska myśl personalistyczna, zwłaszcza Jakuba Maritaina i Emanuela Mouniera. Reprezentowali ją ludzie typu ks. Władysława Kornilowicza, słynnego łowcy dusz, zdobywającego dla Kościoła licznych konwertytów. Po wojnie, a zwłaszcza po Soborze Watykańskim Drugim, wspomnianą tradycję wyrażali ludzie zaangażowani w otwartość Kościoła i jego akomodację do współczesnych społeczeństw pluralistycznych. Omawiany kierunek w katolicyzmie określano czasem mianem liberalnego, z podkreśleniem jego sprzeciwu wobec przerostu czynnika narodowego w katolicyzmie polskim. Stosowniejse wydaje mi się mówienie o tradycji wolnościowej, chodziło w niej bowiem przede wszystkim o wolność i prawa człowieka, o obronę przez Kościół także praw nawróconych i w ogóle praw ludzi różnych narodowości, ras i kultur.

Kościół jest powszechny i — w moim przekonaniu — obydwie pokrótce opisane tradycje są do pogodzenia i mieszczą się idealnie w jego uniwersalizmie. Dodam jednak, że nie zawsze tak było. W okresie rozwoju w Polsce ideologii nacjonalistycznej, a potem

narodowo-radykalnej, które dążyły do zmonopolizowania katolicyzmu dla jednego obozu politycznego, istniało przeciwieństwo między tak pojmowanym katolicyzmem narodowym a katolicyzmem wolnościowym i w ogóle powszechnością Kościoła. A przecież nie sposób przemilczeć, że w okresie międzywojennym przejawy nacjonalistycznej uzurpacji katolicyzmu były bardzo przykre. Edmund Osmańczyk opowiadał swego czasu, jak przybył do Częstochowy z pielgrzymką młodzieży Związku Polaków w Niemczech i jak jego grupa, ożywiona podniosłymi uczuciami religijnymi i patriotycznymi, została zaatakowana pałkami przez bojówkę nacjonalistyczną, która mylnie myślała, że chodzi tu o grupę młodych socjalistów czy też piśsudczyków. Można sobie wyobrazić wstrząs, jakiego doznali młodzi, dzielni Polacy, przybyli z III Rzeszy Hitlera, gdzie musieli walczyć o swoją wiarę i swoją polskość, a w kraju ojczystym przywitano ich w tak brutalny sposób.

Z drugiej strony trzeba także przyznać, że katolicyzm ludowy, o silnym zabarwieniu narodowym, uzasadnionym sytuacją narodu i kultury polskiej, traktowano nieraz z pobłażliwością i lekceważeniem, ulegając obsesji antynacjonalistycznej i nie rozumiejąc historycznej roli Kościoła w Polsce. Tymczasem specyfika dziejów Polski sprawiła, że Kościół bardzo często, w chwilach osłabienia państwa, w okresie rozbiorów, okupacji i mniejszego lub większego ubezwłasnowolnienia państwa, przejmował odpowiedzialność za naród i jego tożsamość duchową i kulturalną. Przypomnijmy tu choćby integrującą rolę św. Wojciecha i św. Stanisława w okresie rozbitcia dzielnicowego (od przełomu XII i XIII w. do 1320 r.) lub rolę Jasnej Góry i Ostrej Bramy w okresie rozbiorów (1795-1918), by plastycznie zobrazować narodową rolę Kościoła polskiego. Wspomnijmy też, że to Kościół przechowywał język i kulturę polską ucząc pieśni i modlitw w języku ojczystym, gdy w każdym urzędzie, na poczcie i kolei trzeba było mówić po niemiecku lub rosyjsku. Z całą pewnością ta narodowa funkcja Kościoła była wtórna wobec jego podstawowego zadania nadprzyrodzonego — zbawiania dusz ludzkich. Była to więc funkcja pomocnicza, ale miała ona w niektórych okresach historycznych przesądzające znaczenie dla zachowania polskości i naszej tożsamości kulturalnej. Dlatego też lekceważenie związku Kościoła z narodem w dziejach Polski, którego znaczenie tak konsekwentnie przez całe życie podkreślał Kardynał Stefan Wyszyński, stanowiło po prostu pomyłkę.

Nie sądzę, aby można było sprowadzać różne tradycje istniejące w katolicyzmie polskim tylko do przeciwieństwa katolicyzmu ludowego inteligenckiego czy też intelektualnego. Chodziło o coś znacznie poważniejszego. Nie tylko o to, jakim językiem Kościół przepowiada Ewangelię ludowi, a jakim ludziom bardziej wykształconym. W istocie bowiem, niezależnie od łatwiejszej lub trudniejszej prezentacji,

treści ewangeliczne są zawsze te same, a misja Kościoła wobec wszystkich ludzi taka sama. W Polsce problem był głębszy. Naród nasz, żyjący na skrzyżowaniu różnych kultur, wielkich narodów, na pograniczu cywilizacyjnym Wschodu i Zachodu, był wstrząsany potężnymi zaburzeniami dziejowymi, prowadzącymi do rozbicia, unicestwienia lub też ubezwłasnowolnienia państwa polskiego. I Kościół w takich sytuacjach, niezmiennie stawiając na pierwszym miejscu misję ewangeliczną, stawał się zarazem depozytariuszem kultury narodowej i obrońcą praw ludzkich. Dziś sprawy te są raczej dość powszechnie rozumiane. Przyczyniło się do tego zwłaszcza dzieło życia Prymasa Stefana Wyszyńskiego. *Dziś nikt nie powinien bać się nacjonalizmu w Kościele polskim, bo właśnie Kościół dokonał dzieła oczyszczenia myślenia kategoriami narodowymi z radykalizmu, antyhumanizmu czy ksenofobii. Na Zachodzie dzieła tego dokonały w analogiczny sposób współczesne wielkie partie demokratyczne.*

Kościół nie łączył swego posłannictwa narodowego z jakimś jednym obozem politycznym. Trwało ono bowiem przez tysiąc lat, podczas gdy nowoczesne ruchy polityczne, w tym obóz nacjonalistyczny, powstały na przełomie wieku XIX i XX. Dzisiaj niemal wszyscy rozumieją te różnice i odmiennosc narodowej misji Kościoła w Polsce od zadań stawianych sobie przez ruchy i partie polityczne. Ale nie zawsze tak było. W okresie ostrego sporu między ruchem narodowo-demokratycznym a niepodległościowym i potem między endecją i sanacją w okresie międzywojennym toczyła się polityczna rywalizacja o zjednanie sobie życzliwości przemożnego Kościoła dla celów doczesnych. Wszystko to odbywało się w państwie, które miało trzydzieści procent mniejszości narodowych, bardzo często, niestety, dyskryminowanych. I wtedy przeciwstawianie katolicyzmowi narodowemu katolicyzmu wolnościowego czy personalistycznego miało swój sens i racje obiektywne. Wtedy to pod skrzydłami opiekuńczymi ks. Korniłowicza wielu konwertytów i humanistów, jak choćby Rafał Blüth na łamach czasopisma *Verbum* starało się przeciwstawić zasady wolnościowe i personalistyczne wszelkiemu fanatyzmowi i każdej dyskryminacji człowieka. Ludzie ci stawiali na przeniknięcie treściami ewangelicznymi dusz ludzkich, a nie na koncepcję państwa narodowego, które czyniłoby z katolicyzmu religię panującą czy wręcz narzucaną.

Dzisiaj te wszystkie sprzeczności mają już znaczenie przede wszystkim historyczne. Współcześnie łatwo się zgodzić, że główna misja Kościoła ma naturalnie charakter ewangeliczny i nadprzyrodzony, a zarazem uznać rolę dziejową Kościoła w narodzie polskim. Wielki wpływ na współczesne rozumienie tych wszystkich pojęć miały totalizmy XX wieku, uświadamiające ludziom i narodom, do czego prowadzi podporządkowanie wartości ludzkich jakimkolwiek innym wartościom narodowym czy społecznym. Katolicyzm współczesny

jest więc w równej mierze wolnościowy, ludowy i stawia człowieka w samym centrum wartości świata doczesnego, jak jest również antytotalistyczny, przeciwny systemom ujarzmiającym ludzi i narody. W swej istocie katolicyzm był zawsze antropocentryczny, bo przecież celem Kościoła jest prowadzenie człowieka do Boga. Wiemy jednak, że systemy totalistyczne stwarzają nieprawdopodobne ciśnienie i wykrzywiają istotę wielu pojęć. W Polsce nigdy totalizm głębiej się nie zakorzenił, nigdy nie sprawował rządu dusz. Mieliśmy w okresie międzywojennym okres rządów dyktatorskich, a także przejawy ostrego nacjonalizmu. Ale na wydarzenia dziejowe trzeba patrzeć także w aspekcie porównawczym, trzeba uwzględnić, co działo się dookoła nas, u sąsiadów i w dużej części Europy. W tej perspektywie choroby trawiące nas, czy udzielające się naszemu społeczeństwu w okresie międzywojennym, wyglądają mniej groźnie, nie tak drastycznie jak w Niemczech, Włoszech, w ZSRR i w innych krajach europejskich.

Podkreślając, że człowiek znajduje się w centrum ziemskich wartości katolicyzmu ze względu na nadprzyrodzone powołanie istoty ludzkiej, warto zwrócić także uwagę na inną jeszcze cechę naszej religii. Kościół jest powszechny i realizuje swoją misję we wszystkich ludach i narodach, zwraca się do wszystkich ras i kultur, do każdego człowieka na tej ziemi. W związku z tym katolicyzm przenika do istotnych treści życia każdego narodu i każdy naród, w którym Kościół głębiej zapuścił swoje korzenie, uważa katolicyzm za religię swoją własną, za część własnej kultury i tradycji. Właśnie przez swoją powszechność katolicyzm jest w odczuciu swoich wyznawców wszędzie, nie tylko w Polsce, narodowy. Także i na to zwracał uwagę wielki Prymas Tysiąclecia, Kardynał Stefan Wyszyński. Należy tylko pamiętać, że narodowy charakter Kościoła i katolicyzmu wynika z jego powszechności i nie może być interpretowany wbrew niej, w duchu egoizmu narodowego, wrogości do innych i braku miłości bliźniego wobec jakiegokolwiek człowieka.

## II

Jednym z ważnych aspektów przedwojennych podziałów w katolicyzmie polskim była kwestia mniejszości narodowych, a zwłaszcza przejawy antysemityzmu, które dawały o sobie silnie znać, także w kołach katolickich. Historyk katolicki Oskar Halecki w swej książce *Historia Polski*, Wyd. Veritas, Londyn 1958, zwracał uwagę na pewne obiektywne uwarunkowania tego dramatycznego problemu, pisząc:

„Kwestia żydowska zaostrzyła się w szczególny sposób w przeddzień ostatniej wojny. Miała ona w istocie duże znaczenie, ponieważ trzy miliony Żydów — prawie 10 procent ludności — żyło w rozproszonym po całym kraju, z wielkim zagęszczeniem po miastach, gdzie

wobec Żydów w okresie okupacji. Wśród bardzo wielu głosów niesprawiedliwych uderzyła mnie uczciwa refleksja na ten temat Kazimierza Brandysa we fragmencie *Miesiący*, zamieszczonym w *Kulturze* nr 6/1983. Autor opisując jakąś namiętną dyskusję żydowską na ten temat konkluduje:

„*Nie oplakali ich.* Po ośmiuset latach życia na wspólnej ziemi Polacy nie uronili łzy nad Żydami zamienionymi w popiół. Ich ocalałym synom i braciom zapewne największy ból sprawiało milczenie. Milczenie Polaków po zagładzie. Nie w dniach zagłady, lecz właśnie po zagładzie. Po wojnie nie odprawiano nabożeństw w miasteczkach, nie znoszono kwiatów. Wprowadzano się do mieszkań w pustych żydowskich domach, cmentarze zarastały trawą. Milczał Kościół i naród. Postanowiono zapomnieć — udawać, że Żydów nie było.

Nie miałem odwagi ponownie zażądać głosu. Przypuszczam, że nikt w całej sali nie był zdolny do wypowiedzenia słów, których zabrakło, tych kilku najtrudniejszych i ważnych. Nie miałem odwagi i nie miałem pewności. Może nie oplakano w Polsce zamordowanych Żydów, bo przyszli inni, żywi? Ci, którzy przybyli z obcą armią, by aresztować i rządzić. Na cmentarzach zostały szczątki kamiennych tablic, ale już nie duchy żydowskie krążyły w miasteczkach, lecz wieść, że Rosjanie przywieźli nowych Żydów, przebranych, o zmienionych nazwiskach. Żydów w rogatywkach, którzy zdjęli koronę z głowy białego orła i kazali rozlepić na rynkach plakaty z napisem: «AK zapłuty karzeł reakcji». Więc może strach i nienawiść zastąpiły litość?»

Z całą pewnością tak właśnie było. Ale nie tylko. Hitler wymordował dokładnie taką samą ilość Polaków i Żydów, obywateli państwa polskiego. Dokładnie po trzy miliony. I stało się tak, że pamięć Żydów czczono oficjalnie, a bohaterów polskich znieśławiano. Każda polska rodzina oplakiwała kogoś ze swoich. Nietrudno byłoby znaleźć dowody, że pamiętano i o Polakach pochodzenia żydowskiego. A że wprowadzano się w zniszczonym kraju do ich mieszkań, to też prawda. Tylko, czy my wszyscy, po prostu ludzie, nie wprowadzamy się do mieszkań własnych, zmarłych rodziców, najpierw z poczuciem grozy i smutku, towarzyszącym śmierci, a potem przyzwyczajając się, by prowadzić normalne, na przemian radosne lub przynębiające życie.

Dodajmy wreszcie, że w ostatnich latach, kiedy oficjalnie walczone z syjonizmem, odżył w Polsce, w społeczeństwie kult wyniszczonej społeczności żydowskiej. Mało kto jest tak w Polsce niepopularny jak antysemita przedwojennego chowu: Jędrzej Giertych na emigracji, Jan Dobraczyński i inni w kraju. Pamiętamy też o marginesie hańby w naszym społeczeństwie w okresie okupacji. Uderzał on jednak zarówno w Żydów, jak i w Polaków. Zło i podłość ludzka



bywają bowiem niepodzielne. Ale w sumie nie mamy jako społeczeństwo, jako naród powodów do kompleksów w związku z naszym stosunkiem do Żydów. Z pewnością mogło być lepiej, bardziej po chrześcijańsku. Cnota miłości chrześcijańskiej ma to do siebie, że zawsze można i należy praktykować ją lepiej. Nie mając więc kompleksów, możemy i my uderzyć się w piersi i dokonać aktu skruchy i serdecznego żalu. Pomagaliśmy Żydom z narażeniem życia. Ale prawdopodobnie można było pomóc jeszcze bardziej. Daliśmy się częściami zaskoczyć kataklizmowi ludobójstwa.

### III

Napięcie między tendencją narodową a liberalno-personalistyczną w katolicyzmie polskim doskonale ilustruje epizod z okresu wojny i okupacji. Wtedy także, mimo prześladowań hitlerowskich, myślano o przyszłości katolicyzmu polskiego. Przedstawiciele jego elit umysłowych spotkali się konspiracyjnie, by omówić założenie po wojnie reprezentatywnego czasopisma katolickiego. Spotkanie nie przyniosło jednak rezultatu, ponieważ zebrani nie byli w stanie uzgodnić kandydatury redaktora naczelnego. Środowisko warszawskie wysunęło pisarza o orientacji nacjonalistycznej — Jana Dobraczyńskiego, zaś przedstawiciele Krakowa wypowiedzieli się za kandydaturą Jerzego Turowicza, działacza przedwojennego Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie”. Związek ten reprezentował w latach trzydziestych kurs zdecydowanie antynacjonalistyczny. I oto po wojnie Jerzy Turowicz kieruje już cztery dziesiątki lat krakowskim *Tygodnikiem Powszechnym*, zaś Jan Dobraczyński obejmuje na początku redakcję tygodnika *Dziś i Jutro*, wydawanego przez część byłych przywódców Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga” z Bolesławem Piaseckim na czele.

Wspomniałem wyżej o różnicy między powojennymi środowiskami katolików skupionych wokół *Tygodnika Powszechnego* i tygodnika *Dziś i Jutro*, który dał początek późniejszemu Stowarzyszeniu PAX. Różnica ta nie jest jednak najbardziej charakterystyczna dla napięć w katolicyzmie polskim, ponieważ PAX pozostawał zawsze na marginesach społeczności katolickiej.

Większe znaczenie przywiązuję do zróżnicowania między środowiskiem *Tygodnika Powszechnego* a kołami chrześcijańsko-demokratycznymi, skupionymi po wojnie wokół istniejącego bardzo krótko Stronnictwa Pracy z Karolem Popielem na czele i wokół *Tygodnika Warszawskiego*, który wychodził tylko do roku 1948. Napięcia te występowały w centrum społeczności katolickiej, ale były w dużej mierze kamuflowane, by nie siać zgorszenia i nie łamać jedności Kościoła w Polsce. W oczach *Tygodnika Powszechnego* środowiska chrześcijańsko-demokratyczne miały tradycje zbliżone do

przedwojennego obozu narodowego. Z kolei działacze chadecji, którzy — mając ambicje *par excellence* polityczne — musieli w Polsce komunistycznej dość szybko zejść ze sceny, podczas gdy *Tygodnik Powszechny*, będący środowiskiem przede wszystkim kulturalnym, utrzymał się do dzisiaj. W ten sposób powstały uprzedzenia i podejrzenia, że *Tygodnik* był bardziej ugodowy. Prawda polegała na tym, że pismo kulturalne było bardziej strawne dla rządu niż środowisko polityczne, mogące wobec wpływów Kościoła w Polsce szybko się rozrosnąć. Zresztą *Tygodnik Powszechny* po śmierci Stalina w 1953 roku także przestał się ukazywać. Ale po trzech latach mógł znowu powstać, podczas gdy dla chrześcijańskich demokratów nie było w Polsce Ludowej nadal miejsca. Przyczyny były i wtedy naturalnie obiektywne. Władze bały się dużego ruchu politycznego katolików, a środowisko społeczno-kulturalne było im do pewnego stopnia na rękę. Powstały z tego pretensje i uprzedzenia oraz nie najładniejsze metody walki. Grupie krakowskiej wypominano stale artykuł Stanisława Stommy z 1946 roku o minimalizmie katolickim, przeciwstawiając mu własny maksymalizm polityczny i nieprzejednaną postawę wobec komunizmu. Zapomniano przy tym, że także w *Tygodniku Powszechnym* artykuł Stommy proponujący wobec zwycięskiej rewolucji okopać się na pozycjach minimalnych, ale nieprzekraczalnych — obrony wiary i kultury religijnej — napotkał opory i polemiki. Tymczasem ten incydentalny artykuł stał się pretekstem ciągłych polemik i uszczypliwości. W istocie zaś chodziło o coś całkiem innego. Chodziło o stosunek do nacjonalizmu. Najwyraźniej ujawniła to polemika Jerzego Turowicza z byłym działaczem chrześcijańskich związków zawodowych Stefanem Kaczorowskim, zamieszczona w *Tygodniku* z 5 czerwca 1983 roku. Kaczorowski wypowiedział się na sesji historycznej z okazji 50-lecia Duszpasterstwa Akademickiego w kościele św. Anny w Warszawie we wrześniu 1978 roku. Turowicz bardzo późno dostał stenogram jego referatu, wydany jako druk wewnętrzny w ramach tzw. małej poligrafii. Przedmiotem sporu była historia Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie”, którego Turowicz był działaczem w latach trzydziestych, a które miało wtedy charakter zdecydowanie antynacjonalistyczny. Tymczasem Kaczorowski opisał jego dzieje w latach dwudziestych, kiedy „Odrodzenie” było bardziej narodowe i chrześcijańsko-demokratyczne. Oczywiście, obaj autorzy mieli rację, ale każdy z nich opisał doświadczenia z innego terenu i dziesięciolecia. O żywotności różnic z okresu przedwojennego świadczy zaangażowany ton polemiki Turowicza, w której czytamy między innymi:

„[...] apolityczność «Odrodzenia» zarysowała się szczególnie wyraźnie, gdy w roku 1929 Episkopat Polski powołał do życia masową organizację pod nazwą Akcja Katolicka, organizację również z założenia apolityczną. „Odrodzenie” oraz wyrosły z senioratu

«Odrodzenia» Związek Polskiej Inteligencji Katolickiej zgłosiły swój akces do Akcji Katolickiej i aczkolwiek formalnie nie zostały członkami tego organizmu, to jednak *de facto* były uważane, także przez Hierarchię, za swego rodzaju ekspozyturę Akcji Katolickiej na terenie akademickim oraz w środowiskach inteligencji. Oznaczało to — rzecz prosta — także zdecydowane odcięcie się od wszelkich organizacji politycznych, także od Chrześcijańskiej Demokracji. I jeszcze jedno: kiedy w roku 1931 powołany został do życia w Warszawie Związek Akademickich Stowarzyszeń Katolickich (ZASK), «Odrodzenie» było jedynym katolickim stowarzyszeniem akademickim, które do tego związku nie przystąpiło. [...] Otóż główną przyczyną było właśnie to, że w owym okresie, w drugiej dekadzie międzywojennego dwudziestolecia, szereg akademickich stowarzyszeń katolickich (nie twierdzę, że wszystkie...) znalazło się pod przemożnym wpływem organizacji politycznej, jaką była Młodzież Wszechpolska, ekspozytura Narodowej Demokracji na terenie akademickim. Otóż «Odrodzenie», które znajdowało się w permanentnym konflikcie ideowym z Młodzieżą Wszechpolską, nie przystąpiło do ZASK-u właśnie ze względu na zbytne upolitycznienie tego nowego organizmu...

I wreszcie sprawa najważniejsza, w odniesieniu do krócej relacja mec. Kaczorowskiego przedstawia całkowicie fałszywy obraz SKMA «Odrodzenie». Mianowicie sposób, w jaki mec. Kaczorowski referuje tzw. «kwestię żydowską» i stosunek «Odrodzenia» do tej «kwestii», pozwala na jednoznaczny wniosek, że «Odrodzenie» było organizacją... antysemitką (mimo że mec. Kaczorowski werbalnie temu zaprzecza). Nie mam danych, by sądzić, jak ta sprawa wyglądała we wczesnych latach dwudziestych, aczkolwiek wiem, że starsi ode mnie seniorzy «Odrodzenia» wersję mec. Kaczorowskiego kwestionują. Nic mi też nie wiadomo, by w stanowisku «Odrodzenia» wobec «kwestii żydowskiej» miał się dokonać jakiś zasadniczy zwrot, jakiś «przełom». Natomiast faktem niewątpliwym jest, że w latach trzydziestych, w całej drugiej dekadzie międzywojennego dwudziestolecia, gdy «sprawa żydowska» na terenie uniwersytetu nabrała szczególnej ostrości, «Odrodzenie» było praktycznie jedyną organizacją katolicką, która jawnie i publicznie zwalczała antysemityzm jako ideologię, której ze światopoglądem katolickim pogodzić się nie da. Właśnie stosunek do antysemityzmu oraz do nacjonalizmu był głównym motywem konfliktu między «Odrodzeniem» a Młodzieżą Wszechpolską. Toteż trzeba powiedzieć, że pod tym względem mec. Kaczorowski bardzo złą oddał przysługę stowarzyszeniu, którego jest seniorem”.

Powszechnie wiadomo, że wydawany po drugiej wojnie światowej *Tygodnik Powszechny* wiąże swój rodowód ideowy z przedwojennym „Odrodzeniem”.

To powszechne przekonanie próbował podważyć mec. Stefan Kaczorowski, mówiąc:

„Muszę podkreślić, że *Tygodnik Powszechny* miał wiele wspólnego z «Odrodzeniem» wówczas, kiedy redagował go ks. Piwowarczyk, który nie był członkiem «Odrodzenia», ale był do niego zbliżony... Natomiast obecnie, kiedy pracuje tam wielu intelektualistów katolickich, bardzo pięknie i ciekawie piszących o rozmaitych zagadnieniach, jest tam też grupa chrześcijan — konwertytów, która pisze o masonerii w sposób całkowicie sprzeczny z tradycją i potrzebami ruchu katolickiego. Wytwarza się pewnego rodzaju dysonans. W tych okolicznościach nie uważam *Tygodnika Powszechnego* za zbliżony do «Odrodzenia»”...

Przytoczę teraz odpowiedź Jerzego Turowicza na bądź co bądź szokujące tezy mecenasa Kaczorowskiego:

„No, cóż. Nie mogę mieć pretensji do mec. Kaczorowskiego, że mu się *Tygodnik Powszechny* nie podoba. Nie do mnie też należy osąd, czy i w jakim stopniu działalność *Tygodnika Powszechnego* jest zgodna z ideowymi założeniami «Odrodzenia». Natomiast stwierdzić muszę, że przytoczona wypowiedź mec. Kaczorowskiego stanowi szczyt dezinformacji, choć wierzyć, że nie zamierzonej. Ks. Piwowarczyk — jak to podkreśla sam mec. Kaczorowski — nie był w żaden szczególny sposób związany z «Odrodzeniem». Natomiast — nie umniejszając roli ks. Piwowarczyka, który był założycielem *Tygodnika Powszechnego* i któremu nasze pismo i ja sam ogromnie wiele zawdzięczamy — muszę powiedzieć, że jestem współzałożycielem *Tygodnika*, byłem w jego redakcji od pierwszego numeru, a jeszcze w ciągu 1945 roku zacząłem — przy boku ks. Piwowarczyka — pełnić funkcję redaktora naczelnego. Nie ma więc żadnych podstaw, by w historii *Tygodnika Powszechnego* odróżnić «okres ks. Piwowarczyka» od «okresu Turowicza». W tym samym czasie, niemal od początku, do redakcji *Tygodnika* i do grona stałych współpracowników weszli tacy seniorzy «Odrodzenia», jak Stanisław Stomma, Antoni Gołubiew, Czesław Zgorzelski czy Stefan Świeżawski... Wzmianka o «chrześcijanach-konwertytach» należy do katalogu insynuacji”...

Świadomie przytoczyłem obszernie cytaty z wypowiedzi Jerzego Turowicza, gdyż widzimy z nich, jak głębokie były przed wojną podziały między katolikami narodowymi i wolnościowymi. A przecież przemawiali w tej sprawie dwaj świadkowie historii, których dzieliło jedno pokolenie czy też tylko dziesięciolecie.

W jednym z artykułów w *Przeglądzie Katolickim* w końcu 1984 roku wspominałem już o dyskusji Jerzego Turowicza ze Stefanem Kaczorowskim. Kaczorowski uważając mój głos za zbyt mało obiektywny i sprawiedliwy, zareagował nań tekstem mającym 17 stron druku. W małym tygodniku trudno go było umieścić, postaram się

jednak tutaj przytoczyć choć we fragmentach poglądy mecenasa Kaczorowskiego, by zadośćuczynić jego żądaniu obiektywizmu. Otóż autor zdecydowanie oddziela ruch *nacjonalistyczno-konserwatywny i narodowo-chrześcijańsko-demokratyczny o charakterze postępowym i centrowym*. Opisuje jego historię w Polsce, a zwłaszcza rolę ruchu „Prądowego”, wokół którego „ukszałtowała się masowa organizacja Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich; podczas I wojny w 1916 r. powstała Chrześcijańska Demokracja, a po wojnie Chrześcijańskie Związki Zawodowe, zaś w r. 1919 «Odrodzenie», będące ruchem młodego pokolenia inteligencji katolickiej.

W r. 1926 powołany został do życia Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy i Chrześcijański Związek Młodzieży Pracującej «Odrodzenie». Ten zespół organizacyjny tworzył ruch katolicko-społeczny w Polsce. Chrześcijańska Demokracja była ruchem narodowym i patriotycznym, lecz postępowym, o charakterze centrowym. W sejmie głosowała za reformą rolną ustawodawstwem społecznym. Podkreślić należy, że ustawodawstwo społeczne w Polsce, do którego uchwalenia przyczyniła się walnie Chrześcijańska Demokracja, było w tym czasie jednym z najbardziej postępowych w świecie. [...] Chrześcijańską Demokrację i pokrewne jej organizacje powołali do życia w Kongresówce Prądowcy, ludzie świeccy: Cecylia Plater, Tadeusz Błażejewicz, Stanisław Nowodworski, Adam Lach-Szymański, Józef Chaciński, Ludwik Gdyk i inni. Prekursorem jej na Śląsku stał się z czasem Wojciech Korfanty, a w poznańskim ks. Stanisław Adamski. Reprezentantami nauki katolicko-społecznej stali się księża: prof. Antoni Szymański i ks. Jan Piwowarczyk. Między postami i senatorami znaleźli się księża, ruch jednak był dziełem świeckich, którzy utrzymywali z hierarchią duchowną bliskie stosunki i działali w myśl encyklik społecznych Kościoła. Ch.D. prowadziła politykę demokratyczną i w konsekwencji po roku 1926 przeciwstawiła się totalitarnym formom sanacji i Ozonu.

Nurt katolicko-społeczny w Polsce opierał się programowo na zasadach miłości i sprawiedliwości chrześcijańskiej i dążył do realizacji zasad katolickich we wszystkich dziedzinach życia społecznego i państwowego z odrzuceniem metod terrorystyczno-rewolucyjnych, opartych na utopijnych doktrynach Antykościół. Łączyło się to z koniecznością nawiązania współpracy między inteligencją katolicką a warstwami ludowymi. Warstwy te były i są katolickie, ale już wówczas zagrażało im niebezpieczeństwo opanowania i zdemoralizowania przez mafie i organizacje, głoszące radykalny, a często utopijny program z dołączonymi do niego sztucznie hasłami wojuczego ateizmu. Nurt katolicko-społeczny popierany był przez robotników, rzemieślników, nawet w pewnej mierze chłopów, natomiast zdołał wciągnąć w swoje szeregi tylko nieliczną grupę inteligencji. Główna masa inteligencji składała się albo z przeżuwalcy idei

XVIII wieku, antyklerykałów, którzy popierali organizacje radykalno-lewicowe, albo z konserwatystów popierających narodową demokrację lub tzw. chrześcijańsko-narodowych, trzymających się z dala od idei *Rerum Novarum*, a później *Quadragesimo Anno*. Nawet znaczna część duchowieństwa popierała wówczas tę konserwę katolicką. W tym miejscu sprostować muszę pewne nieścisłości. «Odrodzenie» akademickie założone zostało w r. 1919 przez Władysława Lewandowicza (późniejszego kapłana-marianina) i Antoniego Chacińskiego oraz grupę ich współpracowników, do których i ja miałem zaszczyt należeć. Założyliśmy koła akademickie, wybraliśmy władze centralne, zapoczątkowaliśmy Tygodnie Społeczne w Lublinie, opracowaliśmy deklarację ideową, zwołaliśmy pierwszy kongres i nawiązaliśmy kontakt z *Pax Romana*. Późniejszy Wielki Prymas Tysiąclecia i przywódca Senioratu «Odrodzenia» wstąpił do Koła Lubelskiego w r. 1924, prowadził je przez kilka lat, a następnie przeniósł się do Włocławka, gdzie pracował w Chrześcijańskim Uniwersytecie Robotniczym i w chrześcijańskich związkach zawodowych. Po roku 1933 (gdy już koła akademickie «Odrodzenie» i innych ruchów działały słabiej z powodu przeszkód ze strony administracji sanacyjnej) ks. prof. Stefan Wyszyński zajął się kierowaniem Tygodniami Społecznymi Odrodzenia w Lublinie i pracę tę prowadził aż do sierpnia 1939 r. W r. 1957 Ksiądz Stefan Wyszyński, będący już prymasem i przywódcą moralnym Narodu, powołał do życia Dni Modlitw na Jasnej Górze, które odbywały się rokrocznie jako surogat dawnych Tygodni Społecznych Odrodzenia i z czasem stały się wielkimi zjazdami inteligencji katolickiej (1000 — 1500 osób). Znajdują się one obecnie pod protektoratem ks. Prymasa Józefa Glempa”.

Spodziewam się, że ten długi cytat oddaje obiektywnie poglądy Stefana Kaczorowskiego. Jednakże w całym jego tekście bardzo silne echo znajdują poglądy przypisujące główną rolę masonerii we wszystkich działaniach antykościelnych i przeciwnych idei chrześcijańsko-społecznej. W tym też kierunku idą niezbyt zawołowane sugestie pod adresem ludzi z *Tygodnika Powszechnego*. Trąci to spiskową teorią historii. Masoneria, jak wiadomo, w pewnych epokach odgrywała poważną rolę. Trudno ją jednak dzisiaj stawiać wyżej niż interesy mocarstw przewodzących różnym częściom podzielonego świata.

Ale mniejsza o to i o nieuchronne w życiu publicznym animozje grupowe i osobiste. Istotne znaczenie ma teza Stefana Kaczorowskiego, że dzieli go z Jerzym Turowiczem *stosunek do myśli chrześcijańsko-społecznej, a nie do nacjonalizmu*. Turowicz naturalnie tego poglądu nie podziela i uważa, że spór toczy się wokół nacjonalizmu. Osobiście nie określiłbym mecenasa Kaczorowskiego jako nacjonalistę. Ma on, jak to sam sformułował, poglądy „narodowo-chrześcijańsko-demokratyczne”, poddaje się jednak w wielkim stopniu przeko-

naniu o przewodniej roli historycznej masonerii, stąd też jest nieufny wobec mniejszości narodowych, a zwłaszcza mniejszości żydowskiej. Jest więc na antypodach nastawienia Turowicza.

Z przytoczonych tekstów i polemik wynika, że właściwie można mówić o trzech tradycjach w katolicyzmie polskim: *narodowej, chrześcijańsko-demokratycznej i liberalno-personalistycznej*. Osobiście jednak nie sądzę, by ta ostatnia tradycja wyrzekła się katolickiej myśli społecznej, co zarzuca jej Stefan Kaczorowski. Raczej skromniej oceniała jej możliwości w Polsce „realnego socjalizmu”, a następnie miała duże wątpliwości wobec koncepcji partii nazywających się chrześcijańskimi. Toteż skłaniam się do poglądu, że jednak główny spór dotyczył postawy narodowej i nacjonalistycznej, które nie zawsze są dość precyzyjnie odróżniane i definiowane.

Z artykułu Jerzego Turowicza wynika, że Chrześcijańska Demokracja przed wojną była w Polsce pod wielkim wpływem Narodowej Demokracji. Było tak niewątpliwie w latach dwudziestych, a zwłaszcza w ich pierwszej połowie. Później jednak się zmieniło. I tak na przykład przywódca chadecji Wojciech Korfanty prowadził w latach trzydziestych ostrą polemikę z totalizującą się po 1926 roku endecją. W ogóle zaś z historycznego punktu widzenia niebezpiecznie jest mówić o Chrześcijańskiej Demokracji jako o całości. Jest bowiem smutną prawdą, że ruch ten w Polsce nie był spoisty, przeżywał rozłamy, miał wiele odgałęzień i wewnętrznych perturbacji.

Wreszcie jeszcze jedna dość zasadnicza kwestia. Katolicy i nie tylko katolicy o nastawieniu wolnościowym, sprzeciwiając się nacjonalizmowi, bardzo często skłaniali się ku Piłsudskiemu i jego obozowi niepodległościowemu, który był głównym przeciwnikiem obozu narodowego w okresie międzywojennym. Naturalnie, te dwie orientacje, mające do dzisiaj wpływ na poglądy polityczne w Polsce, przyczyniały się w poważnym stopniu do oddalenia sfer katolickich myślących narodowo od tych, które wyrażały tendencje liberalne.

Historyczne tło przeciwieństwa orientacji wolnościowej i narodowej w katolicyzmie polskim ukazuje, jak bardzo ich różnice były głębokie, jak długo trwały, jak były komplikowane głównym sporem w Polsce między obozem nacjonalistycznym Romana Dmowskiego i niepodległościowym Józefa Piłsudskiego, jak wreszcie przejawy dawnych różnic odżywiają dzisiaj w całkiem innej epoce. Znajomość tej problematyki jest bardzo nikła tak w kraju, jak i za granicą. Przywiązuję więc wielką wagę do wyjaśnienia sporów przeszłości, które choć nie dość znane, wpływają i dzisiaj na postawy polskiej społeczności katolickiej.

## IV

W powstałej w okresie wojny katolickiej organizacji „Unia” skupieni byli działacze wyrażający bardzo różne tendencje. Jeśli jednak przed wojną dominowało w katolicyzmie polskim nastawienie narodowe, to w „Unii” nie było inaczej, choć należeli do niej tak Jerzy Turowicz, jak i późniejsi intelektualiści laicy. To samo da się powiedzieć o powstałym w 1937 roku z połączenia Chrześcijańskiej Demokracji i Narodowej Partii Robotniczej — Stronnictwie Pracy. Choć przypisywano mu nawet koneksje masońskie, to jednak nie ulega wątpliwości, że było ono przede wszystkim antypiłsudczywskie. Do endecji, w jej fazie totalizującej, odnosiło się także z dystansem. Ale rodowód Narodowej Partii Robotniczej i jej prezesa Karola Popiela, który w wyniku ucieczki z kraju Korfantego, a potem uwięzienia go tuż przed wojną — był faktycznym prezesem Stronnictwa Pracy, wiązał się z obozem narodowym. W danym wypadku chodzi jednak głównie o tendencje ideowe, a nie o układy partyjne, bo te zmieniały się wskutek najczęściej przejściowych sojuszy i rozłamów. Choć autentyczne Stronnictwo Pracy znikło z polskiej sceny politycznej już w 1946 roku, to na przykładzie poglądów Stefana Kaczorowskiego widzimy, że pewne tendencje i poglądy trwają wiele dziesiątków lat po formalnym zniknięciu ich formacji politycznych. Należy tu dodać, że wielu działaczy chadecji, a wśród nich Stefan Kaczorowski, znalazło się po wojnie w więzieniu, a inni musieli chronić się na emigracji. Należał do nich także Karol Popiel.

W ten sposób jedna ze stron przedwojennego konfliktu na dłuższy czas została zmuszona do milczenia, a druga znalazła się, niespodziewanie dla siebie, w pozycji monopolisty autentycznego ruchu katolickiego w Polsce. Musiało się to przyczynić do wzrostu zawiści i pretensji.

Stalinizm zwalczał w zasadzie wszystkie kierunki i partie tak zwane burżuazyjne, czyli wyrosłe na gruncie społeczeństw powstałych jako skutek Rewolucji Francuskiej. W Polsce jego ostrze zwróciło się głównie przeciw dwóm najsilniejszym obozom politycznym: niepodległościowemu, związanemu z imieniem Piłsudskiego, i narodowemu, który symbolizował Dmowski. Oficjalnie głównym wrogiem byli piłsudczycy jako wyraziciele antyrosyjskiego, wschodniego programu federacyjnego i bezwzględni szermierze niepodległości Polski. Ze względu na pochodzenie żydowskie dużej części aktywów, który dokonał w Polsce zmiany ustroju, nie mniej drastycznie rozprawiano się z działaczami Narodowej Demokracji. Niektórzy z nich jednak, ze względu na prorosyjską geopolitykę Dmowskiego, znaleźli drogę do współpracy z komunistami, a nawet drogę do partii. Nie jest na przykład tajemnicą, że w okresie rządów Władysława Gomułki było kilku ministrów wywodzących się z obozu narodowego. Nie wolno też



zapominać o prześladowaniu nieugiętych działaczy socjalistycznych, ludowych i chadeckich w okresie stalinowskim. Całkowicie jednostronnie przedstawił to Jan Dobraczyński w swej powieści *Dzieci Anny* (PAX, Warszawa 1983), z której wynika, że prześladowani byli głównie katolicycy narodowcy. Trudno o większy stopień braku obiektywizmu historycznego, powodowany animozją do aparatczyków stalinowskich pochodzenia żydowskiego. Animozja ta ujawniła się jednak dopiero teraz. Gdy ci ludzie rządzą, Jan Dobraczyński był także wtedy postem na sejm PRL.

Zaraz po wojnie wielu przedstawicieli polskiego życia politycznego uwierzyło, że system polski, oparty na trójsektorowej — państwowej, spółdzielczej i prywatnej — gospodarce, będzie różnił się znacznie od radzieckiego. Stąd nie tylko niektórzy narodowcy, ale także socjaliści i ludowcy szli na współpracę z rządem, mając na oku wartości reprezentowane przez ich macierzyste ruchy w okresie międzywojennym i aktualny rozwój wyniszczonego wojną kraju. Złudzenia te trwały krócej lub dłużej. Chrześcijańscy demokraci porzucili je już latem 1946. Elastyczna polityka nowych władz komunistycznych sprawiła jednak, że przez pierwsze trzy lata nowej rzeczywistości powojennej udział działaczy dawnych partii w życiu publicznym był znaczny. Jednakże po wyborach do sejmu w 1947 roku zlikwidowano opozycyjne Polskie Stronnictwo Ludowe, a w grudniu 1948 roku połączono krajową Polską Partię Socjalistyczną z Polską Partią Robotniczą. W ten sposób powstała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, sprawująca rządy w Polsce.

Wtedy też z władz partii usunięto po raz pierwszy Władysława Gomułkę, oskarżając go o odchylenia prawicowo-nacjonalistyczne. W wyniku pełnej uniformizacji życia politycznego rola obrońcy praw człowieka i moralnych praw narodu przypadła Kościołowi katolickiemu, który stał się jedyną alternatywą panującego systemu i sprawował w kraju rząd dusz. Oględna strategia Kardynała Wyszyńskiego sprawiła, że było to możliwe, mimo zaplanowanych prześladowań Kościoła. Sam Kardynał znalazł się w więzieniu dopiero 25 września 1953 roku, kiedy schyłek stalinizmu, po śmierci dyktatora, był już nieuchronny. Do końca życia Stalina trwał na posterunku katolicki *Tygodnik Powszechny*, zlikwidowany formalnie za odmowę umieszczenia artykułu pośmiertnego o zmarłym dyktatorze. Ostał się natomiast PAX i Bolesław Piasecki, ale był on swego rodzaju *outsiderem* katolicyzmu polskiego.

Główną linię świata katolickiego wytyczał, najpierw na wolności, a potem konspiracyjnie w ostatnich miesiącach uwięzienia, Kardynał Wyszyński. Prymas poczuwał się do odpowiedzialności nie tylko za Kościół, ale także za naród i prawa człowieka. Podkreślał ścisły związek dziejów Kościoła i narodu w Polsce. Miał wątpliwości w sprawie postawy inteligencji (katolickiej i niekatolickiej) i głosił

program katolicyzmu masowego oraz Kościoła ludowego. Kładł nacisk na tradycyjne formy religijności, procesje, pielgrzymki, peregrynację kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Linia ta odniosła pełen sukces. Masy trwały przy Kościele i odpowiadał im ludowy, powszechnie dostępny kształt religijności polskiej. Społeczeństwo chciało trwać przy wierze ojców, finezje intelektualne schodziły w jego odczuciach na plan dalszy. Naród czuł, że jego tożsamość duchowa jest zagrożona.

Ale linia Kardynała Wyszyńskiego była też z różnych stron kwestionowana. Z zagranicy atakowano ją za „konserwatywizm” katolicki a zarazem za „ustępliwość wobec władz komunistycznych. W kraju zwolennicy katolicyzmu pogłębionego, intelektualnego bali się religijności o silnym wyrazie zewnętrznym, a jeszcze bardziej ostentacyjnie narodowego nastawienia Prymasa. Czyż nie było ono jednak uzasadnione, skoro dwa główne ruchy polityczne najnowszych dziejów Polski — narodowy i niepodległościowy — zostały wyeliminowane z oficjalnego życia kraju? Kościół pełnił więc rolę narodową niejako zastępczo i zawsze tylko w ramach swej głównej misji ewangelicznej. Kardynał Wyszyński, nie bez racji, uważał za swoich krytyków także wielu wybitnych przedstawicieli *Tygodnika Powszechnego* i związanego z nim szerszego ruchu ZNAK. Ludzie ci byli inspirowani niechęcią do nacjonalizmu i wizją katolicyzmu bardziej wysublimowanego i intelektualnego, wyrażającego orientację personalistyczną.

Tak więc powojenne napięcia w katolicyzmie polskim mniejsze znaczenie miały na marginesach, reprezentowanych przez PAX i inne ugrupowania prorządowe, a większe w samym centrum społeczności katolickiej, gdzie dyskretnie i z zachowaniem *sensus catholicus* ścierały się dwie koncepcje religijności.

Uważam, że istota tych napięć wiązała się z silniejszym podkreśleniem czynnika narodowego lub uniwersalnego w Kościele. Negowanie któregośkolwiek z nich byłoby absurdalne. Kościół jest bowiem powszechny, ale człowiek dąży do swego celu nadprzyrodzonego głównie w ramach społeczności rodzinnej i narodowej. Stąd wspomniane napięcia miały zasięg ograniczony, nieporównywalny do okresu przedwojennego, kiedy ścierały się polityczne kierunki nacjonalistyczne i liberalne. Kardynał Wyszyński widział swą odpowiedzialność przede wszystkim za tę część Kościoła Powszechnego, którą powierzono jego pieczy pasterskiej. Troski o Kościół w Polsce, zwłaszcza w okresie stalinowskim, a także późniejszym, nie można było oddzielić od obrony praw człowieka i narodu, stanowiących uwarunkowanie rozwoju osobowego, a więc także religijności. Jerzy Turowicz i *Tygodnik Powszechny* dążył natomiast do religijności możliwie uniwersalnej, między innymi w obawie przed nacjonalistycznymi zwyrodnieniami katolicyzmu przedwojennego.

Z perspektywy dzisiejszej widać jasno, że pierwsze stanowisko było uwarunkowane sytuacją kraju, a drugie złymi doświadczeniami przeszłości. Synteza tych stanowisk była możliwa. Sądzę, że można odnaleźć ją w linii Kardynała Wyszyńskiego, jednocześnie wolnościowej i narodowej. Mimo napięć *Tygodnik Powszechny* nigdy nie zerwał swej ściślej łączności z Hierarchią ani kontaktu z Kardynałem Wyszyńskim. Ale nad samym faktem napięć nie można przejść do porządku, gdyż stanowiłoby to zafałszowanie historii.

Wspomniane napięcia ujawniły się zresztą szerzej dopiero po roku 1956, po przełomie październikowym i powrocie do władzy Władysława Gomułki. Wcześniej Kardynał Wyszyński ratował, jak mógł, *Tygodnik Powszechny* i oficjalnie zaprotestował po jego likwidacji przez władze. Po październiku 1956 *Tygodnik* utworzył kilkuosobowe koło w Sejmie, znane jako grupa ZNAK. Reaktywowanie *Tygodnika*, miesięcznika ZNAK, utworzenie Klubów Inteligencji Katolickiej, *Więzi* a potem także wydawnictwa książkowego *Znak* odbyło się za sprawą bliskiego Gomułce ministra Władysława Bieńkowskiego, liberała i późniejszego dysydenta partyjnego. Przeciw grupie ZNAK byli konserwatyści i dogmatycy partyjni, którzy z czasem przyjęli nastawienie nacjonalistyczne, a jeszcze wyraźniej antysemickie, nazywane antysyjonistycznym. Lata pięćdziesiąte w ZSRR przyniosły, wraz ze słynnym procesem lekarzy, początek rozchodzenia się dróg ideowych komunizmu i lewicy światowej społeczności żydowskiej. W latach sześćdziesiątych w Polsce powstała sytuacja przypominająca późne lata trzydzieste. Ciągłe mówiono o problemie żydowskim. Ale przed wojną było w Polsce prawie 3,5 miliona obywateli pochodzenia żydowskiego, a teraz chodziło tylko o grupę działaczy wyższego i średniego aparatu partyjnego pochodzenia żydowskiego. Skrzydło konserwatywno-nacjonalistyczne zdołało usunąć ich ze stanowisk w marcu 1968 roku, zmuszając przy okazji do emigracji wielu Żydów, czujących się Polakami.

Katolicy byli ostatnimi, którzy powinni wtrącać się do walk frakcyjnych w PZPR, ale decydująca rola partii komunistycznej we wszystkich sprawach życia państwowego czyniła to w jakiejś mierze nieuniknionym, nawet jeśli subiektywnie chciało się tego uniknąć.

Gdy Koło Poselskie ZNAK złożyło interpelację sejmową w 1968 roku w sprawie bicia młodzieży przez organa porządkowe w czasie demonstracji marcowych, spotkał je zarzut syjonizmu i nagonka propagandowa. Główny udział brał w niej Piasecki, który przypominał sobie własną młodość ideową, zaś zapomniał wieloletnią współpracę z funkcjonariuszami partyjnymi pochodzenia żydowskiego. Natomiast część starych chrześcijańskich demokratów przypomniła sobie, że represje spotkały ich właśnie z rąk funkcjonariuszy pochodzenia żydowskiego. Związana ze ZNAK-iem grupa miesięcznika *Więź* podzieliła się wtedy także na dwa odłamy, co doprowa-

dziło w 1976 roku do rozłamu w całym ZNAK-u i do odejścia z Sejmu ostatniego przedstawiciela *Tygodnika Powszechnego* — Stanisława Stommy. W rezultacie okazało się więc, że w systemie realnego socjalizmu nie było miejsca politycznego dla żadnej z wcześniej ukształtowanych tradycji katolickich. Najpierw wyeliminowano ruch chrześcijańsko-społeczny, w 1976 roku, co prawda tylko z Sejmu, kierunek wolnościowo-personalistyczny, a z kolei w 1985 roku także odłam Janusza Zabłockiego, który po wyjściu z *Wieżi* i po różnych meandrach politycznych zorganizował Polski Związek Katolicko-Społeczny, reprezentowany także w Sejmie. Ta ostatnia formacja, stanowiąca swego rodzaju kombinację nastawienia chrześcijańsko-społecznego i narodowo-demokratycznego została właśnie w roku 1985 zastąpiona ludźmi nie mającymi opinii niezależnych ideowo. Epizod ten świadczy, że istniejący system nie sprzyjał *de facto* żadnej z orientacji katolickich, lecz dążył do ich wykorzystania dla swojej polityki. W końcu z polityki wszyscy zostali wyrugowani, a inni katolicy, którym udział w niej zaproponowano, nie mieli już na to ochoty.

Po roku 1980 reaktywowano wiele wcześniej zamkniętych czasopism kościelnych, których linia dopiero powoli się krystalizuje. Z inicjatyw wcześniejszych ostała się i najsilniejszą pozycję ma grupa *Tygodnika Powszechnego*, przede wszystkim ze względu na dystans wobec bezpośredniego udziału w polityce, a także w wielkiej mierze dzięki sympatii i moralnemu poparciu Ojca Świętego Jana Pawła II, który właśnie na łamach tego pisma debiutował jako pisarz.

## V

Z krótkiego przeglądu historycznych tradycji katolickich w Polsce nasuwają się pewne wnioski. Chciałbym je sprecyzować w trosce o to, by społeczność katolicka nie żyła trawiona minionymi przeciwieństwami, wywodzącymi się przede wszystkim z przedwojennych i wcześniejszych uwarunkowań politycznych, ale by patrzyła bardziej w przyszłość, w stronę jedności Kościoła będącego wspólnotą Ludu Bożego.

Kościół jest katolicki, to znaczy powszechny, posłany do wszystkich ludów i narodów, ras, kultur i formacji ustrojowych. Fakt ten powinien stanowić główną przesłankę myślenia katolików także o sprawach społeczno-ideowych. Kościół jest powszechny, a więc jest dla wszystkich, a nie jest przeciw komukolwiek. Chrystus oddał życie na krzyżu, by zbawić całą ludzkość. Nigdy nie wolno o tym zapomnieć. Jest to bowiem fundament Nowego Testamentu i najgłębsza rewolucja pojęć religijnych, jaką przyniosło chrześcijaństwo. Należy więc we wszelkim myśleniu społeczno-ideowym pilnie baczyć, by nie sprzeniewierzyć się fundamentalnej zasadzie religii katolickiej.

Kościół ma cel pozadoczesny i nadprzyrodzony, ale jego wyznawcy, a także tworzone przez nich struktury, ulegają uwarunkowaniu historycznym, prądom umysłowym różnych epok, różnym splotom i procesom społecznym. W ten sposób wokół nadprzyrodzonych wartości religii i pozadoczesnych celów Kościoła narastają nawarstwienia socjologiczne, będące pochodnymi przemijających epok i wydarzeń dziejowych.

Obok pierwiastka Boskiego w Kościele daje o sobie znać także pierwiastek ludzki. Nie powinno to jednak ani dziwić, ani gorszyć, bo choć przeznaczenie człowieka jest pozadoczesne, to jednak jego natura jest obciążona konsekwencjami grzechu pierworodnego, a więc nie jest doskonała. Kościół przez swą misję ewangelizacyjną i sakramentalną prowadzi człowieka do Boga. Kościół troszczy się też o warunki społeczne sprzyjające godności i wolności człowieka, by mógł się on rzeczywiście doskonalić i zmierzać do swego celu ostatecznego. Z tego powodu religia nie jest sprawą prywatną, a Kościół wypowiada się publicznie w sprawach społeczno-moralnych. Bywa to określane jako funkcja profetyczna i krytyczna Kościoła. Wyznawcy, cały Lud Boży powinien realizować ją przez ocenianie rzeczywistości ziemskich, każdej epoki w świetle zasad chrześcijańskiej nauki społecznej. W ciągu dziejów, a także w ostatnich dziesiątkach lat, chrześcijańska myśl społeczna znajdowała różne interpretacje i była nie zawsze jednakowo rozumiana. Jedni chcieli widzieć w niej obowiązujący na zawsze ideał ustroju społecznego, trzecią drogę między kapitalizmem i komunizmem, a inni jako ogólne wskazania społeczno-moralne, które należy realizować w różnych warunkach ustrojowych i w każdej rzeczywistości społecznej.

Osobne zagadnienie tworzy problematyka narodowa. Jest faktem, że naród stanowi obok rodziny naturalne środowisko rozwoju osobowego człowieka. Ale jest także faktem istnienie państw wielonarodowych, bądź federacyjnych, czy wreszcie krajów o dużej ilości mniejszości narodowych. We wszystkich wspomnianych tu układach narodowościowych należy skądinąd zrozumieć afirmację znaczenia narodu jako kolebki rozwoju człowieka traktować z odpowiednim taktem i powściągliwością, by to, co ma służyć godności i wolności jednej części społeczeństwa, nie mogło zarazem dyskryminować rozwoju innej jego części. Jednakże walki narodowościowe były i są faktem historycznym, nad którym nie można przechodzić do porządku dziennego. Stanowi on taką samą część rzeczywistości ziemskich jak inne konflikty między ludźmi. Stąd też obok umiarkowanych postaw narodowych, wolnych od nietolerancji i ksenofobii, powstały tendencje nacjonalistyczne. Były one historycznie nie do uniknięcia, ale współcześnie, przynajmniej w Europie, są coraz bardziej moderowane w duchu humanizmu i zbliżania różnych narodów. W Polsce główną rolę w ewolucji od nacjonalizmu do

patriotyzmu odegrał po wojnie Kościół katolicki. Polityka państw zachowała jednak także na naszym kontynencie charakter przede wszystkim narodowy i nie sposób nie brać tego pod uwagę. Solidarność międzyludzka nie może i nie musi prowadzić do sprzeniewierzenia się własnej wspólnoty narodowej. Z drugiej strony wybujałe nacjonalizmy doprowadziły w Europie do dwóch wojen światowych, a w Trzecim Świecie powodują dziś wielkie nieszczęścia i tragedie, jakie możemy obserwować choćby w Libanie. Zresztą także na kontynencie europejskim są drastyczne sprzeczności narodowościowe, choćby w Irlandii, Belgii czy Hiszpanii.

Polska nie była wolna od konfliktów ani narodowościowych, ani społecznych. Katolicy, choć ożywieni tym samym systemem wartości, reagowali różnie na wspomniane konflikty i przeciwieństwa, ponieważ dokonywali odmiennej oceny rzeczywistości, bądź też odczuwali różne typy solidarności wobec wspólnot społecznych i narodowych. Z dzisiejszej perspektywy nie powinno nas to także specjalnie dziwić, zważywszy na znaczne różnice w sytuacji społecznej różnych grup ludności i na fakt, że mieliśmy ponad trzydziści procent mniejszości narodowych, chcących zachować swą tożsamość i odrębność. Ten społeczny i narodowościowy stan faktyczny w Polsce wytworzył różne orientacje także wśród katolików polskich. Scharakteryzowaliśmy je wyżej jako orientację narodowo-demokratyczną, narodowo-chrześcijańsko-demokratyczną i wolnościowo-personalistyczną. Charakterystyka ta być może wymienia główne orientacje, powołujące się na związek z katolicyzmem, ale nie wyczerpuje z pewnością wszystkich postaw i orientacji przeszłości. Można je różnie definiować i klasyfikować. Ważniejsze jest jednak pytanie, czy dawne spory i przeciwieństwa mają jeszcze dzisiaj, w całkiem odmiennych warunkach, nadal dzielić społeczność katolicką w Polsce?

Uważam, że dawne przeciwieństwa nie powinny dzisiaj dzielić społeczności katolickiej. Wspominałem już wyżej, że między myśleniem narodowym i wolnościowym nie musi być przeciwieństwo, jeśli obie te tendencje zostaną poddane chrześcijańskiemu systemowi wartości, w którego centrum jest człowiek. Prawdziwa wolność i prawdziwa troska o naród muszą służyć człowiekowi. W tej służbie zawiera się cały ich sens i istota. Nie ma także powodu do kontynuowania polemiki między tymi, którzy rozumieli myśl chrześcijańsko-społeczną jako osobną drogę ustrojową, a tymi, którzy widzieli w niej zasady, jakie należy realizować w różnych ustrojach i rzeczywistościach ziemskich. Nie należy nikogo pochopnie posądzać o letniość, kompromisowość i minimalizm katolicki, jeśli obiektywne warunki w kraju pozwalają praktycznie tylko na walkę o prawa człowieka. Tej walki żaden chrześcijanin nie może zaniechać. Sposób, w jaki ją prowadzi, jest i pozostanie jednak zawsze uzależniony od obiektywnych uwarunkowań społecznych. W Polsce *hic et nunc* postulat

zmiany ustroju zdecydowanie nie ma szans realizacji w dającej przewidzieć się perspektywie czasowej. Czy w tej sytuacji nie jest najważniejszy postulat walki o prawa ludzkie?

Wreszcie, zważywszy na powszechność Kościoła, jest oczywiste, że żadne poczucie narodowe nie może być z nią w sprzeczności. Gubiąc fundament powszechności, zaprzepaścilibyśmy wielką przemianę religijną dokonaną przez samego Jezusa Chrystusa. Pisałem jednak, że Kościół, zakorzeniając się w różnych narodach, po pewnym czasie jest uważany przez każdy z nich za własny, za swój. Jest to naturalne. Skoro bowiem Kościół strzeże godności i wolności człowieka, nie może pozostawać obojętny na moralne prawa kolebki rozwoju tegoż człowieka, jaką jest naród. Stwierdzamy więc, że Kościół broni nie tylko praw człowieka, ale także moralnych praw narodu do jego duchowej i kulturalnej, a także politycznej odrębności i niezależności.

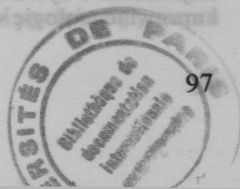
Taka sytuacja wytworzyła się już tradycyjnie w Polsce, gdzie Kościół w różnych okresach historycznych, ale zwłaszcza w czasie 123 lat zaborów, a także w sytuacji ateistycznego państwa ideologicznego, które jest obiektywną rzeczywistością dzisiejszej Polski, stał się niejako depozytariuszem głównych wartości narodowych, a zwłaszcza naszej przynależności do łańciskiej i chrześcijańskiej kultury zachodnio-europejskiej. Kościół broni naszej przynależności kulturalnej do Zachodu w sposób tak taktowny i roztropny, że nie wywołuje to napięć społecznych, a także mimo politycznego usytuowania Polski w bloku państw tak zwanego realnego socjalizmu nie doprowadziło to do trwałego impasu w stosunkach między Kościołem a państwem. Bylibyśmy jednak świadkami ostrych kryzysów i napięć w tych stosunkach, przewyższanych najczęściej, gdy Kościół stawał się politycznie potrzebny ze względu na swą troskę o naród, a więc o pokój społeczny.

Sądzę, że jedną z najciekawszych cech katolicyzmu polskiego jest fakt, iż odgrywa on tak wielką rolę narodową, a zarazem nie zatracza nic ze swego rozumienia powszechności Kościoła. Jest nawet przeciwnie. Związek z papieskim Rzymem umacnia naszą tożsamość i siłę narodową. Było tak przez cały okres powojenny. Obecnie za pontyfikatu Papieża-Polaka Jana Pawła II konsekwencje moralnego związku Polski z papieskim Rzymem jeszcze się zwielaokrotniają. Jednocześnie posługa Biskupa Rzymu sprawowana przez Polaka umacnia zrozumienie przez katolików polskich powszechności Kościoła, którego kraj nasz i Kościół jest tylko jednym z członów, organicznie zespolonym z innymi Kościołami lokalnymi.

Różne przedwojenne i wcześniejsze tradycje katolicyzmu polskiego miały z wszelką pewnością swoje obiektywne uwarunkowania, lecz nie mogą i nie powinny w przyszłości rzutować na oblicze katolicyzmu w naszym kraju i podważać jedności Kościoła w Polsce.

Powszechnie wiadomo, że kierunki polityczne w różnych epokach próbowały i usiłują współcześnie wykorzystywać autorytet Kościoła dla swoich celów. Nawet marksiści, którzy przecież do dzisiaj teoretycznie i administracyjnie walczą z Kościołem, jednocześnie dążą do jego politycznego wykorzystywania, zwłaszcza w takich okresach jak obecny, kiedy mają wątplę zaplecze społeczne. Pokusę taką mają naturalnie także te ruchy społeczne, które uważają, że tak jak Kościół, choć innymi metodami, bronią praw człowieka i narodu. Kościół, popierając wszelkie wysiłki na rzecz umocnienia praw człowieka i moralnych praw narodu, nie identyfikuje się jednak z żadną polityką i z żadnym czysto świeckim i doczesnym ruchem społecznym. Niektóre partie chrześcijańsko-demokratyczne na Zachodzie nazwały się partiami ludowymi, by nie nadużywać słowa „chrześcijańskie”. Tak jest na przykład w Austrii, ale nie w Niemczech ani we Włoszech. Nie ma potrzeby dowodzić głębokiej słuszności i właśnie praktyki austriackiej. Wspominałem wyżej, że przedwojenne przeciwieństwo katolicyzmu narodowego i wolnościowego nie ma już dzisiaj uzasadnienia w sytuacji społecznej kraju i że należy dążyć do syntezy myśli katolicko-społecznej. Operowanie terminem katolicyzm narodowy czy wolnościowy albo personalistyczny stanowiło wyraz uwarunkowań poprzedniej epoki. Dziś wiemy coraz lepiej, że katolicy to znaczy powszechny. Kierujemy się więc zasadą powszechności Kościoła rzymskiego, a zarazem bądźmy świadomi, że w Polsce i wszędzie indziej broni on sprawy wolności człowieka i wspólnot — w tym wspólnoty narodowej — w których człowiek żyje, rozwija i doskonali swoją osobowość.

*Andrzej MICEWSKI*





**Ks. Andrzej Zuberbier**

## **W DWADZIEŚCIA LAT PO SOBORZE**

Minęło dwadzieścia lat od zakończenia dnia 8 grudnia 1965 roku Soboru Watykańskiego Drugiego. Doskonała okazja, by zadać sobie pytanie o wpływ, jaki Sobór wywarł na życie Kościoła w Polsce. Sobór, oczywiście, służył całemu Kościołowi, a nawet całemu światu, sytuacja jednak kościoła w poszczególnych krajach czy na poszczególnych kontynentach jest różna, a co za tym idzie, także recepcja soborowych decyzji i soborowego nauczania przebiega odmiennie. Na przykład, w krajach Europy Zachodniej okres posoborowy zaznaczył się w niektórych środowiskach pewnym kryzysem w życiu chrześcijańskim: kwestionowanie tradycyjnego rozumienia dogmatów wiary, desakralizacja liturgii, brak powołań kapłańskich i zakonnych, sprzeciw wobec autorytetów kościelnych z papieżem włącznie... — sprawy, których w Polsce nie przeżywalismy. Poprzestańmy zatem na zagadnieniu znaczenia Soboru Watykańskiego Drugiego dla życia Kościoła w Polsce.

Ale co trzeba rozumieć przez „życie Kościoła”? Otóż nie tylko działanie instytucji kościelnych, lecz także chrześcijańskie życie ogółu wiernych. Kościół jest bowiem wspólnotą wierzących. Istotnym nurtem życia Kościoła jest wiążąca wszystkich w jedno wiara w Chrystusa, wspólna nadzieja i wzajemna miłość. Instytucje kościelne, łącznie ze spełnianą w nich nauczycielską i pasterską funkcją biskupów i sprawowanymi w nich sakramentami, nie mają nic innego na celu, jak budzić i rozwijać tę wiarę, nadzieję i miłość. I instytucje owe na tyle potrzebują odnowy, na ile niewystarczająco spełniają tę rolę.

Dajmy przykład. Jeżeli Sobór podjął reformę liturgii, umożliwiając jej sprawowanie w językach narodowych, czyniąc obrzędy bardziej przejrzystymi dla ich uczestników i dając miejsce na ich aktywne włączenie się w nie, to dlatego, że skostniała i niezrozumiała dla wielu liturgia ostatnich wieków nie służyła wystarczająco chrześcijańskiemu życiu. Podobnie jeśli Sobór postulował, by głosić wiarę i uprawiać teologię w języku, który by bardziej trafiał do dzisiejszego

słuchacza Ewangelii, to dlatego, że dotychczasowy język mówienia o wierze stał się współczesnemu człowiekowi obcy, a więc nie służył już budzeniu w nim wiary.

Nie można zatem mówić rzeczy istotnie ważnych dla przedstawienia znaczenia ostatniego Soboru, nie próbując zdać sobie sprawy z jego wpływu na życie ogółu wiernych, a ograniczając się do wyliczenia zmian, jakie nastąpiły (albo nie nastąpiły, a mogły czy powinny były nastąpić!) w funkcjonowaniu kościelnych instytucji.

Działanie instytucji jest, oczywiście, łatwiejsze do stwierdzenia i opisanie niż życie chrześcijan, jak na przykład różne formy kolegiального działania biskupów, jakie przyjęły się po Soborze w rezultacie jego nauki o odpowiedzialności biskupów za cały Kościół i za głoszenie Ewangelii na całym świecie, albo sprawa powołania do życia w każdej diecezji rad duszpasterskich i kapłańskich czy zmiany w obrzędach liturgicznych, zadecydowane przez Sobór. O wiele trudniej dostrzec i opisać zmiany, jakie pod wpływem Soboru zachodzą w życiu ogółu wiernych. Pomocne w tym względzie byłyby badania socjologiczne, nie wiem jednak, czy ktokolwiek u nas je prowadził. Pewną orientację dają odpowiedzi na ankiety ogłaszane niekiedy na przykład w *Tygodniku Powszechnym* na temat własnego życia religijnego, jak ostatnio „Dlaczego przychodzi?”. Zresztą, trzeba się zdać na przekonania, jakie rodzą się ze znajomości wydarzeń zachodzących w Kościele, z doświadczeń duszpasterskich, z osobistych kontaktów z ludźmi, a wreszcie i z refleksji nad własnym chrześcijaństwem.

Zachodzi jeszcze inna trudność, gdy mówi się o wpływie Soboru na nasze chrześcijańskie życie. Mianowicie zmiany, jakie w ciągu ostatnich dwudziestu lat zachodzą w Kościele, także w Kościele w Polsce, nie są jedynie wynikiem soborowego nauczania i soborowych decyzji. Nie mówiąc już o ogólnym rozwoju kultury, pojawia się u nas na przykład pytanie, czy żywszy związek z Kościołem nie jest w wielu wypadkach uwarunkowany sytuacją polityczną lub ekonomiczną. W ostatnich latach niewątpliwy wpływ na nasze życie religijne wywiera nauczanie i osobiste oddziaływanie Jana Pawła II, świadomie i głęboko związanego z naszą narodową kulturą, z Ojczyzną i z rodakami. Takich uwarunkowań czy przyczyn zmian zachodzących w naszym Kościele jest oczywiście więcej. Niełatwo je wszystkie wymienić, a cóż dopiero wyodrębnić rolę, jaką odgrywają poszczególne z nich. W tym i Sobór. Wydaje się jednak, że konfrontacja charakteru zachodzących zmian z nauczaniem i decyzjami Soboru pozwoli stwierdzić, że przynajmniej w jakiejś mierze zmiany te zawdzięczamy Soborowi.

Nie sposób tu uwzględnić wszystkie dziedziny chrześcijańskiego życia, które brał pod uwagę Sobór. Jego szesnaście dokumentów dotyczy Kościoła w jego strukturze wewnętrznej i spełnianej przezeń

misji w świecie, dotyczy różnych powołań i funkcji w Kościele, a zarazem całokształtu ludzkiego życia. Trzeba zatem poprzestać na niektórych sprawach, może tych, które wydają się być najlepiej widoczne w życiu ogółu wiernych.

### *Liturgia*

Zacząć chyba trzeba od liturgii. Konstytucja na ten temat była pierwszym wydanym przez Sobór dokumentem (już 3 grudnia 1963 roku), a ponadto zmiany w żadnej innej dziedzinie życia kościelnego nie były tak — dosłownie mówiąc — widoczne. Jest jeszcze jedna racja: zmiany w liturgii pociągają za sobą zmiany i pogłębienie w patrzeniu na wiele innych spraw w Kościele.

Soborowa *Konstytucja o Liturgii* wprowadza do jej sprawowania języki narodowe, całość obrzędów uczyniła bardziej „czytelny”, przyznała więcej miejsca czytaniom biblijnym, uwydatniła właściwy liturgii charakter wspólnotowy. Przewodniczący liturgii celebrians stają twarzą do wiernych, którzy z niemych widzów przekształcają się w żywych uczestników.

Reforma liturgii, przeprowadzona w Polsce wieloma etapami — znacznie wolniej niż w krajach Europy Zachodniej — została powszechnie dobrze przyjęta i szybko weszła w krew tak licznych w Polsce jej uczestników. Nie mam tu na myśli ośrodków elitarnych, objętych już wcześniej ruchem liturgicznym (na przykład Tynieć!), ani żywych i podatnych na zmiany środowisk, jak duszpasterstwa akademickie (te są w Polsce swoistą awangardą duszpasterską), lecz ogół tradycyjnych, wiejskich parafii. Przystawienie się ich na odnowione formy sprawowania liturgii nie tylko nie powodowało najmniejszych problemów, lecz zyskało spontaniczną aprobatę, przede wszystkim przez aktywny udział w odnowionej liturgii. Kto zna wiejskie polskie parafie, ten wie doskonale, jak żywiołowo odpowiada się na wezwania księdza, jak chętnie wspólnie śpiewa się (dobrodziejstwo rzutników wynika z niemożliwości wydrukowania powszechnie dostępnych śpiewników!), a także — w jak wielu parafiach — przyjmuje się gromadnie, znacznie częściej niż dawniej, Komunię świętą.

Żeby zrozumieć tę powszechną i praktyczną akceptację soborowej odnowy liturgicznej, trzeba zapewne wziąć pod uwagę tradycyjne i równie powszechne upodobanie w zbiorowej modlitwie i nabożeństwach. Gdy liturgia nie dawała dość sposobności po temu, powstawały liczne poza- i paraliturgiczne nabożeństwa, angażujące we wspólny śpiew i przeżycie. Takim nabożeństwem stawała się nawet sama Msza święta, celebrowana po łacinie, w czasie której śpiewano liczne, ludowe pieśni religijne, przerywane na podniesienie i *Ecce Agnus Dei*.

Wszystko to nie znaczy, by proces soborowej odnowy liturgii był u nas zakończony. Udział w tajemnicach wiary wymaga ciągłego pogłębiania, a co za tym idzie, ciągłego wyjaśniania, ciągłej biblijnej i teologicznej interpretacji. Wyjaśnianie to winno się nie tylko każdemu nowemu pokoleniu, lecz i tym, którzy już przywykli do odnowionej liturgii. Może zwłaszcza im, żeby udział w liturgii nie zmieniał się w przyzwyczajenie, które nie będzie miało wielkiego wpływu na całość chrześcijańskiego życia.

Wydaje się też, że ciągle nie jesteśmy dość otwarci na wspólnotowy charakter liturgii. Służyć ma ona przecież nie tylko spotkaniu z Bogiem, lecz i braterskiemu spotkaniu w Bogu. Służyć ma temu, by uczniowie Jezusa „byli jedno”, by się wzajemnie miłowali, jak On ich umiłował, by tworzyli jedno ciało, skoro spożywają jeden chleb... Liturgia daje wiele możliwości, by tę jedność wyrazić, by jej uczestnicy dostrzegali się wzajemnie, komunikowali między sobą jak bracia i czuli się rzeczywiście biesiadnikami zasiadającymi z radością przy wspólnym stole swego Pana. Tego „poziomego”, braterskiego kontaktu, który jest koniecznym kształtem „pionowego”, to znaczy spotkania z Chrystusem, nie pielęgnuje się u nas na ogół w sposób wystarczający. Choć razem się śpiewa i razem przystępuje do Komunii świętej, pozostaje się najczęściej w tym odosobnieniu, w jakim przyszło się do kościoła. A wezwania do solidarności i miłości bliźniego byłyby może bardziej skuteczne, gdyby związek między ludźmi stawał się rzeczywistością wiary, przeżywaną także w liturgii.

### *Słowo Boże*

Sobór przywrócił Słowu Bożemu wyrażającemu się w Piśmie świętym pełniejsze miejsce w liturgii: czyta się więcej bardziej różnorodnych tekstów biblijnych, co umożliwi nie tylko lepsze ich poznanie, lecz także większy wpływ Słowa Bożego na życie jego słuchaczy. Kazania nabierają z woli Soboru charakteru homilii, to znaczy wyjaśniania usłyszanych słów Pisma świętego w ich odniesieniu do życia.

Ponadto Sobór poświęcił Słowu Bożemu jeden z najważniejszych swoich dokumentów, mianowicie *Konstytucję o Objawieniu Bożym*. Mówi ona obszernie o Piśmie świętym, o jego rozumieniu w Kościele, o jego podstawowym znaczeniu dla teologii, której ma być „duszą”, i dla życia chrześcijańskiego, które ma się na nim opierać.

Nie sposób nie zauważyć, że na przestrzeni lat, jakie minęły już od czasu Soboru, nastąpiło u nas znaczne upowszechnienie znajomości Pisma świętego i bezpośredniego kontaktu z nim. Często, zwłaszcza w czasie różnego rodzaju rekolekcji, odprawia się zamiast innego rodzaju nabożeństw godziny biblijne czy nabożeństwa Słowa Bożego. Często, jeśli nie z reguły, czyta się i wyjaśnia teksty biblijne na

spotkaniach w małych grupach czy wspólnotach, i to nie dla samej znajomości Biblii, lecz szukając w niej Bożego światła na drodze życia. W wielu domach, w których można by było dawniej znaleźć co najwyżej książeczki do nabożeństwa czy jakieś dewocyjne książki religijne, dziś znajduje się przede wszystkim Pismo święte, a przynajmniej Nowy Testament. Wielu ludzi sięga osobiście do Pisma świętego, niekiedy jest ono czytane w rodzinach.

Można by zauważyć, że i przed Soborem wielu sięgało do Biblii, że ruch biblijny rozwijający się wespół z ruchem liturgicznym ma swe początki co najmniej w czasach międzywojennych... To prawda. Sobór jednak niewątpliwie wzmógł ten ruch, włączył go niejako w oficjalne, duszpasterskie działanie Kościoła, oparł na pogłębionej refleksji nad Słowem Bożym i wskazał konkretne drogi realizacji jego celów.

Z Pismem świętym wiąże się teologia — refleksja nad Objawieniem Bożym, Sobór odnowił jej drogi, postulując, by opierała się wprost na Piśmie świętym, a także by przemawiała językiem dzisiejszego człowieka, a więc dzisiejszej kultury. Rolą teologów jest zatem tłumaczyć Pismo święte na język kolejnych pokoleń i każdej kultury.

Posoborowa teologia w Europie Zachodniej rozwija się niesłychanie żywo, szukając jakby na nowo swego miejsca w Kościele, swej roli w budowaniu lepszego, ludzkiego świata, nawet swej identity. Nie dzieje się to bez głośnych kontrowersji. Natomiast teologia polska płynie nurtem stosunkowo bardzo spokojnym, jakby nie ulegała żadnym zmianom. Zmienia się jednak, i to na kilku płaszczyznach.

Najpierw na płaszczyźnie struktur akademickich. Obok Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Akademii Teologii Katolickiej powstało lub rozwinęło się kilka kościelnych, akademickich ośrodków naukowych: w Krakowie, we Wrocławiu, w Poznaniu, w Warszawie. Łączy się to ze znacznym liczebnym wzrostem kadry naukowej, a dalej z aktywnością pisarską i ściśle naukową, i publicystyczną. Na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim opublikowano katalog prac naukowych powstałych na uczelniach katolickich w Polsce w latach 1980-1982. Otóż prac tylko teologicznych lub związanych z teologią, od magisterskich do habilitacyjnych, napisano w ciągu tych trzech lat (tylko tych trzech lat!) około trzech tysięcy. Znaczny ich procent ma za temat wprost naukę Soboru Watykańskiego Drugiego, inne wiążą się z nauczaniem Soboru bardziej pośrednio, na przykład podejmując tematykę poruszaną na Soborze, lecz nie w kontekście jego dokumentów. Ograniczone możliwości druku powodują, że większość tych prac pozostaje w maszynopisach dostępnych jedynie w uczelnianych bibliotekach, nawet jednak i te prace kształtują chrześcijańską świadomość w naszym kraju w kierunkach wytyczonych przez Sobór.

Inną płaszczyzną rozwoju i upowszechniania teologii, niezależną od struktur akademickich, jest działalność wydawnicza. Wśród kilkudziesięciu książek o tematyce religijnej i teologicznej, zarówno autorów obcych, jak polskich, jakie corocznie ukazują się w Polsce, trudno by znaleźć takie, które w jakiś sposób nie wiązałyby się z nauką Soboru lub posoborową odnową Kościoła. Podobnie ma się sprawa z czasopismami i tygodnikami katolickimi.

Można tu, oczywiście, wyrazić szereg zastrzeżeń: że poszczególne ośrodki naukowe nie rozporządzają wystarczającą kadrami, że nasza twórczość teologiczna nie jest dość oryginalna i odkrywczą, co dzieje się zresztą nie tylko z winy samych autorów, lecz także z niedostatków warsztatu naukowego i organizacji pracy naukowej. Można mieć zastrzeżenia dotyczące polityki wydawniczej... Ba, zwraca naszą uwagę fakt, że niedostępne są w Polsce same dokumenty soborowe. Jedyne ich oficjalne wydanie ukazało się w roku 1968.

Wszystko to prawda. Ale czyniąc co można, by tę sytuację pod różnymi względami poprawiać, nie sposób jednocześnie nie dostrzec tego spokojnego, lecz i szerokiego nurtu przekazywania, upowszechniania i wyjaśniania nauki Soboru Watykańskiego Drugiego, która wykładana od chwili ukazywania się poszczególnych dokumentów w seminariach duchownych i na katedrach wydziałów teologicznych, szybko przeszła — przynajmniej w swych zasadniczych liniach — do przepowiadania i do katechezy, a w konsekwencji kształtuje w niewielkiej mierze powszechną świadomość wiary.

Tu trzeba zwrócić uwagę na jeszcze jedno zjawisko w posoborowym rozwoju teologii w Polsce: na jej licznych świeckich adeptów. Nie myślę jedynie o świeckich studentach wydziałów teologicznych, którzy, co oczywiste, znacznie zmajoryzowali duchownych, ale i o tych licznych świeckich, którzy odbywają studia teologiczne o różnym profilu w ośrodkach diecezjalnych, najczęściej zresztą związanych z którąś z uczelni akademickich. Tylko niewielka stosunkowo część spośród absolwentów tych studiów podejmie jakąś oficjalną działalność w Kościele, na przykład w pracy katechetycznej, w poradniach życia rodzinnego, w wydawnictwach. Co zatem skłania ich do podejmowania studiów teologicznych? Chęć bliższego poznania wyznawanej wiary? Szukanie głębszego sensu życia? Pragnienie bardziej świadomego powiązania z Kościołem? Jakiegokolwiek byłyby to przyczyny, to bez Soboru, bez jego nauki o aktywności i odpowiedzialności świeckich w Kościele i w świecie, bez podjętej przez Sobór odnowy teologii, która przestaje odstraszać anachronizmem metody i języka, a przeciwnie, wydaje się coraz bardziej aktualna i ważna dla życia społecznego — tak wyraźne dążenie świeckich do jej studiowania byłoby nie do pomyślenia.

Nie jest więc to sprawa bez znaczenia dla całości życia Kościoła w Polsce i bez związku z posoborową jego odnową, sprawa, którą

można by skwitować jako wyraz osobistych zainteresowań niektórych ludzi. I jakże daleko odeszliśmy od lat sprzed drugiej wojny i powojennych, kiedy to nieliczni świeccy, na ogół związani z organizacją Akcji Katolickiej, zaczęli uczęszczać na równie nieliczne Instytuty Wyższej Kultury Religijnej, na których realizowano znacznie okrojony program seminariów duchownych, choć ze świadomym akcentowaniem zagadnień społecznych.

### *Wiara i kultura*

Sobór Watykański Drugi, a po Soborze obaj Papieże — Paweł VI i Jan Paweł II — podkreślają wagę tej sprawy: związku Ewangelii i wiary z kulturą ludzi, z kulturą narodu, który ją przyjmuje. Nie idzie o taktykę głoszenia Ewangelii, by podając ją w bliskim danemu środowisku „opakowaniu” łatwiej zyskiwać jej wyznawców. Idzie zarówno o bogactwa ludzkich kultur, które przez przyjęcie Ewangelii nie tylko nie mają zostać w niczym zubożone, lecz przeciwnie, rozwinięte jak najpełniej, jak i o samą Ewangelię, która interpretowana i wcielana w życie na gruncie różnych kultur, odświeża coraz nowsze swoje skarby.

Stąd szereg konkretnych wymagań stawianych przez Sobór i obu Papieży w stosunku do głoszenia Ewangelii w krajach misyjnych i do działania Kościoła w krajach o kulturach ukształtowanych przez chrześcijaństwo od wieków, jak to między innymi ma miejsce w Polsce. Sytuacja każdego kraju i narodu jest tu zresztą w jakiejś mierze odrębna, co uwydatnia Jan Paweł II tam wszędzie, dokąd się udaje w swoich apostołskich pielgrzymkach. Czynił to także i w Polsce, przyczyniając się i w ten sposób do upowszechnienia, przyjęcia i kontynuowania nauki Soboru na temat.

Mówiąc o kulturze, nie myśli się tu jedynie o różnych dziedzinach sztuki i twórczości artystycznej, lecz o całości kształcie życia społecznego z punktu widzenia uznawanych i realizowanych w nim wartości, przestrzeganych obyczajów, owego „ładu moralnego”, o którym mówił w Polsce Papież, wskazując na postać świętego Stanisława, biskupa krakowskiego. Jego męczeństwo stało się w naszym narodzie symbolem absolutnego znaczenia norm moralnych, obowiązujących na równi i poddanych, i króla.

Wiara, ponieważ kształtuje całe ludzkie życie, wyraża się siłą rzeczy w kulturze, nadając jej tym samym charakter chrześcijański. Z kolei chrześcijańska kultura, kształtując człowieka, który od dziecka w niej rośnie, staje się niejako naturalnym środowiskiem wychowania w wierze. Stąd troska o zachowanie chrześcijańskiej kultury czy też o zakorzenienie się chrześcijaństwa w kulturze — na którą to sprawę Sobór zwraca uwagę — jest ściśle związana z procesem ewangelizacji. Troska ta nie obciąża odpowiedzialnością samych

biskupów i księży, lecz jest obowiązkiem każdego z wiernych, podobnie jak obowiązkiem jest świadczenie o swojej wierze i chrześcijańskie wychowanie, z którym się istotnie łączy.

Chrześcijański charakter kultury nie jest, jak stąd widać, jedynie sprawą historii, lecz także sprawą zawsze aktualną i odpowiedzialnością wobec przyszłości.

Co pod tym względem dzieje się w Polsce w okresie posoborowym?

Związek polskiej kultury z chrześcijaństwem jest faktem oczywistym i przez nikogo nie kwestionowanym. Trudno też kwestionować znaczenie tego związku dla tożsamości polskiej kultury. W działaniu Kościoła w Polsce będzie zatem raczej chodzić o powszechną świadomość tego związku, o refleksję nad jego konkretnymi przejawami i charakterem, wreszcie o jego dzisiejszą kontynuację. Kultura posiada swoją dynamikę, ustawicznie się rozwija i zachowanie jej chrześcijańskiego charakteru polegać może jedynie na nadawaniu jej tego charakteru, w miarę jak postawy społeczne w ciągle nowych sytuacjach będą kształtowane przez wiarę.

Okres posoborowy w Polsce zbiegł się z wydarzeniami, które znkomicie służyły tym celom. Wkrótce po zakończeniu Soboru, w 1966 roku, Kościół polski święcił tysiąclecie chrztu, przyjętego przez pierwszego polskiego władcę. W latach następnych zaczęło się długie przygotowanie do obchodów sześćsetlecia obecności cudownego obrazu Matki Bożej na Jasnej Górze.

Oba te wielkie jubileusze wiązały się z pielgrzymowaniem po Polsce kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej i z niezliczonymi pielgrzymkami Polaków ze wszystkich stron kraju na Jasną Górę, gdzie według słów Papieża „bije serce narodu przy sercu Matki”. Pielgrzymki, w których chodzi się i na Jasną Górę, i do wielu innych sanktuariów, zarazem religijnych jak narodowych, posiadają w Polsce wieloletnią tradycję, współcześnie zostały jednak jakby wpisane w codzienną duszpasterską działalność Kościoła. Nie sposób przecenić ich roli dla uświadamiania sobie związków między naszą chrześcijańską wiarą i naszą kulturą w historii oraz dla ożywienia wiary, która by nadawała kształt naszym dzisiejszym postawom, a co za tym idzie, także naszej wciąż tworzącej się kulturze.

Jan Paweł II — i to jest jeszcze jedno „wydarzenie” w dziejach naszego Kościoła w ostatnich latach — odwiedził wiele takich polskich sanktuariów: od Gniezna i Poznania, przez Górę Świętej Anny, po Częstochowę i Kraków. Z miejsc, do których nie mógł się udać, przynoszono święte figury i obrazy, by je koronował, a przez to nobilitował owe miejsca, uprzytamniając ich historyczne tradycje i ożywiając pobożność dzisiejszą.

Jan Paweł II stawia nam przed oczy związki między chrześcijaństwem i życiem naszego narodu jeszcze w inny sposób: przez łączenie



nas w wierze i kulcie ze świętymi. Poza świętymi, których czci się od wieków, jak św. Wojciech czy św. Stanisław, są postawieni nam za przykład przez niego samego: Królowa Jadwiga, o. Rafał Kalinowski, brat Albert Chmielowski, matka Urszula Ledóchowska, o. Maksymilian Kolbe... Ich imiona — to dzieje chrześcijaństwa i zarazem dzieje Polski, aż do dziejów najnowszych. To także wiara, która rozwijała się i wyraziła w wydarzeniach zaszytych „na tej ziemi” i w miłości do „tej ziemi”.

Można sądzić, że gdy Jan Paweł II podkreśla gdziekolwiek na świecie znaczenie związków między wiarą a kulturą w procesie ewangelizacji, czerpie wówczas wiele ze swego ojczystego doświadczenia i z refleksji nad polską kulturą.

Wiele wydarzeń natury społecznej, jakie miały miejsce w naszym kraju od czasu zakończenia wojny, ale szczególnie w ciągu ostatnich dwudziestu lat (tak się złożyło, że są to lata posoborowe) i jakie osiągnęły swój szczyt w wydarzeniach z sierpnia 1980 roku z ich konsekwencjami po dziś dzień, ujawniło społeczne przywiązanie do wartości ewangelicznych: wolności, prawdy, sprawiedliwości... a przynajmniej głęboką na nie wrażliwość. Okazało się, że nie są to wartości ani abstrakcyjne, ani należące do historii naszej kultury, lecz zdolne kształtować postawy i działania dzisiejsze i stać się ideałami wychowawczymi. Katecheza Jana Pawła II w czasie jego drugiej pielgrzymki do Ojczyzny podejmowała temat tych wartości i ich realizacji w naszej teraźniejszości. W programie duszpasterskim Kościoła w Polsce leży upowszechnianie i wyjaśnianie tej katechezy papieskiej.

Program ten jednak jest, oczywiście, szerszy, także w tym, co dotyczy chrześcijańskiej kultury. Trzeba by dodać: w tym, co dotyczy bezpośrednio chrześcijańskiej kultury, ponieważ w sposób pośredni odnosi się do niej wszelka działalność katechetyczna i ewangelizacyjna, zmierzająca do budzenia i ożywiania konsekwentnej, wyrażającej się we wszelkim ludzkim działaniu wiary.

W roku 1983 odbył się w Lublinie, na Katolickim Uniwersytecie, Ogólnopolski Kongres Teologiczny, poświęcony związkowi chrześcijaństwa z kulturą polską. Był on owocem znacznie rozleglejszej refleksji historycznej, filozoficznej i teologicznej nie tylko nad konkretnymi zjawiskami z naszej historii, lecz i nad samą naturą związków zachodzących między kulturą a wiarą.

Liczna grupa polskich uczonych i twórców kultury uczestniczyła wcześniej, w listopadzie roku 1981, w Międzynarodowym Kongresie, jaki odbył się w Rzymie na temat „Wspólnych chrześcijańskich korzeni narodów europejskich”.

W licznych diecezjach, a nawet większych ośrodkach parafialnych, organizuje się tak zwane „tygodnie kultury”. Nie idzie w nich o jakieś urozmaicenie nabożeństw — jak to czasem ongiś bywało

— występami artystycznymi, lecz o wielostronne ukazanie, o jakby doświadczalne przybliżenie chrześcijańskiego charakteru naszej kultury na przykładzie konkretnych dzieł czy konkretnych, obecnych w niej wartości. Są też „tygodnie” sposobnością, by w kontakcie z twórcami kultury i ich dziełami uchwycić w jakiejś mierze kulturotwórczą siłę chrześcijaństwa.

Można powiedzieć, że Kościół w Polsce w okresie posoborowym, inspirowany i przez Sobór, i przez jego kontynuatora, jakim jest Jan Paweł II, uświadamia sobie lepiej chrześcijański charakter kultury polskiej, a także wartości, jakie nasz naród wniósł dzięki swojej kulturze do Kościoła Powszechnego.

### *Ekumenizm*

Ekumeniczne nastawienie Soboru Watykańskiego Drugiego jest bodaj lepiej znane niż inne cele stawiane sobie przez Sobór. Tymczasem działalność ekumeniczna w Polsce wydaje się nie mieć wielkiego pola do popisu. Chrześcijańskie Kościoły niekatolickie są w Polsce liczebnie stosunkowo niewielkie, obejmując 3 czy 4% ludności. W niewielu tylko rejonach kraju spotykają się ze sobą czy współżyją ze sobą na co dzień zróżnicowane wyznaniowo społeczności (tak jest na przykład w Cieszyńskim). Można jednak z tej sytuacji wysnuć też wniosek całkowicie przeciwny: skoro tak znaczna jest liczebna przewaga katolików nad chrześcijanami innych Kościołów, że aż można by myśleć o nieobecności problemu ekumenicznego, to tym większa jest odpowiedzialność katolików za realizację wspólnego dążenia do jedności.

Wydany przez Sobór *Dekret o Ekumenizmie* nie tylko wytycza pewne konkretne drogi działalności ekumenicznej, jak wspólna modlitwa, dialog teologiczny czy współdziałanie na polu społecznym, charytatywnym, lecz przede wszystkim jest świadectwem troski o zjednoczenie chrześcijan i wyrazem przekonania o dobrej woli chrześcijan ewangelików i prawosławnych, a co z tym związane, także o autentyczności ich Kościołów. Przekonania te kształtują postawę, którą Sobór nazywa „ekumenizmem duchowym”.

Wbrew przypuszczeniom, że w Polsce mało jest miejsca na ekumenizm, rozwinął się on w ciągu posoborowego dwudziestolecia bardzo wyraźnie. Podjęto wiele z otworzonych przez Sobór możliwości ekumenicznych działań. Organizuje się wspólnie tygodnie modlitw o jedność Kościołów (od 19 do 26 stycznia każdego roku). Działła Międzynarodowa Komisja Mieszana Katolicko-Prawosławna a w jej ramach Podkomisja do spraw Dialogu, powołana przez konferencję Episkopatu Polski i Polską Radę Ekumeniczną. Na wszystkich uczelniach katolickich (na wydziałach teologicznych

i w seminariach) wyklada się od czasu Soboru ekumenizm jako odrębny przedmiot. Na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim powołano do życia Instytut Ekumeniczny. Na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie od wielu już lat studiować można ekumenizm jako jedną ze specjalizacji teologicznych. Wyszło w tych latach szereg publikacji ekumenicznych, zarówno katolickich, jak ewangelickich. Nie można też pominąć faktu, że dwaj teologowie polscy powołani zostali przez Papieża do Międzynarodowej Komisji Teologicznej Katolicko-Prawosławnej. Wiąże się to z faktem, że Polska graniczy z krajami o znacznej liczbie ludności prawosławnej, a zatem Kościół Polski posiada najlepsze warunki i większą niż inne Kościoły odpowiedzialność za prowadzenie katolicko-prawosławnego dialogu.

Wszystko to zmienia nastawienie — w każdym razie po stronie katolickiej — do chrześcijan innych Kościołów. Jeśli nawet proces ten nie przebiega zbyt szybko, to nie można uważać, by obejmował on tylko środowiska elitarne. Następuje autentyczna zmiana powszechnej świadomości i nastawienia, co przy różnych okazjach znajduje swój praktyczny wyraz. Wydaje się, że nam Polakom, tradycyjnie tolerancyjnym, nie przychodzi to zbyt trudno.

### *Wspólnoty*

Okres posoborowy charakteryzuje się powszechnie, w tym także i w Polsce, szukaniem wspólnotowych form przeżywania i realizowania chrześcijaństwa. Tworzą się spontanicznie różne małe grupy nieformalne, które stają się miejscem modlitwy, refleksji nad Pismem świętym, nad chrześcijańskim kształtem życia, a zarazem i w tym wszystkim spotkaniem z drugim człowiekiem, współwyznawcą czy katechumenem. Spotkanie to pozwala dostrzec jego widzenie chrześcijaństwa, jego problemy życiowe, w świetle których łatwiej o właściwą perspektywę w patrzeniu na własne sprawy, na siebie samego. Gdzie dwóch lub trzech gromadzi się w imię Jezusowe, tam i On jest wśród nich.

Oazy, neokatechumenat, ruch odnowy w Duchu Świętym i różne inne formy, w jakich ludzie spotykają się w wierze i jednocześnie szukając wiary, ogarniają dziś miliony chrześcijan. W październiku 1984 roku w rekolekcjach dla duchowieństwa zorganizowanych na Watykanie przez ruch odnowy brało udział 80 biskupów i 6 000 księży z różnych stron świata. Rekolekcje takie odbywają się już corocznie i w Polsce, co świadczy nie tylko o duszpasterskim, lecz i o osobistym zainteresowaniu wielu księży tym ruchem. Nie ma chyba parafii, której te wspólne formy przeżywania wiary byłyby całkowicie obce. Jeżeli nie ma grup neokatechumenatu czy odnowy, to zapewne znane są tak zwane oazy.

Ruchy te nie są, co trzeba podkreślić, jakimiś nowymi organizacjami kościelnymi. Jest to rozpowszechniona dziś forma przeżywania chrześcijańskiego powołania i związku z Kościołem. Jest to zarazem forma duszpasterskiej aktywności Kościoła, w której już nie sami księża, lecz wszyscy wierzący są czynni przez swe współdziałanie z innymi, przez słowo świadectwa i staranie o realizację Ewangelii w tych oto danych nam warunkach życia. Ksiądz Prymas Józef Glemp w wywiadzie opublikowanym w pierwszym numerze *Przeglądu Katolickiego* wyraził przekonanie, że właśnie te małe grupy stanowią właściwą dziś drogę prowadzenia chrześcijańskiego życia i duszpasterskiej działalności Kościoła.

Sobór Watykański Drugi w swej nauce o Kościele zwracał wielokrotnie uwagę na braterskie więzy, jakie mają zespałać wszystkich wierzących w Chrystusa, a przez nich — wszystkich ludzi. Jeśli wierzy się, że cały Kościół jest braterską wspólnotą, ożywioną jednym Duchem — Duchem Świętym — i jest jednym ciałem Chrystusowym, to doświadczenie wspólnoty właściwe małym grupom jest naturalnym i ważnym dopełnieniem tej wiary. W grupach tych spotkanie między ludźmi następuje w wierze. Świadectwo wiary i poczucie braterstwa przełamują ludzkie odosobnienie i izolację, niestety, tak częste. Przełamują niesłuszny dystans między świeckimi i księżmi, a także bierność, tak charakterystyczną dla postawy świeckich wiernych w czasach, w których Kościół traktowano jedynie jak instytucję, a księży — jak jej urzędników.

Przeżywanie chrześcijaństwa nie tylko w jego strukturach uniwersalnych, lecz zarazem w małych grupach wiąże się także z pewną zmianą, jaka zachodzi w spojrzeniu na świętość. To prawda, że znakomita większość błogosławionych i świętych, ogłoszonych przez Kościół w ostatnich czasach, także już i za pontyfikatu Jana Pawła II, to zakonnicy i zakonnice, o wiele rzadziej biskup czy ksiądz, natomiast bardzo rzadko — ktoś świecki. Wszyscy nasi rodacy beatyfikowani ostatnio, łącznie z kanonizowanym o. Kolbe — to zakonnicy i twórcy zgromadzeń zakonnych: dwie siostry Ledóchowskie, o. Rafał Kalinowski, brat Albert... Mimo to rozumienie świętości ulega zmianie, i to w kierunkach wytyczonych przez Sobór. Już nie zwraca się tak powszechnie jak dawniej uwagi na zewnętrzną stronę życia świętych, na to, co w ich życiu niezwykle i cudowne, lecz bardziej na to, na czym rzeczywiście polega świętość: na realizacji miłości. Znakiem takiego rozumienia świętości jest i kult o. Maksymiliana Kolbe, który „nie umarł, lecz oddał życie za brata”, i uznanie, jakie budzi działalność Matki Teresy z Kalkuty. Mało też chyba kto odnosi dziś ewangeliczne wezwanie do świętości jedynie do księży czy zakonników. Gdzie dochodzi do spotkania się ze sobą ludzi w wierze — a tak dzieje się we wspomnianych małych grupach — tam wszyscy rozumieją bez żadnego tłumaczenia, że wspólną drogą, jaka przed nimi stoi, jest

miłość Boga i bliźniego, a zatem droga świętości. Ewangelia nie czyni tu żadnych wyjątków i nie daje żadnych prerogatyw.

Tu znowu może się nasuwać wątpliwość, czy mówimy rzeczywiście o owocach Soboru. Ruch małych wspólnot rozwijał się już na wiele lat przed Soborem, podobnie jak od dawna już walczono w Kościele katolickim z fałszywymi wyobrażeniami o świętości. Wszystko to prawda. Ale jest też prawdą, że ruch małych wspólnot rozwinął się w Kościele katolickim na tak wielką skalę, jak to jest obecnie, dopiero od czasu Soboru. Podobnie i ewangeliczne rozumienie świętości stało się tak powszechne dzięki nauce Soboru na ten temat, kontynuowanej przez Papieży, a szerzonej w katechezach, homiliach, publikacjach... Sobór uczył o Kościele jako o Ludzie Bożym, jako o braterskiej wspólnotcie, uczył o aktywności świeckich wiernych, o charyzmatkach, jakie każdy dzięki Duchowi Świętemu może posiadać, o powszechnym powołaniu do świętości, która nie jest niczym innym jak miłością, realizowaną w sposób właściwy każdemu powołaniu.

### *Rola Soboru*

Kończąc ten przegląd zmian, jakie zaszły w naszym (ale oczywiście nie tylko w naszym) Kościele od czasu zakończenia Soboru Watykańskiego Drugiego, trzeba raz jeszcze postawić pytanie, które stawialiśmy od początku, na temat roli, jaką w tych przemianach odegrał Sobór. Przedstawione rozważania mogły się bowiem wielu czytelnikom wydawać zbyt pozytywne w ocenie zarówno zmian zachodzących w naszym chrześcijańskim życiu, jak i znaczenia Soboru.

Otóż w ocenie wpływu Soboru na zachodzące w Kościele zmiany trzeba brać pod uwagę, że żaden Sobór nie ma za zadanie czegokolwiek zaczynać w Kościele, lecz raczej kontynuować, kodyfikować, prostować to, co już się dzieje i rozwija. Wiąże się to z ogólniejszą sprawą, a mianowicie, że Sobór działa w tradycji, przekazując zawsze to samo Słowo, któremu wierność jest obok woli odpowiedzenia na potrzeby czasu zasadą działania.

Z tym łączy się spostrzeżenie, że Sobór nie jest wyłączną przyczyną zmian zachodzących w życiu Kościoła. Działanie Soboru spleta się z działaniem właściwym w Kościele papieżowi, biskupom, teologom, ogółowi wiernych, z inicjatywami czy wpływem Kościołów lokalnych, zakonów i zgromadzeń... Do tego dochodzą przyczyny czy uwarunkowania mniej czy bardziej zewnętrzne w stosunku do Kościoła, a ostatecznie całość zmian zachodzących w świecie, w którym Kościół jest obecny.

Wreszcie, rozwój w życiu Kościoła nie jest ze swej natury czysty, niewątpliwy, „bez reszty”. Kościół jest ludem pielgrzymującym, świętym a zarazem grzesznym. Jego postępowanie naprzód nie jest wolne od opieszałości, zahamowań, błędzenia... A przecież można i trzeba dostrzegać, że w ciągu całej historii, także w ciągu tych dwudziestu ostatnich lat, Duch Święty prowadzi go po prostej drodze. Jest to bowiem historia zbawienia.

*Ks. Andrzej ZUBERBIER*

---

**Wydawnictwo Editions du Dialogue w Paryżu przygotowuje specjalne, luksusowe wydanie KSIĘGI APOKALIPSY w tłumaczeniu z języka greckiego przez Czesława MIŁOSZA.**

**Zawierać ona będzie 16 kolorowych reprodukcji obrazów Jana LEBENSTEINA, specjalnie do tej Księgi wykonanych.**

**Format duży, albumowy, oprawa twarda, imitacja skóry. Nakład ograniczony, egzemplarze numerowane.**

**Termin wydania Księgi: lato 1986.**

**Cena egzemplarza w subskrypcji: 800 Fr; 120 US dol.; 270 DM; £ 75. Cena egzemplarza w sprzedaży poza subskrypcją będzie wyższa o 25 %.**

**Subskrypcję można zgłaszać do dnia 15 czerwca 1986. Prosimy podać nam imię, nazwisko, dokładny adres. Wpłacanie należności dopiero po otrzymaniu od nas imiennego listu.**

**EDITIONS DU DIALOGUE  
25, rue Surcouf  
75007 — PARIS, FRANCE**

# **DANE O STANIE ŚRODOWISKA NATURALNEGO POLSKI I PROPOZYCJE PRZECIWDZIAŁANIA NARASTANIU KATASTROFY EKOLOGICZNEJ**

Opracowanie przygotowane przez zespół w składzie: ks. prof. Jan Grzesica, prof. dr hab. Stefan Kozłowski, dr Krystian A. Waksmundzki, doc. dr hab. inż. Jacek Walczewski, prof. dr hab. Zbigniew T. Wierzbicki.  
Redakcja: Maciej Kozłowski, Henryk Woźniakowski, Tomasz Fiałkowski.

## *Uwagi wstępne*

W wyniku splotu wielu czynników, z których najważniejszymi były błędna, nie licząca się z warunkami przyrodniczymi kraju strategia rozwoju gospodarczego oraz niski stan świadomości ekologicznej nie tylko w kręgach władzy, ale w całym społeczeństwie, Polska znalazła się na skraju katastrofy ekologicznej, której skutki dla dalszego bytu narodu są wręcz niewyobrażalne.

Już obecnie, według oficjalnych danych, 27 rejonów Polski — obejmujących 35,2 tysięcy km<sup>2</sup> zamieszkałych przez 12,3 mln

ludzi, czyli przez jedną trzecią narodu — zaliczonych zostało do obszarów ekologicznego zagrożenia. W rejonach tych występuje widoczny w statystyce wzrost zachorowań a także wzrost śmiertelności niemowląt, w porównaniu z resztą Polski, szczególnie wyraźny na Górnym Śląsku.

Dramatycznie przedstawia się sytuacja zaopatrzenia Polski w wodę. Niemal połowa rzek prowadzi wody tak zwane pozaklasowe, czyli nie nadające się do żadnych celów, nawet gospodarczych, i w praktyce brak całkowicie czystych wód (poniżej 1% wg długości linii brzegowej). Ponadto istnieje groźba trwałego zanieczyszczenia tak zwanego I poziomu wodonośnego, z którego czerpie wodę większość studzien. W wielu miastach, na przykład w Krakowie, istnieje stały deficyt wody pitnej, pogłębiany okresowymi awariami ujęć na skutek szczególnie wysokich stężeń zanieczyszczeń, co stanowi dla mieszkańców dotkniętych tą klęską trudną do opisanego udrękę, a także grozi wybuchem epidemii. Zanieczyszczenie wód i powietrza powoduje trwałe skażenie gleby, co rzutuje na wysokość plonów, a także powoduje, że produkowana na obszarach skażonych żywność stanowi zagrożenie dla życia i zdrowia. Coraz bardziej kurczą się obszary mogące służyć jako miejsce regeneracji sił. Zatrucie wód Bałtyku sprawiło, że wielka część naszego Wybrzeża nie nadaje się do rekreacji. Zatruta jest ponad połowa polskich jezior. Podejmowane działania na rzecz ochrony środowiska mają często charakter pozorny, a traktowanie tej dziedziny życia jako marginesu przy wyznaczaniu priorytetów gospodarczych sprawia, że nawet te środki, które na cele ochrony są preliminowane, nie bywają wykorzystywane.

Wszystkie opracowywane w różnych celach i w różnych zespołach prognozy wskazują, że przy kontynuowaniu obecnych trendów sytuacja będzie się skokowo pogarszać.

Tak więc zarówno z punktu widzenia chrześcijańskiego jak i obywatelskiego konieczne jest szybkie i skuteczne przeciwdziałanie grożącej katastrofie.

Aby skutecznie podejmować działania przeciwstawiające się narastającej degradacji środowiska życia człowieka w naszym kraju i skutkom tej degradacji, należy dotrzeć (informacją, perswazją i naciskiem) do źródeł istniejącego stanu rzeczy.

Źródła te umiejscowić można na trzech poziomach:

1. Poziom świadomości społecznej, wyrażający się zasięgiem uświadomienia i zrozumienia zagrożeń środowiska i ich skutków. Uświadomienie to wiąże się ściśle z poziomem kultury życia codziennego w społeczeństwie; mówiąc obrazowo: człowiek, który zwykł wyrzucać śmieci ze swego domu do przepływającego obok potoku, nie może być wiarygodnym obrońcą środowiska i przypuszczalnie trudno mu nawet będzie zrozumieć istotę tego problemu. Co więcej,



## DANE O STANIE ŚRODOWISKA NATURALNEGO

zakres degradacji środowiska powodowany bezpośrednio przez indywidualne osoby w ramach ich prywatnej działalności (gospodarstwo domowe, gospodarstwo rolne, warsztat rzemieślniczy) nie jest wcale pomijalnie mały, a wynika on wprost z nieświadomości oraz prymitywizmu kulturalnego i etycznego.

2. Poziom zarządzania gospodarką na szczeblu średnim, a więc od kierownictwa zakładu produkcyjnego do władz województwa. Mamy tu do czynienia z niezwykle skomplikowanym spłotem warunkowań obiektywnych i subiektywnych, od błędów popełnianych nieświadomie, skutków zwykłego niechlujstwa i niewiedzy, poprzez realizację ciasno pojmowanych interesów grupowych, uleganie naciskom wyższych szczebli władzy, fałszywe ustalenie priorytetów, aż po złą wolę, świadome ukrywanie i przeinaczanie informacji o stanie środowiska oraz zwalczanie działań zmierzających do poprawy sytuacji.

3. Poziom najwyższych organów władzy państwowej i gospodarczej, podejmujących decyzje strategiczne i dalekosiężne. Tu zapadają decyzje o największym ciężarze gatunkowym, a ich skutki bywają najgroźniejsze. Na tym poziomie decydujące są kryteria polityczne, w drugiej kolejności gospodarcze, zaś kryteria sozologiczne — jeśli w ogóle są uświadamiane — to przypuszczalnie znajdują się na bardzo odległym miejscu wśród elementów decyzyjnych.

Wymienione wyżej trzy poziomy są oczywiście powiązane ze sobą licznymi zależnościami, przepływem informacji, strukturą wzajemnych oddziaływań. Niemniej są wystarczająco charakterystyczne swą odrębną specyfiką, by można mówić o trzech oddzielnych grupach działań, jakie powinien podejmować ruch ochrony środowiska na każdym z tych poziomów.

Zaprezentowany poniżej opis sytuacji a także wnioski przedstawiające możliwe w obecnych warunkach działania, mają z oczywistych względów charakter bardzo skrótowy i wrywkowy. Choć sprawą zagrożeń środowiska zajmuje się obecnie bardzo wielu ludzi i liczne instytucje, wyniki podejmowanych prac i badań są rozproszone, badania prowadzone są według różnych założeń metodologicznych, stąd nie zawsze są porównywalne, wreszcie nadal wiele wyników badań jest utajnionych, zwłaszcza dotyczących Górnego Śląska i paru innych regionów zagrożenia ekologicznego. Jak wielka może być rozbieżność danych, świadczyć może jeden przykład: w roku 1978 wg oficjalnych danych GUS emisja gazów w województwie miejskim krakowskim wynosiła 812,3 tys. ton, gdy tymczasem wg niezależnych obliczeń dokonanych przez zespół naukowców z Akademii Górniczo-Hutniczej wynosiła 31 milionów ton! W raporcie opieramy się jednak wyłącznie na danych oficjalnych, publikowanych. Są one wystarczająco dramatyczne.

*Skazenie powietrza*

Stopień zanieczyszczenia powietrza stawia Polskę w rzędzie najbardziej zagrożonych ekologicznie krajów świata — obok Czechosłowacji i NRD. Emisja gazów i pyłów wielokrotnie przekracza obowiązujące — często zaniżone — normy.

Emisja  $\text{SO}_2$ , jednego spośród związków chemicznych najbardziej szkodliwych dla środowiska naturalnego i dla zdrowia ludzkiego, wyniosła w 1980 roku w przeliczeniu na powierzchnię kraju  $13 \text{ t/km}^2$ , wobec średniej europejskiej  $2,3 \text{ t/km}^2$ . Dodajmy, że biologiczny próg odporności lasu szpilkowego wynosi  $7,5 \text{ t/km}^2$ , a wartość progowa dla zdrowia ludzkiego —  $20 \text{ t/km}^2$ . Obszary poważnego zagrożenia zdrowia ze względu na znaczne przekroczenia dopuszczalnych norm to Górny Śląsk, Kraków, Legnicko-Głogowski Okręg Miedziowy, Łódź, Turossów, Trójmiasto i inne. W niektórych częściach Górnego Śląska opad gazów osiąga  $100 \text{ t/km}^2$ . Na tym ostatnim terenie zagrożenie związane z ogromną emisją związków siarki potęgowane jest dodatkowo przez opad pyłów, co najmniej czterokrotnie przekraczający dopuszczalną ilość.

Największa emisja gazów na  $1 \text{ km}^2$  występuje w województwie katowickim i krakowskim (16 razy powyżej średniej krajowej), w Krakowie normy  $\text{SO}_2$  przekraczane są okresowo ponad 100 razy, a dopuszczalne stężenia węglowodorów i CO 30-50 razy. Około 70% ludności województwa katowickiego, czyli ponad milion mieszkańców, pracuje i mieszka w strefie zagrożeń dla życia, charakteryzującej się wybitnie ponadnormatywną ilością pyłów,  $\text{SO}_2$  i takich substancji toksycznych, jak cynk, ołów, kadm oraz substancji rakotwórczych.

Głównym źródłem tych zanieczyszczeń są wielkie zakłady przemysłowe; w roku 1983 zakłady te emitowały 1,7 mln ton pyłów i prawie 5 mln ton gazów, w tym 2,5 mln ton dwutlenku siarki. Ogólny bilans zanieczyszczeń powietrza jest jednak dwukrotnie większy i dla dwutlenku siarki wynosi według obliczeń dokonanych na Politechnice Warszawskiej około 4,5 mln ton.

Obok związków siarki na wspomnianych wyżej obszarach — zwłaszcza na Górnym Śląsku — występuje szereg innych gazów szczególnie groźnych dla zdrowia ludzkiego (między innymi tlenki azotu i ołowiu) w ilościach przekraczających dopuszczalne stężenie.

Kontynuowanie dotychczasowego wariantu rozwoju przemysłowego kraju, a co za tym idzie dalsze zwiększanie emisji dwutlenku siarki i innych gazów, doprowadzić musi w krótkim czasie do katastrofy ekologicznej. Już dziś do katastrofy takiej doszło na przykład w regionie sąsiadującym z hutami Głogów i Legnica, gdzie władze zmuszone były wysiedlić mieszkańców kilku wsi (Rapocin, Bogomice, Wróblin Głogowski, Grodziec w pobliżu Huty Głogów i Białka obok

## DANE O STANIE ŚRODOWISKA NATURALNEGO

Huty Legnica) z powodu bezpośredniego zagrożenia ich życia wywołanego zatruciem środowiska.

### *Woda*

Jednym z najbardziej niepokojących zjawisk związanych z katastrofalną sytuacją ekologiczną Polski jest pogłębiający się deficyt wody. Szacuje się, że okresowy brak wody dotknął już około 120 miast i 10 000 mniejszych miejscowości. Dokuczliwy niedobór wody odczuwają mieszkańcy Krakowa, Górnego Śląska, Lublina, Łodzi, Warszawy, Świnoujścia, Gdańska, Gdyni, Szczecina i innych miast. Coraz trudniejsze staje się też zapewnienie niezbędnej ilości wody dla rolnictwa.

Deficyt wody związany jest ściśle nie tylko z licznymi nieprawidłowościami w użytkowaniu wody (niewłaściwa struktura zużycia, eksploatawanie przez przemysł pitnych wód podziemnych, które powinny być zarezerwowane dla potrzeb mieszkańców, straty w sieci wodociągowej wynoszące aż 11% ogólnego zużycia wody z ujęć komunalnych), ale przede wszystkim z postępującym zanieczyszczeniem wód podziemnych, powierzchniowych i morskich. Obecnie wszystkie większe rzeki zostały już w Polsce w zasadniczej mierze zatrute. Dominują w nich wody tak zwane pozaklasowe, to jest całkowicie nieprzydatne gospodarczo — także dla potrzeb przemysłu (obejmują one aż 49% badanych rzek). Wody klasy III, nadające się dla potrzeb przemysłu i rolnictwa, płyną w 21% badanych rzek, wody klasy II — zdatne dla potrzeb rekreacji — w 19% rzek, zaś woda pitna — tylko w 1%.

W różny sposób zanieczyszczona jest także już dzisiaj ponad połowa zasobów wód jeziornych i postępuje proces zatrutowania wód podziemnych stanowiących źródło ujęć wód pitnych. W roku 1979 SANEPID zdyskwalifikował 41% studni publicznych w miastach i 52% na wsiach, w przypadku zaś studni przydomowych odpowiednie cyfry wyniosły 44% i 69%. Zdyskwalifikowano także 8% wodociągów na wsi i 3% w miastach.

Wzrastające zanieczyszczenie Wisły, Odry i mniejszych rzek Przymorza, a także ścieki z miast nadmorskich doprowadziły do znacznego zatrucia wód Bałtyku. Objawem postępującej degradacji tych wód stało się oprócz oczywistej zmian w faunie i florze, także stopniowe zamykanie przez władze administracyjne plaż w nadmorskich kąpieliskach. Ze względów sanitarnych zamknięto już prawie wszystkie plaże nad Zatoką Gdańską od Pucka po Jantar oraz dwie plaże w rejonie Kołobrzegu.

Stale rośnie ilość ścieków niedostatecznie oczyszczonych, wprowadzanych do naszych rzek. W roku 1982 ogólna ilość ścieków wymagających oczyszczenia wyniosła 4,5 km<sup>3</sup>, z czego oczyszczeniu

podległo zaledwie 2,5 km<sup>3</sup>, i to jedynie w formie oczyszczania mechanicznego. Prawidłowe biologiczne oczyszczanie zastosowano tylko wobec 0,8% ścieków.

Wśród ścieków całkowicie nie oczyszczonych dominują ścieki z sieci kanalizacyjnej. Spowodowane to jest brakiem w ogóle oczyszczalni ścieków w 447 spośród 804 miast Polski oraz złym funkcjonowaniem oczyszczalni istniejących. Oczyszczalni nie posiadają między innymi Warszawa i Łódź oraz szereg mniejszych miast wojewódzkich. Nie oczyszczone ścieki, głównie z rolniczych ferm hodowlanych, są też źródłem zatrucia jezior.

Wzrost zapotrzebowania na wodę połączony z postępującym zatruciem wszystkich jej zasobów doprowadzić może w najbliższych latach do objęcia znacznych obszarów Polski południowej i centralnej deficytem wody dla gospodarki komunalnej i przemysłu. Deficyt wody dla rolnictwa stałby się natomiast odczuwalny na całym prawie obszarze Polski, z wyjątkiem Karpat, Sudetów, części Zielonogórskiego i Bygdoskiego.

### *Zatrucie gleb*

Zanieczyszczenie powietrza prowadzi między innymi do postępującej degradacji gleb. Podstawowe znaczenie mają tu dwa procesy: zakwaszenie gleby na skutek opadu związków siarki oraz kumulowanie się pierwiastków śladowych. Pierwiastki te uwalniają się w procesie wydobywania i przeróbki surowców mineralnych oraz spalania surowców energetycznych, a następnie przenikają do gleby bądź poprzez opadanie emitowanych przez zakłady przemysłowe pyłów, bądź ze ściekami przemysłowymi i wodą przedostają się ze zbiorowisk odpadów przemysłowych, bądź wreszcie przez wpływ gazów spalinowych i pyłów wzdłuż ciągów komunikacyjnych i transportowych. Główne źródło zanieczyszczeń pierwiastkami śladowymi stanowią huty metali nieżelaznych (na przykład Legnica, Głogów, Miasteczko Śląskie), elektrownie opalane węglem kamiennym i brunatnym oraz rafinerie ropy naftowej (na przykład Petrochemia plocka).

Pierwiastki te dzięki dużemu rozproszeniu mogą być przenoszone na duże odległości. Opadając na powierzchnię gleby, bądź przenikając do niej wraz z wodą, reagują z minerałami i frakcjami organicznymi, co powoduje zmiany odczynu gleby i pogarszanie się jej właściwości. Groźniejsze jeszcze jest ich akumulowanie się w roślinach, co wywołuje zakłócenie procesów przemian metabolicznych, następnie zaś rośliny z podwyższoną zawartością pierwiastków śladowych stają się pokarmem zwierząt i ludzi. Do najsilniej kumulujących się w roślinach pierwiastków należą kadm, cynk, ołów, miedź, nikiel, fluor, tor i uran. Dodać trzeba, że do zwiększania stopnia ich zawartości w glebie przyczyniają się niewłaściwie prowadzone zabiegi

## DANE O STANIE ŚRODOWISKA NATURALNEGO

agrotechniczne, jak nadmierne nawożenie mineralne (zwłaszcza w PGR-ach), stosowanie chemicznych preparatów ochrony roślin, a zwłaszcza wykorzystywanie odpadów przemysłowych i komunalnych do użyźniania i wapnowania gleb.

W rejonach, gdzie koncentracja pierwiastków śladowych w glebie jest szczególnie duża, wydaje się zalecenia ograniczenia upraw rolnych przeznaczonych do bezpośredniej konsumpcji — dotyczy to wspomnianych już rejonów wokół hut w Głogowie i Legnicy, a także znacznej części ogródków działkowych Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego. Instytut Kształtowania Środowiska w Katowicach opracował nawet specjalne instrukcje i zalecenia dotyczące ograniczenia niektórych upraw na tym obszarze, a podobne ograniczenia dotyczyć powinny stref ochronnych wokół większości zakładów przemysłowych.

Degradacja gleb powodowana jest, jak wspomnieliśmy na początku, także przez nadmierne opady związków siarki pociągające za sobą zakwaszenie gleb. Rośliny pobierać powinny normalnie od 40 do 80 kg/ha/rok tych związków. Tymczasem w Polsce średni ich opad wynosi około 138 kg/ha/rok, a w województwie katowickim dochodzi do 1700 kg/ha/rok. Kwaśne deszcze, kwaśne mgły, a nawet kwaśne śniegi wymywają z gleby jony pierwiastków śladowych powodując jej zubożenie a zarazem wzrost zanieczyszczenia wód gruntowych. Nadmiar siarki w powietrzu powoduje obniżkę plonów roślin pastewnych i zbóż. Ocenia się, że w okresie wegetacyjnym średnie roczne stężenie  $SO_2$  nie powinno przekraczać  $80 \text{ mg/m}^3$ , a dla wielu roślin (na przykład dla koniczyny, lucerny, bobu, grochu, szpinaku, agrestu i czerwonej porzeczki) straty w plonach powstają już przy przekroczeniu  $50 \text{ mg/m}^3$ .

Jeśli wzrost emisji  $SO_2$  w Polsce, a także w Czechosłowacji i NRD postępować będzie w dotychczasowym stopniu, wówczas cała Polska południowo-zachodnia znajdzie się w zasięgu stężeń przekraczających podaną powyżej liczbę  $80 \text{ mg/m}^3$ , a co za tym idzie na obszarze połowy kraju nastąpi drastyczny spadek produktywności rolnictwa, co pociągnąć może za sobą jego załamanie się. Już dziś natomiast co najmniej 1/4 produktów żywnościowych wytwarzanych w Polsce nie odpowiada wymogom sanitarnym, co jest przede wszystkim wynikiem zatrucia gleb, a przez nie — roślin i zwierząt stanowiących podstawę naszego żywienia.

### *Wybrane dane o zagrożeniu zdrowia i życia wskutek katastrofy ekologicznej*

Dewastacja środowiska naturalnego w Polsce, to jest przede wszystkim opisane wyżej zanieczyszczenie trzech żywiołów: powietrza, wody i ziemi (gleby), a także systematyczne wyniszczanie

naszych zasobów leśnych i krajobrazowych powoduje zdecydowane obniżanie się stanu zdrowia ludności. Dotyczy to w pierwszym rzędzie obszarów najbardziej zagrożonych, pośrednio zaś ludności całego kraju. Jak wspomniano, do Planu Społeczno-Gospodarczego na lata 1983—1985 wprowadzono pojęcie obszarów ekologicznego zagrożenia. Są to obszary: bełchatowski, Białe Zagłębie (kielecki), bydgosko-toruński, chełmski, częstochowski, gdański, górnośląski, inowrocławski, jeleniogórski, koniński, krakowski, legnicko-głogowski, łódzki, myszkowsko-zawierciański, opolski, płocki, poznański, puławski, rybnicki, szczeciński, tarnobrzeski, tarnowski, tomaszowski, wałbrzyski, wrocławski i wrocławski. Na obszarach tych zamieszkuje ponad 1/3 mieszkańców Polski. Poniżej podajemy pewne wyrywkowe dane oraz cząstkowe oceny zagrożeń zdrowotnych spowodowanych bezpośrednią bliskością wielkich zakładów przemysłowych.

Z. Jaworowski (*Narażenie populacji wskutek spalania paliw kopalnych i energetyki jądrowej*, Post. Fiz. Med. 10, 1975) opierając się na doświadczeniach amerykańskich obliczył, że liczba dodatkowych zgonów na obszarze GOP-u spowodowana jedynie nadmierną emisją SO<sub>2</sub> stanowi 5850—7000 na 1 milion mieszkańców, to jest 0,58—0,7% (!). Jest to tylko fragment zagrożenia życia, bez uwzględnienia chorób nowotworowych oraz innych spowodowanych różnymi zanieczyszczeniami.

Opady siarki, wg prognozy BIGLEP Polskiego Towarzystwa Gleboznawczego, będą decydowały w ciągu najbliższych kilkunastu lat o bardzo znacznym spadku produkcji rolnej w południowo-zachodniej połowie kraju (do linii Szczecin—Poznań—Bydgoszcz—Płock—Warszawa—Tarnobrzeg—Krosno). Tamże, na obszarach najbardziej zagrożonych, (regionalna katastrofa ekologiczna na obszarze śląsko-krakowskim i w Sudetach) wystąpi spadek plonów zbóż o 7—25%, a ziemniaków o 20—40%. Nie trzeba wyjaśniać, jaki wpływ na zdrowie i życie Polaków miałoby załamanie się rolnictwa i jego możliwości żywienia narodu. Pomijamy tutaj kwestię społecznych konsekwencji prognozowanego stanu, a więc gwałtownego odpływu ludzi ze wsi zagrożonych i rolniczo niewydajnych obszarów oraz dalszych jego skutków.

Zanieczyszczenie powietrza i wód powoduje degradację walorów naszych uzdrowisk. Likwidacji uległy już uzdrowiska Wieniec i Opolno. Obecnie zagrożone są uzdrowiska: Świnoujście, Ciechocinek, Szczawno-Zdrój, Krzeszowice, Swoszowice, Konstancin i szereg innych. W szczególnie trudnej sytuacji będą już niedługo uzdrowiska dolnośląskie. (O skutkach zatrucia wód Bałtyku wspominaliśmy już wyżej). Istnieje więc możliwość utraty najważniejszych uzdrowisk odgrywających tak wielką rolę w procesie odnowy sił człowieka.

## DANE O STANIE ŚRODOWISKA NATURALNEGO

### *Zagrożenie w rafineriach*

W roku 1982 opracowany został „Wojewódzki raport o stanie środowiska w województwie płockim”. W raporcie tym przytoczone zostały wyniki badań zdrowia pracowników Mazowieckich Zakładów Petrochemicznych i Rafineryjnych podane przez Wojskową Akademię Medyczną w Łodzi oraz Akademię Medyczną i Instytut Onkologii w Warszawie. Przeprowadzone badania wykazały, że pracownicy petrochemii płockiej odznaczają się:

- większą częstotliwością występowania przewlekłych nieżytów oskrzeli,
- zmniejszeniem pojemności życiowej płuc,
- zanikaniem śluzówki nosa i gardła,
- obniżeniem ostrości węchu,
- wzrostem przewlekłych nieżytów spojówek,
- zwiększoną częstotliwością występowania chorób skóry,
- wzrostem zespołów nerwicowych i nerwic,
- obniżeniem zdolności reprodukcyjnych u mężczyzn i kobiet,
- wzrostem zapadalności na nowotwory złośliwe.

Stwierdzono również znaczny wzrost zachorowalności u mieszkańców w strefie największego oddziaływania kombinatu, a obejmującego północne dzielnice Płocka. Badania T. Garleja wskazały na wyraźny wzrost zachorowalności na: wady wrodzone, zaburzenia rozwoju somatycznego, schorzenia układu oddechowego, nowotwory tkanki limfatycznej i krwiotwórczej oraz raka krtani. Mimo tak groźnego stanu w tym regionie, brak reakcji ze strony Ministerstwa Zdrowia, powołanego tu do zabrania głosu.

### *Zagrożenia w strefie zakładów azotowych*

W 1982 roku opracowany został na zlecenie wojewody lubelskiego „Raport o stanie środowiska w rejonie oddziaływania Zakładów Azotowych Puławy”. Przeprowadzone badania pracowników Zakładów Azotowych stwierdziły znaczny wzrost schorzeń górnych dróg oddechowych, schorzeń układu nerwowego i narządów zmysłu oraz układu trawiennego. Dalsze badania stwierdziły wzrost zmian skórnych (objawy uczuleniowo-zapalne) i paznokciowych.

Wskaźniki chorobowości szczegółowej były wyższe u kobiet aniżeli u mężczyzn w grupach nowotworowych, układu nerwowego, krążenia oraz układu trawiennego. Schorzenia te powstają głównie na skutek podwyższonej ilości w powietrzu azotynów i azotanów. Prowadzi to do ostrych lub przewlekłych zatruc, a zwłaszcza u dzieci i osób starszych. Stopień zatruc mierzony jest poziomem methemoglobiny we krwi.

Badania przeprowadzone na mieszkańcach wsi położonych w bliskim sąsiedztwie Zakładów Azotowych wykazały podwyższony

## DANE O STANIE ŚRODOWISKA NATURALNEGO

poziom methemoglobiny, szczególnie u dzieci (41,6%) i osób starszych (37,7%).

### *Zagrożenie w strefie zakładów chemicznych „Police” k/Szczecina*

W 1981 roku opracowany został raport zespołu koordynacyjnego d/s badań z zakresu ochrony środowiska. Wyniki badań Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie wykazały u pracowników zakładu:

- upośledzenie układu błon śluzowych nosa wzrastające w miarę upływu stażu pracy,
- objawy fluorozy I i II stopnia.

Badania populacji zamieszkałej w rejonie Polic stwierdziły podwyższony współczynnik umieralności, a szczególnie u niemowląt. Objawy fluorozy znane są również z okolic huty aluminium w Skawinie, co było bezpośrednim powodem zamknięcia części tego zakładu.

### *Zagrożenie w strefie Huty im. Lenina*

W 1981 roku Rada Ochrony Środowiska miasta Krakowa sporządziła w oparciu o opracowanie zespołu powołanego przez NSZZ „Solidarność” „Opinię o szkodliwym wpływie Huty im. Lenina na zdrowie mieszkańców, zabytki oraz środowisko przyrodnicze Krakowa i jego okolic”. W opracowaniu tym omówiono główne zagrożenia zdrowia pracowników huty i mieszkańców Krakowa:

- wzrost dolegliwości układu oddechowego,
- wzrost zachorowalności neurologiczno-psychiatrycznych (na skutek występowania cyjanków w powietrzu i wodzie),
- wzrost chorób związanych z niedotlenieniem serca (również jako efekt oddziaływania cyjanków),
- wzrost zachorowalności na raka płuc (u mężczyzn) i raka sutka u kobiet (jako skutek emisji węglowodorów).

Sumarycznym efektem pogarszania się stanu zdrowotnego załogi kombinatu jest stały wzrost liczby osób przechodzących na renty oraz zgonów. W latach 1971—1980 opuściło zakład przechodząc na emeryturę 21,4% załogi, natomiast aż 69,4% poszło na rentę. W roku 1980 w grupie osób opuszczających Hutę im. Lenina: 12,5% — przeszło na emeryturę, 7,5% — wyniosły zgony, natomiast przejścia na rentę wynosiły aż 80%. Jest to wymowny dowód bardzo wysokiej szkodliwości pracy w hucie dla zdrowia jej pracowników.

### *Zagrożenie w strefie hut miedzi Głogów i Legnica*

Badania dokonane na obszarze Legnicko-Głogowskiego Okręgu Miedziowego wykazały, że przekroczenie dopuszczalnych norm stężenia dwutlenku siarki, fluoru, tlenków azotu, ołowiu, występuje na



## DANE O STANIE ŚRODOWISKA NATURALNEGO

obszarze co najmniej 2000 km<sup>2</sup> zamieszkałym przez około 300 tys. osób.

Przeprowadzone w latach 1974—1975 przez Instytut Akademii Medycznej we Wrocławiu badania ludności zamieszkałej we wsiach położonych w sąsiedztwie Huty Głogów I i II wykazały szereg schorzeń:

- podwyższona zawartość we krwi ołowiu (o 30—80%), cyny i miedzi,
- zaburzenia związane z niedokrwistością,
- nagminne zapalenie spojówek,
- niezity błony śluzowej nosa i krtani,
- wysoki wskaźnik umieralności niemowląt do ponad 60 (przy średnim krajowym 20,5 na 1000 urodzeń żywych).

W badanych wsiach stwierdzono również u krów zmiany chorobowe spojówek i układu oddechowego oraz zaburzenia w płodności. W mleku wykryto nadmierną ilość ołowiu i miedzi przy jednoczesnym spadku mleczności krów.

Wyniki uzyskane w roku 1981 przez Państwową Inspekcję Sanitarną wykazały, że żywność produkowana w rejonie Huty Miedzi — Legnica posiada kilkakrotnie większą zawartość ołowiu i kadmu w stosunku do wielkości normatywnych. Szczególnie w marchwi i ziemniakach (około 40 razy więcej w stosunku do średniej krajowej).

Ten stan rzeczy był powodem wydania zakazu kontraktacji produktów rolniczych z terenów znajdujących się w strefie A, gdzie występuje wysoka zawartość ciężkich metali w glebie.

Na skutek pogłębiającego się stanu zagrożenia życia ludzkiego przystąpiono do przesiedlenia mieszkańców najbardziej zagrożonych wsi.

W rejonie Huty Głogów I i II przesiedlenia objęły wsie: Rapocin, Bogomice, Wróblin Głogowski i Biechów położone na prawym brzegu Odry. Na prawym brzegu przesiedlenia objęły na razie część wsi Żukowica.

W rejonie Huty Legnica przesiedlenia objęły wieś Białkę. Mamy więc tu do czynienia z typową katastrofą ekologiczną, która doprowadziła do konieczności opuszczenia ziemi użytkowanej dotychczas jako rolniczej.

Przedstawione powyżej przykłady dobitnie świadczą o wysokim stopniu zagrożenia zdrowia pracowników zakładów przemysłowych uciążliwych dla otoczenia. Robotnicy są więc najbardziej narażeni na zagrożenie zdrowia a nawet życia w porównaniu z innymi grupami mieszkańców naszego kraju. Jednocześnie stan świadomości tego zagrożenia jest bardzo niski. W wielu wypadkach załogi pracownicze nie zdają sobie zupełnie sprawy ze szkodliwości warunków pracy, zamieszkania i wypoczynku. Świadczy o tym np. silna presja społeczna domagająca się zakładania ogródków działkowych w strefie

## DANE O STANIE ŚRODOWISKA NATURALNEGO

ochronnej zakładów pracy, jak to miało ostatnio miejsce w hucie „Warszawa”.

### *Dewastacja krajobrazu, parków narodowych, flory i fauny*

Polska posiada 14 parków narodowych o łącznej powierzchni 125 tys. ha, co stanowi zaledwie 0,36% powierzchni kraju. (Dla porównania: powierzchnia parków narodowych wynosi w USA 1,24%, w Japonii 5,35%, w Anglii 5,82%, w Czechosłowacji 0,72%). Zbyt mała powierzchnia parków powoduje ogromną frekwencję turystyczną, przekraczającą naturalną odporność przyrodniczą danego obszaru. Światowy rekord bije pod tym względem Ojcowski Park Narodowy. Drzewostan parków narodowych atakowany jest przez masowo występujące szkodniki leśne, co powodowane jest brakiem odporności małych jednostek terytorialnych. Przewiduje się powiększenie istniejących parków do 1% powierzchni kraju oraz ustanowienie stref ochronnych wokół parków, jednakże plany właściwego zagospodarowania parków o ile istnieją, pozostają w większej części na papierze. Za przykład może służyć plan przestrzennego zagospodarowania Parku Ojcowskiego z 1963 r., zamierzony do 1980 r., który zrealizowany został w tym okresie zaledwie w 25%. Ponadto plany są nagminnie łamane (np. inwestycje budowlane w Wielkopolskim PN lub zakładanie wielkich ferm hodowlanych w Kampinoskim PN).

Nieco odmienne zagadnienie stanowi bezprzykładna dewastacja naszych parków, zwłaszcza wiejskich, należących w równej mierze do „natury” co do „kultury”, będących szczególnie charakterystycznym i cennym składnikiem polskiego pejzażu. Po II wojnie liczba parków wynosiła ok. 10 tysięcy. Przeprowadzona w 1971 r. rejestracja wykazała zaledwie 4851 parków, z czego 86% wiejskich. Tylko 1510 parków jest prawnie chronionych — co powoduje dalsze niszczenie pozostałych. Prawdopodobnie w niedługim czasie większość spośród istniejących jeszcze tych cennych jako zabytki przyrodnicze i historyczne obiektów przestanie istnieć.

Posuwając się po tej linii — od natury do kultury — dochodzimy do jakże bolesnej kwestii dewastacji zabytków architektury, za którą odpowiedzialność ponosili i ponoszą ich użytkownicy, a obecnie, w coraz większej mierze zanieczyszczenie środowiska naturalnego, przede wszystkim powietrza SO<sub>2</sub> i pyłami oraz spowodowane gospodarką człowieka zmiany poziomu wód gruntowych. Dotyczy to w szczególności Krakowa, gdzie obecnej katastrofalnej sytuacji nie są w stanie zapobiec żadne programy rewaloryzacyjne.

W ramach prac Państwowej Rady Ochrony Przyrody opracowano w 1971 r. Wielkoprzestrzenny System Obszarów Chronionych, na wzór innych krajów, gdzie systemy takie obejmują np.: w USA

## DANE O STANIE ŚRODOWISKA NATURALNEGO

— 44% obszaru kraju, w Anglii 20%, w Japonii 14%, w RFN 34%. W Polsce dla zachowania równowagi w środowisku przyrodniczym konieczne jest potraktowanie 1/4 powierzchni kraju jako obszaru chronionego. Na Wielkoprzestrzenny System Obszarów Chronionych składają się:

1. parki narodowe i rezerwy przyrody — docelowo 1% pow. kraju,
2. parki krajobrazowe — docelowo 4% pow. kraju,
3. obszary chronionego krajobrazu — co najmniej 20% pow. kraju.

W realizacji tego systemu występują bardzo duże opóźnienia dotyczące zwłaszcza parków krajobrazowych, co spowodowane jest niezrozumieniem wagi zagadnienia przez planistów regionalnych w poszczególnych województwach oraz brakiem unormowań prawno-organizacyjnych regulujących gospodarkę na terenach parków. Ponieważ do utworzenia jest 70—80 parków (dotychczas uchwałami WRN powołano 22), okres ich formowania wydłuża się do kilkudziesięciu lat, co nie zahamuje dewastacji środowiska naturalnego.

Natomiast obszary chronionego krajobrazu kreuje się w niektórych województwach pod kątem wyłącznie turystyki i wypoczynku, tworząc izolowane strefy, co jest niezrozumieniem idei tych obszarów, związanej w pierwszym rzędzie z motywacją przyrodniczą, ekologiczną, z koniecznością zachowania — lub przywrócenia równowagi w środowisku naturalnym. Obszary te, jeśli mają spełnić swą funkcję, muszą być duże i wyznaczane na podstawie naturalnych geokompleksów. Tymczasem obecny podział administracyjny kraju, a także podział na makroregiony całkowicie zerwał z uwarunkowaniami przyrodniczymi. Konieczne są przeto przy wyznaczaniu obszarów chronionego krajobrazu uzgodnienia międzywojewódzkie, których zabrakło. Ten stan rzeczy grozi załamaniem się całej koncepcji sieci obszarów chronionych.

Na to, jak bardzo pilne są zadania związane z przywracaniem i zachowaniem równowagi w środowisku przyrodniczym, wskazują zagrożenia naszej flory i fauny. Wspominaliśmy już o katastrofie leśnej (ponad połowa kraju znajduje się w strefie zagrożenia drzewostanów iglastych, określonej wartością ponad 20 mg/m<sup>3</sup> rocznie SO<sub>2</sub>. Przyrost drzew dla terenów Polski południowej zmniejszył się o 20%. Z wyjątkiem gór, ginie na tych terenach jodła. Związana z zanieczyszczeniem powietrza jest klęska szkodników leśnych, zwłaszcza brudnicy mniszki i modrzewianeczki, atakujących od połowy lat siedemdziesiątych nasze lasy — dziś zagrażają one bardzo poważnie blisko 1/3 naszego drzewostanu). Najbardziej drastycznym przejawem katastrofy leśnej jest usychanie lasów górskich — niemal całkowicie wymarłe są już Góry Izerskie.

Szczególnie zagrożone są gatunki wrażliwe na zanieczyszczenia — a więc np. porosty. Z terenu całej Polski znikły lub znikają liczne ich gatunki. Duże obszary leśne pozbawione zostały swej charakterystycznej flory porostów epifatycznych. Np. w ciągu 10 lat wyginęło 80 gatunków porostów epifatycznych na przeł. Kocierskiej w Beskidzie Małym. Giną porosty w obrębie regła górnego na Babiej Górze, Pilsku, w Tatrach. Giną liczne gatunki glonów w wodach śródlądowych i w glebie, a te ostatnie odgrywają istotną rolę w utrzymaniu żyzności ziemi (wiązananie azotu, rozkładanie pestycydów itp.). Silnie zagrożone są grzyby — na terenach bardziej uprzemysłowionych wyginęło 70-80% gatunków w stosunku do stanu znanego z końca XIX w. Zagrożonych jest 50—60% gatunków roślin kwiatowych. Giną gatunki typowe dla bagien i torfowisk. Szacuje się, że w braku odpowiednich działań do 2000 r. może wyginąć w Polsce co najmniej 20% gatunków roślin (18 - s. 86).

Równie zagrożony jest stan fauny Polsce. Całkowicie ginących jest obecnie 41 gatunków kręgowców, co stanowi prawie 10% ogólnej ich liczby. 66% gatunków jest silnie zagrożonych. Tylko 10% gatunków kręgowców w ogóle nie jest zagrożonych postępującymi zmianami w przyrodzie.

Zwierzęta bezkręgowce szybciej niż kręgowce reagują na skutki degradacji środowiska naturalnego. Sytuacja w tej dziedzinie jest jednak słabo rozpoznana. Na podstawie wstępnej oceny dokonanej dla 76 gatunków oceniono, że tylko 1 w ogóle nie jest zagrożony. Czynniki zagrażające naszej faunie to przede wszystkim: chemizacja środowiska, melioracje odwadniające oraz regulacje rzek i potoków, mechanizacja prac leśnych i rolnych, ubytek drzewostanu, zakładanie monokultur agrarnych i leśnych i in.

Jak wiadomo, jedno z największych zagrożeń dla środowiska naturalnego wiąże się z działaniami przemysłu wydobywczego rozwijającego się żywiolowo przy całkowitym lekceważeniu potrzeb środowiska.

### *Elementy prognozy i niektóre wnioski*

Ogólnie biorąc wszystkie prognozy dotyczące stanu środowiska przyrodniczego do końca tego stulecia mają wydźwięk pesymistyczny. Dotyczy to zwłaszcza zanieczyszczenia powietrza. Zakłada się, że wobec konieczności zwiększenia produkcji energii elektrycznej wzrośnie znacznie spalanie węgla kamiennego i brunatnego w elektrowniach, co przy znacznym zasiarczeniu naszych węgla zwiększy emisję SO<sub>2</sub>. Równocześnie nie przewiduje się wdrażania na skalę przemysłową technologii ograniczających emisję SO<sub>2</sub> (odsiarczanie węgla, zastosowanie kotłów fluidalnych, odsiarczanie gazów kominowych), które wprowadzone w Europie Zachodniej doprowadziły

## DANE O STANIE ŚRODOWISKA NATURALNEGO

do powstrzymania wzrostu emisji SO<sub>2</sub> i przewidywanej jej redukcji do 1995 r. o 30-50%.

Wspominaliśmy powyżej o prognozie BIGLEB przewidującej — w razie dalszego wzrostu emisji SO<sub>2</sub> — regionalną katastrofę ekologiczną i rolniczą na dużym obszarze południowo-zachodniej Polski.

W gospodarce wodnej w latach 1982—1983 nastąpiło znaczne pogorszenie się czystości Wisły, zagrażające bezpośrednio ujęciom wodociągu warszawskiego. Poważne awarie i zamykanie wodociągów miały miejsce w Krakowie, Nowym Targu i w Mielcu. Przewidywany dalszy wzrost ścieków przemysłowych i komunalnych nie jest rekompensowany budową odpowiedniej ilości oczyszczalni. Sytuacja ta będzie miała istotne znaczenie dla wzrostu zagrożenia zdrowia, zwłaszcza dzieci i młodzieży.

Pesymistyczne prognozy opierają się również na ocenie realizacji dwóch wieloletnich programów rządowych. „Założenia programu ochrony środowiska w Polsce do roku 1990”, przyjęte w 1975 r. i realizowane następnie przez Min. Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska, w dziedzinie nakładów inwestycyjnych wykonywane były zaledwie w 50%.

Wielkość strat bezpośrednich, jakie ponosimy wskutek zanieczyszczenia środowiska oceniono ostatnio oficjalnie (w jednym z przemówień sejmowych) na ok. 500 mld zł rocznie (czyli 10% dochodu narodowego), natomiast straty pośrednie (trudne do oszacowania) są zapewne znacznie wyższe. Natomiast na ochronę środowiska wydawane były kwoty stopniowo malejące: 1977 — 8,4 mld zł, 1978 — 7,5 mld zł, 1979 — 6,7 mld zł, 1980 — 5,5 mld zł. W 1979 r. kwota wydatkowana na ochronę środowiska wynosiła zaledwie 1,2% ogólnych nakładów inwestycyjnych i 0,37% dochodu narodowego. W stosunku do krajów o podobnym do naszego potencjale gospodarczym udział wydatków na ochronę środowiska w dochodzie narodowym jest kilkakrotnie mniejszy. Oczywiście, samo — skądinąd niezbędne — zwiększenie nakładów na ochronę nie poprawi zdecydowanie sytuacji. Potrzebne jest uwzględnienie wymogów ekologicznych poczynając od wstępnych etapów planowania i inwestowania. Stoimy w obliczu konieczności dokonania istotnego zwrotu w modelu naszej gospodarki, który musi się opierać na zasadach ekorozwoju, tj. brać pod uwagę uwarunkowania przyrodnicze.

W roku 1985 rząd przyjął kolejny „Krajowy program ochrony środowiska do roku 1990”. Przeprowadzona na forum Państwowej Rady Ochrony Środowiska krytyka tego programu wykazała, że przewidywane środki materiałowe przeznaczone na ochronę środowiska nie będą w stanie doprowadzić do ustabilizowania emisji gazowych a tym samym do powstrzymania degradacji środowiska naturalnego.

## DANE O STANIE ŚRODOWISKA NATURALNEGO

Spoglądając prognostycznie na zagadnienie gospodarowania szeroko rozumianymi zasobami naturalnymi nie można pominąć kwestii gospodarki surowcowej. Jak mianowicie ma wyglądać gospodarka surowcami, które masowo przeznaczane są na eksport? Nasze zasoby surowców mineralnych, przy wydobyciu na dotychczasowym poziomie, wystarczą — wg oceny Centralnego Urzędu Geologii tylko na:

- 110 lat — węgiel kamienny,
- 70 lat — węgiel brunatny,
- 50 lat — rudy miedzi
- 30 lat rudy cynku i ołowiu,
- 50 lat — siarka.

Powstaje pytanie, czy mamy prawo tak hojnie szafować zasobami o podstawowym znaczeniu dla gospodarki narodowej? Czy możemy dopuścić do tego, aby Polska w pierwszych dziesiątkach XXI wieku była pozbawiona naszych głównych surowców? Politykę surowcową rozwiniętą szczególnie w latach 70-tych należy uznać za sprzeczną z naszą racją narodową. Dążenie do maksymalnego eksportu naszych surowców w formie półproduktów za cenę ogromnego marnotrawstwa naszych złóż należy uznać za niedopuszczalne. Np. współczynnik wykorzystania zasobów bilansowych węgla kamiennego wynosi u nas 42%, tj. 58% zasobów pozostaje w ziemi. W innych zagłębiach węglowych na świecie o podobnych warunkach geologiczno-górnictwowych współczynnik wykorzystania wynosi 63—70%. Kolejną sprawą są zaniedbania w kopalnictwie licznych surowców — przede wszystkim skalnych — które posiadamy w kraju pod dostatkiem, a które musimy importować. Dotyczy to np. nawozów wapniowo-magnezjowych dla rolnictwa, mineralnych materiałów budowlanych, kaolinu, kredy, gipsu, mączek dolomitowych itp.

Kiedy myślimy o przyszłości naszego kraju pod kątem gospodarki zasobami naturalnymi, w tym także powietrzem, wodą i glebą, stwierdzamy palącą konieczność dostosowania modelu gospodarczego do naturalnych warunków przyrodniczych. W przeciwnym wypadku nastąpi pogłębianie się obecnego stanu rzeczy i powszechna katastrofa ekologiczna. Istnieje konieczność opracowania założeń teoretycznych, ekonomicznych i gospodarczych dla idei ekorozwoju, w tym wprowadzenia nowej teorii wartości ekonomicznej zasobów przyrody. Fakt drastycznego załamania się, w postaci obecnego kryzysu rozwijanego od 40 lat kierunku rozwoju gospodarczego, powinien uświadomić wszystkim — rządzącym i rządzonym — konsekwencje nie kontrolowanego „zużycia przyrody”. Ujawniły się bariery rozwoju (ograniczenia progowe), których przekroczyć się nie da. Bariery te to przede wszystkim: deficyt wody na cele przemysłowe, rolnicze i komunalne, wyczerpywanie się zasobów kopalin,

## DANE O STANIE ŚRODOWISKA NATURALNEGO

wyjątkowe skażenie powietrza zagrażające rolnictwu, gospodarce leśnej, zdrowiu i życiu mieszkańców. Zatem konieczność ochrony warunków życia, jak również przyrody, krajobrazu, resztek zabytków — stanowiących istotny element polskiej tożsamości narodowej — wskazuje na konieczność dokonania istotnego zwrotu w ogólnej koncepcji dalszego rozwoju społeczno-gospodarczego. Powinny być rozwijane te dziedziny gospodarki, które mają pokrycie w zasobach naturalnych. Wystąpienie ograniczeń progowych sprawi wkrótce, że rosnące potrzeby przemysłu ciężkiego nie będą mogły być zaspokojone. Natomiast Polska posiada bardzo korzystne warunki klimatyczne i glebowe dla rozwoju rolnictwa, które wszakże zarówno społecznie jak i technicznie jest dziedziną szczególnie zaniedbaną. Powoduje to jego niską wydajność i konieczność importu produktów żywnościowych.

Zdrowa żywność, zapewnienie źródeł energii i mieszkania, zdrowe warunki życia — to podstawowe cele, których przyjęcie opiera się na generalnej zasadzie, że dalszy rozwój kraju musi być oparty o nasze naturalne warunki przyrodnicze. Wymaga to jednak głębokiej zmiany dotychczasowej ideologii gospodarczej. Dodajmy, że obecna struktura gospodarki opiera się na modelu opracowanym we wczesnych latach powojennych i motywowanym przede wszystkim przyczynami politycznymi i militarnymi. Ów niewątpliwie przestarzały model kontynuowany jest po dzień dzisiejszy, co powoduje taką kumulację zagrożeń ekologicznych, wobec których środki doraźne są bezradne. Tak więc na dłuższą metę wstrzymanie obecnej degradacji środowiska i początki naprawy sytuacji będą mogły zapewnić decyzje i plany o charakterze dalekosiężnym, a więc na poziomie, który określiliśmy jako trzeci a częściowo drugi. Obecna polityka państwa — poza gołostownymi stwierdzeniami — takich działań nie podejmuje. Dopiero te decyzje będą mogły stanowić podstawę dla takiej restrukturalizacji przemysłu, która wyeliminuje główne źródła zanieczyszczeń i stworzy nowe dziedziny przemysłowo-gospodarcze.

Przedstawiony stan rzeczy mógłby prowadzić do przynębiającego wniosku, że niczego zrobić się nie da. W obecnej sytuacji politycznej możliwości wpływania zarówno opinii publicznej jak i Kościoła na strategiczne decyzje i przedsięwzięcia gospodarcze są zapewne niewielkie, choć nie należy całkowicie powątpiewać w celowość wystąpień skierowanych do najwyższych władz państwowych, i obrazujących istniejącą rzeczywistość, dokonywanych czy to przez najwyższe autorytety Kościoła, czy też przez różne grupy społeczne. (Przypomnijmy, że presja społeczna doprowadziła do zamknięcia w roku 1981 dwóch szczególnie szkodliwych zakładów: części huty aluminium w Skawinie i Celwiskozy w Jeleniej Górze). Istnieją jednak dziedziny i poziomy działania, na których uczynić można

bardzo wiele, wpływając na poprawę sytuacji już dzisiaj i przygotowując grunt pod przyszły kierunek rozwoju kraju. Po pierwsze — konieczne jest domaganie się przestrzegania istniejącego prawa w dziedzinie ekologicznej. Prawo to, choć niedoskonałe — np. normy zanieczyszczeń są w Polsce niezwykle liberalne i dlatego niekorzystnie odbiegają od przyjętych na świecie — jest nagminnie łamane na wszystkich szczeblach zarządzania. Niezbędne jest domaganie się bezwzględного przestrzegania prawa tam zwłaszcza, gdzie występują bezpośrednie zagrożenia dla zdrowia i życia. Powszechna świadomość, że łamanie norm dotyczących zanieczyszczenia środowiska jest takim samym działaniem przeciwko zdrowiu i życiu człowieka jak bezpośrednie zadanie śmierci lub okaleczenie, pozwoli może na doprowadzenie — drogą perswazji lub wymuszenia — do zmian w tej dziedzinie.

Po wtóre i przede wszystkim — niezmiernie istotne jest oddziaływanie w kierunku zmiany społecznego, a także zawodowego nastawienia do problematyki stosunku człowieka do środowiska (poziom 1 i 2). Tym bardziej, że bardzo znaczna ilość strat i szkód, możliwych natychmiast do wyeliminowania, powstaje ciągle na skutek braku świadomości i elementarnych wiadomości z dziedziny ekologii. Jako przykłady tego typu powszechnych działań można wymienić: zrzucanie nieoczyszczonych ścieków bytowych do wód płynących i stojących, traktowanie cieków i zbiorników wodnych jako wysypisk śmieci, wywożenie odpadów do lasu, niepotrzebne wycinanie drzew, niszczenie zieleni, palenie traw, całkowitą i niepotrzebną dewastację przyrody przy okazji wznoszenia osiedli mieszkalnych czy inwestycji przemysłowych, nieumiejętne obchodzenie się z nawozami i środkami ochrony roślin itp. Tak więc przede wszystkim w dziedzinie wzrostu ekologicznej świadomości społecznej, będącej koniecznym warunkiem dalszych zmian, jest dzisiaj szczególnie wiele do zrobienia i tutaj w pierwszym rzędzie otwiera się przed Kościołem szerokie pole koniecznych działań. Podsumowując:

*Poziom 1* (świadomości społecznej) wymaga oddziaływań uświadamiających i wychowawczych podejmowanych przez szkołę (przedmioty: biologia, geografia, chemia, fizyka), Kościół (ukierunkowane duszpasterstwo, kształtowanie sumień), oraz organizacje społeczne, których zakres działania wiąże się z problemami ekologicznymi (oraz wiele innych organizacji i towarzystw, które mogą być wciągnięte do tego ruchu). Działalność wychowawcza na tym poziomie nie może — w naszym kraju — ograniczać się do wąsko pojętego schematu „ochrony przyrody”, ale musi wiązać się z kształtowaniem kultury bycia i ukazywać problem na szerszym tle godności człowieka, zasad współżycia społecznego, traktowania środowiska jako dobra wspólnego i jakości życia. Ważne jest uświadamianie społeczeństwu dwóch stron zagadnienia: podmiotowej



## DANE O STANIE ŚRODOWISKA NATURALNEGO

(w jakiej mierze *ja* oddziałuję na środowisko, a przez nie na innych ludzi) i przedmiotowej (jaki zagrożenia docierają do mnie poprzez środowisko i jakie są ich źródła). Cele akcji powinny być trojaki:

- a) zmniejszenie degradacji środowiska przez indywidualnych obywateli,
- b) uczulenie sumień ludzi w takiej mierze, by zaczęli widzieć problemy środowiska także jako pracownicy w swych zakładach pracy,
- c) uświadomienie społeczeństwu zagrożeń i ukształtowanie opinii społecznej tak, by stanowiła ona także element nacisku na poziomy 2 i 3.

*Poziom 2* (zarządzania gospodarką na szczeblu średnim) wymaga działań różnorodnych, zależnych od okoliczności: od ukazywania zagrożeń (badaniami naukowymi, ekspertyzami, publicystyką), poprzez wystąpienia organizacji społecznych i towarzystw naukowych oraz organów samorządowych do władz, aż po formowanie szerokiego frontu opinii społecznej w konkretnych sprawach. Oczywiście podstawą, na której muszą oprzeć się takie działania, jest praca organiczna na poziomie 1, bo bez tego nie powstanie świadoma problemu opinia publiczna. Ważną rolę na poziomie 2 mogą odegrać osoby na kierowniczych stanowiskach we władzach lokalnych, posługujące się w sposób uczciwy i zdecydowany istniejącym ustawodawstwem.

*Poziom 3* (najwyższych organów władzy państwowej i gospodarczej, i strategicznych decyzji) wymaga dobrze przygotowanych wystąpień na wysokim szczeblu organizacji społecznych i naukowych (raporty, opinie, petycje, wnioski). Może tu mieć znaczenie (aczkolwiek pośrednie) powszechność opinii na poziomie 1 i 2 w określonych sprawach. Innym czynnikiem, który liczy się na poziomie 3, są ustalenia i porozumienia międzynarodowe.

### *Zadania Kościoła*

Kościół nie dysponuje środkami materialno-technicznymi dla przeciwdziałania degradacji środowiska naturalnego. Ponieważ jednak cieszy się wyjątkowym autorytetem moralnym, może wnieść wiele w rozwiązanie tego problemu. Kościół winien pełnić funkcje: 1. informacyjną, 2. inspirującą, 3. postulującą i 4. wychowawczą.

— ad 1) Sprawą istotną jest informacja o istniejących zagrożeniach, i to na wszystkich poziomach. Stan ekologicznej świadomości społeczeństwa, mimo katastrofalnej sytuacji, jest na ogół niski. Ingerencje cenzury odnośnie do informacji, publikacji zaciemniają prawdziwy obraz sytuacji. Kościół dysponuje dość szerokim marginesem swobodnej wypowiedzi, stąd możliwość doinformowania społeczeństwa. Ukształtowana dzięki faktom świadomość społeczna wywołać

może odruch samoobrony i spowodować presję moralną na decydentów różnych szczebli.

— ad 2) Ze strony katolickiej teologii oczekuje się wypracowania pogłębiającej teologii środowiska, jak również zespołu norm moralnych kształtujących stosunki między człowiekiem a otaczającym go światem (moralny kodeks ekologiczny). Katolickie uczelnie w Polsce winny podjąć to twórcze zadanie. Wypracowana teologia środowiska i ekoetyka stanowić będzie cenny materiał katechetyczny, homiletyczny itd.

Kościół może inspirować i wspierać swym autorytetem wszelkie działania mające na celu poprawę sytuacji ekologicznej.

— ad 3) Zagrożenie życia jednostki, ale w szerszej perspektywie bytu narodowego, niebezpieczeństwo przerwania ciągłości pokoleniowej, uprawniają Kościół do wysuwania postulatów w celu radykalnej zmiany istniejących trendów.

— ad 4) Wychowanie ekologiczne winno stać się integralną częścią wychowania chrześcijańskiego i to na:

- a) płaszczyźnie teoretycznej,
- b) płaszczyźnie praktycznej.

Pierwsza obejmuje takie sprawy jak: kształtowanie sumienia ekologicznego, ekologicznej ascezy (priorytet wartości niematerialnych, jak: religia, nauka, kultura, sport itd. nad wartościami materialnymi), ukazywanie wzorów właściwych zachowań ekologicznych.

Druga płaszczyzna stanowić będzie praktyczną realizację powyższych postulatów. Chodzi bowiem o przejście od etyki usposobienia do etyki odpowiedzialności, czyli skutecznego działania. Jednym ze sposobów oddziaływania Kościoła mogłoby stać się powołanie Ogólnopolskiego Ośrodka Kształcenia Ekologicznego, np. w oparciu o klasztor OO. Franciszkanów w Panewniku w diecezji katowickiej lub seminarium OO. Franciszkanów w Krakowie (Pl. Wiosny Ludów 5), gdzie powstał kilka lat temu Ruch Ekologiczny pod wezwaniem św. Franciszka z Asyżu (REFA).

Wskazane byłoby, by chociaż dwa razy w roku głos Kościoła zabrzmiał mocniej w formie listu pasterskiego Episkopatu lub komunikatu. Właściwymi terminami zdają się być: niedziela przed lub po 5 czerwca (międzynarodowy Dzień Ochrony Środowiska), oraz niedziela przed lub po 4 października (wspomnienie św. Franciszka z Asyżu, którego papież Jan Paweł II ogłosił patronem ekologów).

Zaakcentowanie problematyki ekologicznej na przełomie wiosny i lata, tuż przed wakacjami i związanym z tym wzmocnionym ruchem turystycznym, mogłoby uwrażliwić tysiące ludzi udających się na wypoczynek na właściwy sposób obcowania z naturą.

Potrzebą chwili staje się też przygotowanie odpowiednich homilii (uwzględnienie tej problematyki w „Bibliotece Kaznodziej-skiej”) i katechez celem natychmiastowego wykorzystania.

## WYBRANA BIBLIOGRAFIA

1. ALEKSANDROWICZ J., *Wiedza stwarza nadzieję*, Warszawa 1975, Wiedza Powszechna, Omega nr 278.
2. BRYKOWICZ-WAKSMUNDZKA K., WAKSMUNDZKI K. A., *Kompleksowa Mapa Sozologiczna województwa krakowskiego*, ZN AGH nr 451, Kraków 1974.
3. *Dokumenty Synodu Duszpasterskiego Archidiecezji Krakowskiej* (dot. ochrony środowiska), Kraków 1979.
4. Duszpasterski Synod Archidiecezji Krakowskiej. *O ochronie środowiska*. Aneks do dokumentu synodalnego „Odpowiedzialność chrześcijan za budowę i odnowienie świata”, Kraków 1980, przedr. Znak nr 322—323, kwiecień—maj 1981.
5. FALIŃSKI J., *Antropogenic changes of the vegetation of Poland*. *Phytocoenosis*, Warszawa—Białowieża 1975.
6. GÓRSKA L., KOZŁOWSKI S., NEY R., *Zasoby i wykorzystanie niektórych surowców mineralnych Polski*. Ekspertyza PAN. Komitet Gos. Sur. Min., Warszawa— Kraków 1982.
7. GRZESICA J. ks., *Ochrona naturalnego środowiska człowieka — problem teologiczno-moralny*, Katowice 1983, Księgarnia św. Jacka.
8. GRZYBOWSKI J., *O planowaniu przestrzennym od strony humanistycznej*, *Więź* nr 6, 1976.
9. *Informacja o stanie, zagrożeniu i ochronie środowiska w Polsce...*, GUS, Warszawa 1978.
10. JANIKOWSKI T., STARZEWSKA A., *Straty gospodarcze i społeczne wynikające z zanieczyszczenia środowiska*, IKS, Warszawa 1983.
11. JAŁOWIECKI B., *Strategia uprzemysłowienia a proces urbanizacji*, Biuletyn KPZK, z. 119, 1982.
12. KABATA-PENDIAS A., PIOTROWSKA M., *Zanieczyszczenia gleby i roślin uprawnych pierwiastkami śladowymi*. Centralna Biblioteka Rolnicza, Warszawa 1984.
13. KOŁODZIEJSKI J., *Realizacja celów w warunkach narastania konfliktów w gospodarce przestrzennej*, Biuletyn KPZK, z. 120, s. 7—51, 1982.
14. KOMOROWSKI S. M., *Przestrzenna organizacja gospodarki polskiej. Próba analizy krytycznej*. Biuletyn Kom. Przestrz. Zagospodarowania Kraju PAN, z. 117, 1981.
15. KOSTRZEWSKI J., *Stan zdrowia ludności Polski — dotychczasowe wyniki i dalsze kierunki badań*, PAN, 1978.
16. KOZŁOWSKI S., *Ocena gospodarki zasobami surowców skalnych*, *Przegl. Geologiczny* nr 12, 1981.
17. KOZŁOWSKI S., *Problem katastrofy ekologicznej*, *Stolica* nr 3, 1981.
18. KOZŁOWSKI S., *Ekopolityka — szansa rozwoju*, *Problemy*, nr 6, 1982.
19. KOZŁOWSKI S., *Przyrodnicze uwarunkowania gospodarki przestrzennej Polski*, Wszechnica PAN, 1983.
20. KWAPULIŃSKI J., *Skażenie promieniotwórcze na wybranych terenach Polski południowej*, IKS, Katowice 1975.
21. LESZCZYCKI S., *Wstępna koncepcja prognozy zmian w środowisku do r. 1990*, Warszawa 1973.
22. LESZCZYCKI S., TRAFAS K., WAKSMUNDZKI K. A., *Zniszczenia i skażenia środowiska życia człowieka w Polsce*, PAN 1982.
23. MANTEUFFEL R., *Rolnictwo w przestrzennym zagospodarowaniu kraju*, Biuletyn KPZK PAN, z. 116, s. 34—49, 1981.
24. MARCHWIŃSKA E., KUCHARSKI R., GRYL J., *Wpływ zanieczyszczenia środowiska na wybrane rośliny jadalne i paszowe uprawiane w województwie katowickim*, IKS, Katowice 1982.

## DANE O STANIE ŚRODOWISKA NATURALNEGO

25. MYCZKOWSKI S., *Ochrona środowiska przyrodniczego a gospodarka narodowa*, Znak nr 255, wrzesień 1975.
26. *Ocena aktualnego stanu środowiska w Polsce*, Warszawa 1981, PAN.
27. *Ochrona środowiska i gospodarka wodna 1984*, Warszawa 1984, GUS.
28. *Obszary ekologicznego zagrożenia w Polsce*, Warszawa 1984, GUS.
29. *Ochrona środowiska — program ramowy*. Dla potrzeb KUL, KIK, Wyd. Duszpasterstw Kurii, seminariów duchownych. Oprac. K. Brykowicz-Waksmundzka, M. Białecka, S. Myczkowski, R. Łazarski, K. A. Waksmundzki, Kraków 1980 (przekazany Ks. Prymasowi S. Kard. Wyszyńskiemu).
30. Praca zbiorowa. *Diagnoza stanu gospodarki przestrzennej Polski*. Pod red. A. Kulińskiego, Biuletyn KPZK, z. 123, 1983.
31. Praca zbiorowa. *Gospodarka zasobami przyrody*. Pod red. S. Kozłowskiego. Studia KPZK, nr 85, 1985, PWE.
32. Praca zbiorowa. *Stres psychiczny w sytuacji kryzysu ekologicznego*. Pod red. A. Bieli. Lublin 1984, TN KUL, z. 18.
33. *Raport Ligi Ochrony Przyrody o stanie środowiska przyrodniczego w Polsce i zagrożeniu zdrowiu ludzkiego*. *Przyroda Polska*, nr 5/6, 1981.
34. *Raport o stanie środowiska oraz propozycje działań na rzecz jego poprawy*. Państwowa Rada Ochrony Środowiska, Warszawa 1982.
35. TARNOWSKI K., *Instrumentalny czy sakramentalny stosunek do przyrody*, Znak nr 329, kwiecień 1982.
36. WAKSMUNDZKI K. A., *Parki narodowe — problemy wybrane*, w: *Parki Narodowe*. Praca zbior., ZNPAX, 1/2—12/13, Warszawa 1976.
37. WAKSMUNDZKI K. A., *Problemy sozologii miejskiego województwa krakowskiego*, *Folia Geogr.* vol. XIII, Kraków 1980.
38. WAKSMUNDZKI K. A., *Zagrożenie środowiska geograficznego w Polsce*, *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza* nr 78, Londyn 1985.
39. *Założenia programu ochrony środowiska w Polsce do roku 1990*, Min. Gosp. Ter. i Ochr. Środ., Warszawa 1975.

## **Z dokumentów Konferencji Episkopatu Polski**

*Tylko nieliczne dokumenty Konferencji Episkopatu Polski są dostępne opinii publicznej. Także i na naszych łamach będziemy mogli udostępnić czytelnikom tylko dokumenty wybrane lub ich fragmenty nie naruszające wymogów misji religijnej Kościoła. W kolejnych numerach pisma przytoczymy po kilka dokumentów z roku 1985. Świadczą one, że Kościół interweniował u władz nie tylko w sprawach duszpasterskich, ale także w różnych ważnych sprawach społecznych, a nawet w drastycznych sprawach dotyczących poszczególnych pokrzywdzonych osób.*

### **Z LISTU SEKRETARZA EPISKOPATU DO MINISTRA ZDROWIA I OPIEKI SPOŁECZNEJ Z 21.I.1985.**

Pani Doc. Dr hab. med. Zofia Kuratowska, wybitny lekarz-internista, jest kierownikiem Kliniki Geriatrii Hematologii i Immunologii Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego, a zarazem była do końca roku 1984 ordynatorem Oddziału Chorób Wewnętrznych w szpitalu miejskim przy ul. Barskiej w Warszawie. Oddział Doc. Kuratowskiej był miejscem, do którego trafiali prawie wszyscy chorzy z powikłaniami hematologicznymi leczenia nowotworów (zarówno Instytut Onkologii, jak i Instytut Hematologii, dysponuje niedostateczną liczbą miejsc i oczekiwanie na przyjęcie jest przeciętnie bardzo długie). Oddział Doc. Kuratowskiej kształcił również i specjalizował onkologów w zakresie medycyny wewnętrznej, a w szczególności w chorobach krwi (powikłania hematologiczne są, jak wiadomo, głównym i przeważnie nieuniknionym następstwem leczenia promieniowaniem i środkami chemicznymi).

Dr Kuratowska otrzymała wypowiedzenie ze stanowiska ordynatora z dniem 31 grudnia 1984 r. w związku z likwidacją na terenie szpitala przy ul. Barskiej oddziału o wyżej omówionym profilu. Wraz z tym Klinika Geriatrii Hematologii i Immunologii została pozbawiona bazy szpitalnej i możliwości hospitalizacji około 400 chorych.

Wyłoniła się możliwość przejęcia przez Dr Kuratowską i jej zespół jednego z oddziałów w Szpitalu Wolskim. Dyrektor Szpitala stwierdził jednak, że stanowisko ordynatora wymaga zgody Komitetu

Warszawskiego PZPR. Komitet Warszawski zgody odmówił, powołując się — w rozmowach ustnych — na działalność społeczną Dr Kuratowskiej.

Dr Kuratowska jest od kilku lat współpracownikiem Prymasowskiego Komitetu Charytatywno-Społecznego i w związku z tym już w roku 1983 spotykała się z represjami i z próbą zlikwidowania Kliniki przez nią prowadzonej.

Przyzna Pan Minister, że tego rodzaju motywacja pozaprawna musi budzić zastrzeżenia. Dr Kuratowska, jej zespół lekarski i grono ludzi chorych nie mogą być przedmiotem rozgrywek i pociągnięć arbitralnych. Usuwanie Dr Kuratowskiej ze stanowiska ordynatora oddziału ze względu na działalność społeczno-religijną bez przydzielenia jej stanowiska równorzędnego będzie traktowane jako dyskryminacja. Niniejsza sprawa znalazła już negatywne echo w opinii publicznej. Wyrazem tego m.in. jest list skierowany do najwyższych Władz Państwowych przez ponad tysiąc pracowników służby zdrowia, który Pan Minister posiada.

W tym stanie rzeczy usilnie proszę o spowodowanie, by Pani Doc. Zofia Kuratowska i jej zespół mogli nadal leczyć chorych, którzy potrzebują hospitalizacji.

#### Z LISTU SEKRETARZA EPISKOPATU DO MINISTRA ZDROWIA I OPIEKI SPOŁECZNEJ Z 5.II.1985.

Akcji zdejmowania Krzyży ze ścian szkół, internatów, miejsc pracy wtóruje ostatnio zdejmowanie Krzyży ze ścian szpitalnych. Odnosi się wrażenie, że ktoś świadomie dąży do sprowokowania w naszym kraju wojny religijnej.

Krzyż, który dla chrześcijan jest znakiem wiary i zbawienia, jest także wymownym symbolem sublimującym ludzkie cierpienie. Z tej też racji umieszczenie tego znaku na ścianach sal szpitalnych ma wyjątkowe uzasadnienie. To właśnie czerwony krzyż stał się międzynarodowym symbolem zrzeczenia ludzi dobrej woli, niosących pomoc humanitarną najpierw rannym żołnierzom na polu bitwy, a następnie wszystkim cierpiącym i potrzebującym pomocy. Podobnie Górskie Pogotowie Ratownicze przyjęło krzyż jako swój znak rozpoznawczy.

Dziwna zaiste musi być mentalność tych ludzi, którzy nadstawiają pierś, by ją ozdobić takim czy innym „krzyżem zasługi”, a równocześnie wydają rozkazy swoim podwładnym, aby usuwali Krzyże ze ścian szpitali. Nie razi ich to, że w krytycznym momencie, zagrażającym ich życiu, przyjeżdża karetka pogotowia z symbolem krzyża, ale nie mogą znieść widoku tego Krzyża na szpitalnej sali. O co tu chodzi, czy o sam znak krzyża, czy też o dyskryminację wierzących? Np. dyrektor Przychodni Obwodowej we Włocławku

## Z DOKUMENTÓW EPISKOPATU

wydaje pisemny nakaz usuwania w podległych mu placówkach Służby Zdrowia jakichkolwiek emblematów religijnych i „nieekspozowania ich pod żadną postacią”. A czyni to w myśl socjalistycznego humanizmu i „tolerancji”.

Często Krzyże zdejmuje się potajemnie lub przy okazji remontu albo malowania, jak to miało miejsce w Szpitalu Miejskim w Kętrzynie, na terenie diecezji Warmińskiej itd.

Są to tylko niektóre przypadki świadczące o walce z religią i opinią społeczną.

Tego rodzaju poczynania, mające za sobą poparcie Władz Państwowych, nie mogą pozostawać obojętne dla wierzącej części polskiego społeczeństwa. Nie mogą także nie rzutować na atmosferę stosunków między Państwem i Kościołem.

Uprzejmie proszę Pana Ministra o szybką interwencję, aby chorym nie odbierano źródła pociechy religijnej, która dla cierpiącego jest ważniejsza od lekarstw.

## Z LISTU PRYMAŚA POLSKI I SEKRETARZA EPISKOPATU DO PREZESA RADY MINISTRÓW Z 14.II.1985.

W ostatnich miesiącach w środkach masowego przekazu prowadzona jest kampania zmierzająca do obniżenia autorytetu Kościoła w Polsce. Polega ona między innymi na: pomawianiu duchownych o działalność polityczną, antypaństwową, na usiłowaniu kompromitowania ich w opinii publicznej. Na trafność określenia „kampania” wskazuje choćby ilość publikacji na te tematy w porównaniu z tego rodzaju publikacjami w okresach poprzednich, a także udział w niej rzecznika prasowego rządu. Kampania ta nabiera szczególnej wymowy, gdy się zważy, że nasilono ją w czasie procesu o zabójstwo księdza przez funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zresztą liczne wypowiedzi oskarżyciela publicznego w toku toruńskiego procesu współgrały z tą kampanią. W wypowiedziach istotne znaczenie miało ustalenie sposobu postrzegania rzeczywistości przez oskarżonych na odcinku stosunków Kościół-Państwo, postrzegania, na które wpływ wywierać mogła także oficjalna propaganda. Osobno odnotować należy płytkie, a napastliwe wywody prokuratora w odniesieniu do roli Kościoła i duchownych w historii Polski, zawarte w jego replice na wystąpienie pełnomocników oskarżycieli posiłkowych.

Wysuwa się często zarzuty pod adresem księży solidaryzujących się z ludźmi krzywdzonymi; księży tych oskarża się o antypaństwowe i antysocjalistyczne wystąpienia, gdy jednocześnie władze państwowe skrzętnie wykorzystują każde niezadowolone nawet kilku parafian, by w środkach masowego przekazu, nie przebieając w słowach,

rzucąc kalumnie na księży i biskupów (np. w miejscowościach Jastrowie w diecezji koszalińskiej, Bolesław w diecezji kieleckiej, Piszczac w diecezji siedleckiej itd.).

Kampania ta kojarzy się z szeregiem okoliczności z zakresu stosunków między Kościołem i Państwem nieznanych szerszej opinii publicznej. Mimo upływu ponad roku od zakończenia prac przez zespół legislacyjny przy Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu, w toku których uzgodniono projekt ustawy regulującej pozycję prawną Kościoła katolickiego w Polsce, przewidzianej w Konstytucji PRL, organy państwowe projektowi temu nie nadały oczekiwanego biegu. Zauważa się także wycofanie się strony rządowej z szeregu ustaleń i zapewnień, do jakich doszło w ramach prac Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu. Dotyczy to m.in. sposobu realizacji oraz przewidzianej możliwości zmiany ustawy z 1961 r. o rozwoju systemu oświaty i wychowania w celu zapewnienia jej zgodności z Konstytucją PRL i ratyfikowanymi konwencjami międzynarodowymi w tym zakresie. Sprawa ta była przedmiotem wymiany pism pomiędzy Sekretarzem Episkopatu Polski a Ministrem Urzędu do Spraw Wyznań w grudniu 1984 r. i styczniu 1985 r. Podobnie przedstawia się sytuacja w rozmowach na temat utworzenia fundacji rolniczej, które są przeciągane już ponad dwa i pół roku.

Wymienić tu należy ponadto jednostronne obniżenie o 20% przydziału papieru wydawnictwom katolickim wbrew przyjętym wspólnym ustaleniom. Także charakter arbitralny mają decyzje o poddaniu cenzurze wewnętrznych biuletynów wydawanych przez ogólnopolskie i diecezjalne instytucje kościelne i zakonne. Organy cenzury ingerują niejednokrotnie nawet w teksty duszpasterkie, nie wyłączając wypowiedzi Ojca Świętego, co jest już sprzeczne wręcz z elementarnymi zasadami kultury.

W tych warunkach rodzi się niepokój co do zamierzeń władz na odcinku stosunku Państwa do Kościoła. Szukanie źródeł tych niepokojów w inspiracjach antysocjalistycznych byłoby świadectwem zamknięcia oczu na rzeczywistość.

Z tych względów Episkopat Polski z głębokim zainteresowaniem przyjął do wiadomości stwierdzenie zawarte w informacji Biura Prasowego Rządu z posiedzenia Rady Ministrów odbytego dnia 8.II.1985 r., według którego „polityka rządu opiera się na trwałych zasadach i nie będzie od niej odstępować”.

Mając na uwadze to stwierdzenie, Konferencja Episkopatu Polski wyraża przekonanie o niezbędności:

po pierwsze — wyciągnięcia stosownych wniosków z faktów ujawnionych na procesie zabójców ks. Jerzego Popiełuszki;



po drugie — sfinalizowanie spraw, jakie były przedmiotem ustaleń Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu.

Jest to konieczne dla prawidłowego, zgodnego z interesem narodowym, układania się stosunków Państwa i Kościoła. Stworzyłyby to również skuteczną zaporę sugestiom, „że władze naszego kraju otwary nową fazę napięć w stosunkach Państwo-Kościół”.

\*  
\*      \*

Episkopat Polski jest szczególnie zaniepokojony faktami, jakie zostały ujawnione przy okazji procesu toruńskiego.

W związku z tym pragniemy poruszyć następujące kwestie:

1. W świetle materiałów procesowych konieczne wydaje się zajęcie stanowiska w stosunku do koncepcji i roli IV Departamentu MSW. [...].

W istniejących obecnie warunkach Kościół jest czynnikiem, który oddziałując duszpastersko na wiernych w duchu chrześcijańskiej miłości może skutecznie rozładowywać społeczne napięcia i zapobiegać wybuchowi otwartych konfliktów. Powierzanie nadzoru państwowego nad strukturami kócielnymi tajnym służbom o specjalnym charakterze, rodzi realne niebezpieczeństwo oddania w ich ręce rozległej a niekontrolowanej władzy. Prowadzić to może do jednostronnych, arbitralnych decyzji.

Władze uzależnione od SB, jako jedyne źródła informacji, pozbawione zostaną swobody i samodzielności działania, a często będą stawiane przed faktami dokonanymi, uniemożliwiającymi rozwiązania wariantowe. Potwierdził tę tendencję proces, który ujawnił, iż politykę wyznaniową państwa kształtowały i określały nie Rada Ministrów i Urząd do Spraw Wyznań, ale departament wyznaniowy MSW oraz podległe mu komórki terenowe. Potwierdzają to także nasze doświadczenia z tymi urzędami.

Oczekujemy, że władze państwowe podejmą odpowiednie kroki w celu zlikwidowania tej nienormalnej sytuacji.

2. Proces ujawnił niebezpieczną tendencję do łamania zagwarantowanych przez Konstytucję każdemu obywatelowi praw i swobód. Polega ona na przypisywaniu sobie przez organy Służby Bezpieczeństwa, prokuratury i administracji państwowej wyłącznego prawa do interpretacji przepisów i ferowania na tej podstawie arbitralnych ocen działalności obywateli, instytucji i organizacji.

Wszelka krytyczna ocena działalności organów administracji czy władzy państwowej, a także każda nieomal krytyka rozwiązań ustrojowych uważana jest — jak wykazał proces w Toruniu — przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa za działalność antypaństwową czy antyustrojową. Oskarżeni, a także niektórzy świadkowie

— funkcjonariusze MSW — nie podawali niemal nigdy, co zrobił czy powiedział ks. Popiełuszko, czy też jakiś inny ksiądz, i jaki przepis prawa działalność ta narusza, tylko wprost kwalifikowali ją jako antysocjalistyczną. (Ujawniona na rozprawie homilia ks. Popiełuszki z dnia 26 sierpnia 1984 r. świadczy dosadnie, jak bezpodstawne wnioski były wywodzone z tych wypowiedzi...

Takie nastawienie, będące rezultatem wypaczonej i tendencyjnej interpretacji obowiązujących przepisów oraz przypisywanie sobie pozycji monopolistycznego źródła ich wykładni, stało się szkodliwą, z punktu widzenia interesów prawnych obywateli, metodą nadużywania prawa.

Istnieją konstytucyjne podstawy domagania się przestrzegania zasady, że obywatel podlega przepisom prawa, które ma również prawo sam interpretować, a spory w tym zakresie mogą rozstrzygać jedynie powołane do tego organy, przede wszystkim sądy. Nikomu nie wolno przypisywać popełnienia przestępstwa, jeśli nie został on uznany winnym przez sąd. Jest to powszechnie obowiązująca zasada w cywilizowanym świecie.

Te zasady powinny być przypomniane organom i służbom państwowym.

3. Proces toruński ujawnił stosowanie metod bezprawnych i traktowanie tych metod za normalne w działalności MSW, a mianowicie:

— puszczanie w obieg społeczny informacji o charakterze kompromitującym, dotyczącym przedstawicieli hierarchii kościelnej i kapłanów bez jakiegokolwiek ich udowodnienia, bez wszczęcia właściwych postępowań prawnych;

— także zbieranie bądź fabrykowanie informacji dotyczących osobistego życia duchownych w celu ich szantażowania, bądź poniżania w opinii publicznej (wyjaśnienia osk. Piotrowskiego o dążeniu do kompromitacji metodą tzw. „zazdrosnego męża” lub przez wymuszone siłą upojenie alkoholem i pozostawienie w miejscu publicznym; wyjaśnienia osk. Pietruszki, częściowo potwierdzające wyjaśnienia osk. Piotrowskiego, a ponadto ujawniające źródła informacji, jakie stały się materiałem do publikacji prasowej „Garsoniera ob. Popiełuszki”). Stosowanie tych metod miało na celu poniżanie Kościoła w opinii społecznej.

Jest działaniem prawnie niedopuszczalnym wkraczanie przez organy państwowe w sferę prywatnego życia obywateli. Narusza ono sferę podmiotową i publiczne prawa obywatelskie. Godzi w system moralności, tworząc okazję do pomówień i szantażu. Tymczasem proces wykazał, że śledzenie życia osobistego obywateli należało do normalnej działalności departamentu, o którym mowa. Traktowanie informacji z tego zakresu jako instrumentu walki politycznej jest jednak nie tylko bezprawne, ale tworzy także atmosferę sprzyjającą

## Z DOKUMENTÓW EPISKOPATU

falszowaniu materiałów w celu oczerniania obywateli. Dopuszczenie bezprawia na jednym odcinku, pociąga za sobą reakcję łańcuchową. [...].

W tym miejscu należy przypomnieć, że stosowanie tego rodzaju metod zalecał swego czasu w referacie wygłoszonym na naradzie służbowej dyrektor IV Departamentu płk. St. Morawski (była tam m.in. mowa o podsycaniu i wykorzystywaniu przez władzę konfliktów w parafiach oraz o szkalowaniu księży drogą rozsyłania anonimów). W sprawie tej pismo do ówczesnego Prezesa Rady Ministrów J. Cyrankiewicza skierował w dniu 4 marca 1964 r. (N. 1048/64/P) Ks. Stefan Kardynał Wyszyński Prymas Polski.

Episkopat Polski domaga się:

- likwidacji w strukturze Służby Bezpieczeństwa osobnego pionu utworzonego dla inwigilacji Kościoła,
- wydania stanowczego zakazu stosowania przez organy państwowe i ich funkcjonariuszy bezprawnych metod ujawnionych na procesie.

Traktowanie Kościoła jako instytucji z założenia podejrzanej, musi wywierać jednoznaczny wpływ na kształtowanie postaw funkcjonariuszy tego pionu i będzie zarzewiem konfliktów w stosunkach Państwa i Kościoła. Posługiwanie się metodami ujawnionymi na procesie w Toruniu nie może wzbudzać szacunku i zaufania do organów władzy i nie służy ugruntowywaniu społecznego pokoju w naszym kraju. Ufamy, że przedłożenie to będzie przyjęte w duchu dialogu i zrozumienia.

## Z LISTU SEKRETARZA EPISKOPATU DO MINISTRA KULTURY I SZTUKI Z 6.III.1985.

W miesiącu styczniu br. wszystkie czasopisma kościelne i katolickie otrzymały zawiadomienie o obniżeniu przydziału papieru na I kwartał br. o około 20%. Tym samym zmuszone zostały do obniżenia nakładów, zmniejszenia objętości, a nawet — jak to się stało z „Przełazem Katolickim” i „Niedziela” — do wstrzymania druku kolejnych numerów, co stanowi wydarzenie niespotykane w historii wydawania prasy po wojnie.

Ta jednostronna decyzja o obniżeniu przydziału papieru stanowi zaskoczenie. Tym bardziej, że zapadła wbrew ustaleniom przyjętym na Komisji Wspólnej i powołanego przez nią Zespołu Roboczego do spraw Wydawnictw, co podważa wiarygodność przyjmowanych tam uzgodnień. Ta arbitralna decyzja nie tylko uniemożliwia pracę redakcji, planowanie merytorycznych treści, ale ogranicza, i to w sposób istotny, zasięg docierania do swoich czytelników, w tym powoduje niewywiązywanie się ze zobowiązań podjętych wobec prenumerato-

rów. Ponadto powoduje utrudnienia we współpracy z drukarniami, które planują swoją produkcję na podstawie rocznych przydziałów papieru, a nie przydziałów kwartalnych.

Pragnę podkreślić, że łączny nakład prasy kościelnej stanowi nikty procent ogółu czasopism wydawanych w Polsce i nie zaspokaja on zapotrzebowania na słowo drukowane ludzi wierzących.

Należy zaznaczyć, że dotychczasowe wysokości nakładów prasy kościelnej i tak są limitowane decyzjami Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk o wysokości nakładów.

Teraz doszedł nowy element obniżania nakładów przez jednostronne zmniejszenie przydziału papieru. Rodzi się podejrzenie, że decyzje polityczne uzasadnia się względami ekonomicznymi. Tego rodzaju decyzje muszą być oceniane jako dążenie do zmniejszenia stanu posiadania Kościoła w czasopiśmie, drogą pozbawienia ich przydziału papieru. Jednocześnie obserwujemy pojawienie się wysokonakładowych wydawnictw o treściach sensacyjnych, na niskim poziomie kulturalnym, a nieraz wręcz pornograficznych [...].

W związku z powyższym proszę Pana Ministra o ponowne rozważenie tych decyzji i przywrócenie czasopismom kościelnym i katolickim uzgodnionych na Komisji Wspólnej i w Zespole Roboczym do spraw Wydawnictw przydziałów papieru. Pozostawienie w mocy tych drastycznych ograniczeń będzie rzucać cień na stosunki pomiędzy Kościołem i Państwem i uznane będzie przez opinię publiczną jako akt wrogi i represyjny władz państwowych wobec Kościoła.

#### Z PISMA SEKRETARZA EPISKOPATU DO MARSZAŁKA SEJMU PRL Z 23.III.1985.

Sekretariat Episkopatu Polski zapoznał się z nowym projektem ustawy o gospodarce gruntami i wywłaszczaniu nieruchomości i w związku z tym zgłasza następujące uwagi, które zdaniem Sekretariatu winny być wprowadzone do projektu, a mianowicie:

1) Ad art. 5 ust. 3 — należałoby rozszerzyć wykaz organizacji społecznych, które korzystałyby z uprawnień niniejszej ustawy przez dodanie „organizacji charytatywnych, stowarzyszeń wyższej użyteczności”.

2) Ad art. 17 ust. 3 — celem usunięcia wątpliwości oraz ewentualnych nadużyć należy na końcu ustępu dopisać „w tej samej miejscowości”; przydzielenie bowiem działki w innej miejscowości miałyby się z celem i mogłyby być krzywdzące dla osoby wywłaszczonej, jeśli ona związana jest z terenem, a przeniesienie się w inne miejsce byłoby dla niej bardzo dotkliwe.

3) Ad art. 58 ust. 2 — należałoby okres spłat skrócić do 2 lat, bo okres 10-letni stwarza niebezpieczeństwo pokrzywdzenia wywłaszczonego, zwłaszcza w przypadku inflacji, zmiany cen itp. oraz mija się z celem udzielenia rekompensaty za wywłaszczony teren.

4) Ad art. 67 ust. 1 — z punktu widzenia słuszności należałoby zastosować odpowiednie miarkowanie należności państwa i banków, jeśli kwota odszkodowania nie odpowiada wartości rynkowej; mogłoby się okazać, że kwota odszkodowawcza niższa od rzeczywistej wartości obiektu wywłaszczonego zostanie pochłonięta przez należności państwa i banków.

5) Ad art. 74 — należałoby zmienić treść ustępu pierwszego w sposób następujący:

1. Nieruchomość wywłaszczona podlega zwrotowi na rzecz poprzedniego właściciela lub jego następcy prawnego za jego zgodą, jeśli nie została wykorzystana na cele, na które została wywłaszczona w okresie dwóch lat od uprawomocnienia się decyzji wywłaszczeniowej.

a) Nieruchomość wywłaszczona nie może być użyta na inne cele, zbyta lub oddana w wieczyste użytkowanie.

Przepisy takie nie pozwolą na zbyt pochopne występowanie z wnioskami o wywłaszczenie oraz zapobiegą nadużyciom wykorzystywania wywłaszczenia na cele sprzeczne z ustawą.

6) Ad art. 84 ust. 2 — należy uzupełnić ten przepis w sposób następujący: „Obowiązek zawiadomienia ciąży na państwowym biurze notarialnym, w którym została sporządzona umowa sprzedaży w terminie dwóch tygodni od daty sporządzenia tej umowy.

7) Ad art. 89 ust. 4 — przepis ten nie jest do przyjęcia, bo:

1. nie precyzuje pojęcia następców prawnych w odniesieniu do obiektów sakralnych i kościelnych;

2. używa terminu „użytkowanych w całości”, gdy w istocie obiekty kościelne są zajęte bądź to częściowo przez osoby trzecie, bądź nawet całkowicie skutkiem przymusowego wprowadzenia tych osób albo pozbawienia własności przez władzę administracyjną w okresie wcześniejszym;

3. grunty wraz z budynkami o charakterze sakralnym i kościelnym winny być zwrócone w całości instytucjom kościelnym z tym, że na terenie miasta Warszawy w granicach do 1950 r. (tzw. Stara Warszawa) jedynie co do gruntu winno być ustanowione wieczyste użytkowanie bezpłatne lub z zastosowaniem opłaty symbolicznej. Stąd też przepis ten winien mieć następującą treść:

Art. 89 ust. 4 — Obiekty sakralne i kościelne oraz klasztory i domy zakonne, które w dniu 1.09.1939 r. należały do instytucji kościelnych, podlegają zwrotowi na rzecz poprzednich właścicieli lub ich następców prawnych wyznaczonych przez władzę kościelną. Na terenie, gdzie obowiązują przepisy dekretu z 26.X.1945 r. (Dz.U.

Nr 50 poz. 279), będzie przyznane bezpłatne wieczyste użytkowanie gruntu; budynki zaś znajdujące się na tym gruncie podlegają zwrotowi.

## Z LISTU SEKRETARZA EPISKOPATU DO MARSZAŁKA SEJMU PRL Z 19.III.1985.

W związku z pracami Sejmu nad projektem ustawy o Trybunale Konstytucyjnym Episkopat Polski pragnie przedstawić swoje uwagi i wnioski z prośbą o uwzględnienie ich przy pracach nad ostatecznym kształtem tej ustawy.

Ustawa ta będzie, w odczuciu opinii społecznej, ważnym elementem zmierzającym do umacniania praworządności.

Na tle tego projektu rodzą się jednak konkretne uwagi. W szczególności dotyczy to prawa zgłaszania wniosków o stwierdzenie zgodności aktu ustawodawczego z Konstytucją lub innego aktu normatywnego z Konstytucją lub aktem ustawodawczym.

Brakiem tego projektu jest nieuwzględnienie prawa Kościoła katolickiego do występowania z wnioskami do Trybunału Konstytucyjnego, choć wiele ustaw i aktów normatywnych niższego rzędu albo dotyczy Kościoła w sposób bezpośredni, albo dotyka spraw, które leżą w żywotnych zainteresowaniach Kościoła katolickiego z racji pełnionej przez niego misji. Doświadczenie wskazuje, że na tle oceny wielu aktów prawnych i ich zgodności z Konstytucją i ustawami dochodziło do sytuacji konfliktowych. Zapewnienie Kościołowi katolickiemu prawa zgłaszania wniosków do Trybunału Konstytucyjnego mogłoby spowodować ograniczenie tych konfliktów.

W związku z tą konstatacją Episkopat Polski wnosi o odpowiednie uzupełnienie art. 18 omawianego projektu ustawy przez wymienienie wśród podmiotów uprawnionych do występowania z wnioskami o stwierdzenie zgodności aktu prawnego z Konstytucją albo innego aktu ustawodawczego z Konstytucją lub innym aktem ustawodawczym Kościoła Katolickiego. [...]

Ponadto wydaje się, że w art. 18 ust. 1, jako uprawnionych do składania wniosków, należałoby także wymienić posłów do Sejmu. Podniosłoby to ich społeczny autorytet. Wobec rezygnacji z przyznania tego uprawnienia obywatelom (*actio popularis*), wskazane byłoby stworzenie im możliwości przekazywania swych uwag poprzez posłów z ich okręgów.

Zasadniczą wątpliwość budzi art. 34 ust. 1 projektu ustawy. Dlaczego kontroli Trybunału Konstytucyjnego podlegać mają jedynie akty normatywne uchwalone po dniu 26 marca 1982 r., tj. po dniu wprowadzenia art. 33 w Konstytucji? Przecież w przepisach wcześniejszych, zwłaszcza aktach wykonawczych do ustaw, mogą też

## Z DOKUMENTÓW EPISKOPATU

zachodzić sprzeczności z Konstytucją. Czy nie grozi to powstaniem sytuacji, w której współstniałyby niejako dwa porządki prawne — ten sprzed 1982 r., z możliwymi aktami niekonstytucyjnymi, oraz ten stanowiący po 1982 r., zgodny z Konstytucją. [...]

Niezrozumiałe jest ponadto w świetle przepisów art. 24 ust. 2 oraz art. 26 ust. 2 projektu ustalenie składu Trybunału na 12 osób. Przecież przy rozstrzyganiu sprawy przez pełny skład Trybunału może wystąpić równość głosów, a ustawa nie przewiduje wyjścia z tej sytuacji.

### Z PISMA SEKRETARZA POMOCNICZEGO EPISKOPATU POLSKI KS. ALOJZEGO ORSZULIKA DO MINISTRA KULTURY I SZTUKI Z 2.IV.1985.

Sytuacja czasopism katolickich po jednostronnej decyzji władz administracyjnych o obniżeniu przydziału papieru o 20% stała się dramatyczna. Część czasopism, aby nie zmniejszać i tak niewielkich i nie zaspokajających popytu nakładów, została zmuszona do drastycznego obniżenia swej objętości. Inne ograniczają swą częstotliwość wydawania lub zmniejszają nakłady.

A dzieje się to w sytuacji, gdy nakłady czasopism katolickich i tak nie zaspokajają potrzeb. O ich wysokości bowiem decyduje Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk. *Wszystkie czasopisma katolickie stanowią 1,3% ilości czasopism wydawanych w naszym kraju, zaś papier zużywany do ich produkcji stanowi zaledwie 1,1% całości papieru przeznaczonego na prasę.*

W tych warunkach jednakowe potraktowanie przy ograniczeniu papieru wydawców czasopism katolickich nie może być uznawane za realizowanie zasady sprawiedliwego i równego traktowania wszystkich czasopism. Przydziały papieru nie są równe dla pism katolickich i wszystkich pozostałych. Ponadto znamy przykłady pism niekościelnych, które nie zostały dotknięte tymi restrykcjami. Wiemy też o przypadku zwiększania ich nakładów.

Pozornie równe ograniczenie przydziału papieru bez brania pod uwagę wysokości nakładów w zasięgu ich rozpowszechniania i sprzedaży nie jest sprawiedliwe. Godzi w pisma, które rozchodzą się w całości lub z niewielkimi zwrotami, podczas gdy wiele innych pism wysokonakładowych zalega kioski. Jak wskazują oficjalne statystyki, są pisma o dużej ilości zwrotów, czego nie można wcale powiedzieć o czasopismach katolickich.

Ponadto zmniejszenie przydziału papieru rodzi dodatkowe i tak już poważne trudności poligraficzne. Drukarniom np. nie opłaca się drukować niskonakładowej prasy. Otóż większość tytułów prasy

katolickiej jest właśnie niskonakładowa. Obniżenie przydziału papieru i zmniejszenie przez to nakładu utrudnia ich drukowanie. Choć kłopoty poligraficzne pism katolickich są bardzo poważne, to wnioski Kościoła o wydanie zezwoleń na zwiększenie czy na uruchomienie drukarni będących własnością Kościoła napotykały na trudności. Nieodparcie narzuca się zatem wrażenie, że władze są przeciwne konstruktywnemu rozwiązaniu tego problemu. [...]

Jednostronnych decyzji rządowych, drastycznie ograniczających i tak niewielką prasę katolicką, nie można — przy najlepszej woli z naszej strony — uznać ani za dążenie do porozumienia i partnerskiego traktowania wszystkich wydawców, ani za troskę o zaspokojenie potrzeb społeczności wierzących. Przeciwnie — jest to odstępstwo od zawartych ustaleń i porozumień. To zaś podważa wiarygodność oświadczeń władz. Opinia publiczna bowiem uzna te drastyczne ograniczenia za jeszcze jeden objaw nieliczenia się ze społecznymi potrzebami ludności. [...]

**PRO MEMORIA SEKRETARZA EPISKOPATU  
W SPRAWIE ARESZTOWANEGO CZESŁAWA BIELECKIEGO  
Z WARSZAWY  
WRĘCZONA W MSW 18.IV.1985.**

Załączając kopię prośby p. Anny Bieleckiej z 16 bm. skierowanej do Sekretarza Episkopatu, uprzejmie proszę o zainteresowanie się losem areштowanego w celu zabezpieczenia tego człowieka przed nieprawidłowościami śledztwa — biciem itd., co miało miejsce przy jego zatrzymaniu.

P. Anna Bielecka, jego była żona, w imieniu własnym i dzieci prosi o humanitarne traktowanie areштowanego. Nie ma on w Polsce nikogo bliskiego oprócz dzieci, z którymi utrzymuje kontakt i ma duży wpływ na ich wychowanie i rozwój. P. Bielecka żyje sama z dziećmi i na tym kontakcie ojca z chłopcami bardzo jej zależy.

Uprzejmie proszę Pana Ministra o powiadomienie, gdzie znajduje się areштowany, oraz o interwencję, by śledztwo było prowadzone zgodnie z zasadami humanitaryzmu.



## Obraz i słowo

Ryszard Przybylski

# ODNOWICIEL KOSMOSU

Znanemu nam obrazowi Fra Angelico *Zwiastowanie* (Kortona) towarzyszą przedziwnej urody predelle, spoczywające na mense, monolitowej płycie z marmuru lub piaskowca, która stanowi zasadniczy element ołtarza. Predelle podpierają retabulum, nastawę ołtarzową, ustawioną na mense w tylnej części ołtarza. Z reguły ozdabiano je płaskorzeźbami lub malowidłami. Na predellach z kościoła św. Dominika w Kortonie Fra Angelico namalował kilka małych obrazków. Znajduje się wśród nich *Ofiarowanie w Świątyni*, przedstawiające scenę spotkania Symeona z Mesjaszem.

Tym razem nie muszę się tłumaczyć z tego, że obraz jest dla mnie komentarzem do Ewangelii. Dominikanie, którzy pięknie współzawodniczyli z franciszkanami w pracy nad powrotem do źródeł chrześcijaństwa, uczynili z literatury i malarstwa dwa niezmiernie skuteczne środki kształtowania dusz ludzkich. Znakomity orator i pisarz tego okresu Giovanni Dominici (jego idee wyraźnie oddziaływały na Fra Angelico) nie traktował malowidła ani jako budującego przykładu, ani też jako umoralniającej ilustracji, lecz miał je za „formę” w znaczeniu tomistycznym, a więc za to, co konstytuuje byt w jego istocie.<sup>1</sup> Zakon nauczał, że obraz jest specyficznym i sobie tylko właściwym sposobem przenikania tajemnic religijnych, nie dającym się zastąpić przez refleksję filozoficzną, a nawet teologiczną. Obraz uobecniał zdarzenie. Fra Angelico, nieodrodny syn swego zakonu, przekształcał więc każdy swój fresk, każde swoje malowidło w kolorową teologię lub w wymalowaną hermeneutykę Ewangelii.

Wizja miejsca spotkania Symeona z Jezusem jest w *Ofiarowaniu* zupełnie niezwykła. Na pięknym fresku z San Marco we Florencji Brat Anielski umieścił to wydarzenie „gdzieś w przestrzeni”, na jednolitym tle, niegdyś podobno czerwonym. Tutaj odbywa się ono w kościele, który nieodparcie przypomina wspaniałe dzieła Filippo

Brunelleschiego. Struktura tej architektury każe myśleć o kościele San Lorenzo we Florencji, w którym widoczne jest bardzo wyraźnie stare założenie bazylikowe. Brak tylko tak charakterystycznych tam kaplic, umieszczonych nie tylko na tylnej ścianie prezbiterium, ale również wzdłuż naw.<sup>2</sup> Albowiem mury kościoła Brat Anielski przekształcił w płaszczyzny kolorystyczne. Pozostawił natomiast charakterystyczne dla Brunelleschiego kolumny, znane nam już ze *Zwiastowania*.

W takich wnętrzach modliła się ówczesna Italia. Ale nie doradzam ten zbyt jawny, wręcz ostentacyjny anachronizm tłumaczyć prostaczą naiwnością. Podobny, chociaż nie identyczny kościół chrześcijański wystąpił w funkcji Świątyni Heroda w obrazie *Ofiarowanie Jezusa* sienieńczyka Ambrogio Lorenzetti, namalowanym około setki lat wstecz. I w tamtym wypadku widz stoi twarzą do nawy bazyliki, podzielonej przez posegmentowane łuki na dwie części, sekcję przednią, która może być skrzyżowaniem chóru i transeptu, i sekcję tylną, która odpowiada chórowi w kościele starochrześcijańskim i przypomina miejsce Święte Świętych w Świątyni Jerozolimskiej.<sup>3</sup>

Jeśli więc zadowolimy się popularnym frazesem, że Quattrocento nie przestrzegało zasad historyzmu, że pod pretekstem tematu religijnego malowało italską rzeczywistość, zamknijmy sobie możliwość zrozumienia duchowości ówczesnych malarzy. Rzeczywista treść obrazu rozplynie się po prostu w mitach naukowych. Tylko religijne odczucie czasu pozwoliło Fra Angelico zobaczyć to spotkanie w świątyni, którą on sam, jego zgromadzenie zakonne, jego miasto i ojczyzna znały jak własną duszę. Ten kościół nie jest symbolem dawnej Świątyni Jerozolimskiej. Jest miejscem konkretnym i rzeczywistym, w którym odbywa się wydarzenie ewangeliczne. Zamykając je w swojskiej przestrzeni, Brat Anielski przeniósł je tym samym w swój czas. Skoro spotkanie odbywa się w znanym kościele, to znaczy, że nadal trwa, że Jezus i Symeon są obecni teraz i tutaj. Każde misterium dzieje się teraz i tutaj. Namalować zdarzenie ewangeliczne znaczy uobecnić je. Powtórzyć w swojej geograficznej i historycznej doczesności. Nie wątpię, że Fra Angelico był wykształcony i odczytany, ale nie wydaje mi się, aby obrazy swe traktował jako ilustracje tomistycznych spekulacji o „miejscu”. Myślę, że był pod wielkim urokiem misteriów, w pełni świadom metafizycznych walorów mistycznej czasoprzestrzeni jasełek. Były to w końcu czasy ludowego porywu religijnego.

Oglądamy tedy od strony narteksu, czyli z przedsionka poprzedzającego wejście, wewnątrz świątyni z nawą środkową oddzieloną od bocznych i niższych — kolumnami. Lekkie i smukłe kolumny mają kapitele korynckie i połączone są łukami arkadowymi. Jest to po prostu ulubiona przez Fra Angelico kolumnada Brunelleschiego, dźwigająca ciężar budowli, z tym, że „ciężarem tym nie jest, jak

w architekturze greckiej, belkowanie, ale zamykający przestrzeń mur, z którym artystycznie i statycznie związana jest kolumna".<sup>4</sup> Za kolumną znajduje się skrzyżowanie nawy głównej z poprzeczną, z transeptem, za którym widnieje wnętrze apsydy. Nie widzimy już belkowania w nawie głównej. Płaszczyzna obrazu, na którą Fra Angelico rzutował widok wnętrza świątyni, obejmuje całą szerokość, ale urywa się tuż ponad niskimi nawami bocznymi.

Wnętrze kościoła zostało ukazane w perspektywie. Kolumnady uciekają w głąb obrazu. Uzyskujemy więc wrażenie, że Fra Angelico przedstawił materialną doczesność. Ale oprócz pochwały doczesności perspektywa geometryczna, podobnie jak w *Zwiastowaniu*, spełnia konkretne zadanie kompozycyjne. Ciągnie wzrok do punktu, w którym zbiegają się rzuty na płaszczyźnie, kieruje „myślące oko” ku miejscu, w którym malarz umieścił decydujący dla wewnętrznej treści obrazu element. Artysta był pewien, że wcześniej czy później oko widza, zniewolone uciekającymi w głąb obrazu kolumnadami, zostanie pociągnięte ku *punto di fuga*, w którym ukryty jest mistyczny sens malowidła.

Zanim wszakże pozwolimy perspektywie zniewolić nasz wzrok, przyjrzyjmy się scenie, która rozgrywa się na pierwszym planie. Nawa główna, jak sama nazwa wskazuje, została zarezerwowana dla trzech głównych osób dramatu. Dwie pozostałe znalazły się w nawach bocznych. Nie jest to zupełnie ściśle, ponieważ obie te osoby najwyraźniej kierują się ku Jezusowi i tylko coś je zatrzymało na granicy, którą stanowi rząd kolumn. Józef znajduje się w lewej nawie pod pierwszym łukiem kolumnady. W analogicznym miejscu nawy prawej widzimy prorokinię Annę. Józef trzyma w ręku gołąbka. Wpatrzona w Jezusa Anna złożyła obie dłonie jak do modlitwy. Już teraz pragnie wygłosić swój hymn. Chociaż nieco oddzieleni, Józef i prorokini spontanicznie biorą również udział w spotkaniu.

W nawie głównej oglądamy właśnie jego kulminacyjny moment. Maryja przekazała Dziecię Symeonowi. Widać to z gestu Jej rąk, które niechętnie pozbyły się Syna. Symeon trzyma Go oburącz. „On jest obrazem Boga niewidzialnego” (Kol 1, 15). Zbliży swą brodatą twarz do twarzy Chłopczyka. Zastygł w geście miłości i szczęścia. Wokół wszystkich głów złocą się nimby. Nimb Jezusa ma krwisty znak krzyża. Maryja nie może tego nie widzieć, skoro my to widzimy. W taki sposób wyobraził Fra Angelico słowa św. Łukasza o mieczu, który przeszyje duszę Matki. Szaty wszystkich postaci bramowane są złotem. I tu została zachowana hierarchia, tak właściwa dla myślenia religijnego. Szaty Józefa i Anny zdobione są skromnie, Madonny — nieco bogaciej, Symeona — z ostentacyjną rozrzutnością. Ale w końcu to on spotyka się z Jezusem. Wygląda jak arcykapłan. Jest w całym tego słowa znaczeniu dostojny. Na jego szacie znajduje się jeden doprawdy niezwykły szczegół. Na przodzie wierzchniego

ozdobnego płaszcza Symeona, u samego dołu, znajduje się złożony napis.

Napis na obrazie pojawia się na ogół wówczas, kiedy zniecierpliwiony swoją milczącą sztuką malarz zaczyna upadać na duchu. Jest to znak dla widza. Nie możesz słowa usłyszeć, więc je zobaczysz. Ale tym razem, mimo sporego wysiłku, nic nie mogłem wyczytać i podniosłem głowę w przekonaniu, że jest to po prostu beztreściwa imitacja hebrajskiego napisu. Zastanowił mnie bowiem sposób, w jaki został umieszczony. Przede wszystkim nie „wybiega” z ust starca. W przywoływanym tu *Zwiastowaniu* napis „wybiega” z ust Gabriela trzema promieniami. Oto Słowo Boże przekazywane przez Posłańca — w akcji, w piorunującym działaniu. Mowa Symeona jest tylko modlitwą dziękczynną człowieka. Nie musi być promieniem światła. Jest tym, czym jest — wierszem. Złożony napis spada tedy w trzech liniach, równoległe do dolnego krańca szaty. Gdyby Fra Angelico respektował modelunek szaty, jej liczne fałdy, napis straciłby sens. Rozszarpały się przecież w umieszczone na różnych poziomach szeregi przypadkowych liter. Dlatego jest to zapewne tylko imitacja hebrajskiego napisu, zwracająca uwagę, że Symeon mówi. Każdy wie, co mówi Symeon.

Zdumiewające jest w tym obrazie światło. Fra Angelico zna dwa jego źródła, które skądinąd w stosunku do koloru pełnią identyczną funkcję. Jednym z nich jest „jasność niebieska”, drugim zaś — oświetlenie pochodzenia ziemskiego.<sup>5</sup> W *Ofiarowaniu* światło nadprzyrodzone pochodzi od małego Jezusa. Światło naturalne, „dienne”, pada z dwóch stron. Długie i słabsze — z lewej, krótkie i ostre — z prawej. Jak każdy wielki malarz, wypukłości i wklęsłości, miejsca bardziej oświetlone i mniej, cienie, a nawet odległości zaznaczał Fra Angelico przy pomocy koloru. Problem światła był dla niego problemem barw, które na małych predellach zachowały właściwą dla miniatur żywość. Nakrycie głowy Józefa jest intensywnie ultramarynowe, szata pod płaszczem Anny ciemnozielona. Ale są to kolory tak nasyczone, że wystarczy tylko cofnąć się dwa kroki, aby zamieniły się w dwie czarne plamy. Cały modelunek przestrzeni, brył i figur wydobył tedy malarz przez rozjaśnienie lub pogłębienie koloru.<sup>6</sup> Cienie są kolorowe i zależą od kontekstu. Nie przytłumiają, lecz pogłębiają kolor. Podobnie jak światło rozjaśnia go tylko, ale nie rozrzedza. „Prawdziwych” kolorów niektórych szat lub przedmiotów nie można w ogóle określić, ponieważ część z nich jest oświetlona, a część znajduje się w cieniu.

Na pierwszym planie w środku panuje jasność bijąca od Dziecięcia. Jest to najjaśniejszy punkt obrazu. „Światło przyszło na świat”, powie później Jezus w rozmowie z Nikodemem (J 3, 19). To nadprzyrodzone światło pada na pierś Symeona i ześlizguje się po przedniej stronie szaty starca, nadając jej kolor ni to jasnego cynobru,

ni to różu. Ten punkt jest szczególnie jasny, ponieważ pada na niego dodatkowo światło naturalne z lewej strony. Nie oświetlony tył szaty Symeona jest ciemnobrązowy. Tylko złote obramowania nie podlegają przemianie, wytrzymując ten skomasowany atak światła, oczywiście dlatego, że „funkcja złota w malarstwie jest szczególnego rodzaju, że jego użycie wyklucza realizm, imitacjonizm i przestrzenność, a nie zgadza się też logicznie ze światłocieniem”.<sup>7</sup> Jak zwykle u Fra Angelico, Maryja ma szatę koloru czerwonego, który symbolizuje ziemskość. Płaszcz okrywający tę odzież i głowę jest koloru nieba. Jako Matka Boga należy bowiem do dwóch sfer. Światło bijące od Jezusa przekształca te kolory w cynober i jasny błękit. Światło naturalne z lewej strony powoduje rozjaśnienie błękitu na prawym ramieniu. Jak starzec Symeon, Maryja znajduje się więc w sferze oddziaływania dwóch źródeł światła: nadprzyrodzonego i naturalnego. Józef i Anna stoją tylko w oświetleniu naturalnym. Padające z wysoka światło z lewej strony przekształca wypukłe części płaszcza Anny w błękit. Prorokini jest bliżej nieba. Czerwony kolor doczesności przesłania błękitną szatę Józefa.

Wszystkie kolory szat i murów świątyni ulegają w obrazie prawom perspektywy, nieubłagane rządzącej naszym widzeniem. Składając się z regularnie po sobie następujących odcinków przestrzeni, perspektywa pozwala światłu przechodzić jednostajnie od jednego odstępu do drugiego.<sup>8</sup> W miarę schematycznego skracania przez perspektywę trójwymiarowego *continuum* świątyni, ubywa światła. I wobec tego pogłębia się kolor. Wciągane w głąb oko zapada w coraz większy mrok. Jeszcze w głównej nawie, której nie objęło żadne ze źródeł światła, lewa ściana nad łukami jest ciemnobrązowa, chociaż nie tak ciemna jak ściana sąsiedniej nawy niższej. Prawa, oświetlona długim światłem, jest szaro-beżowa, chociaż z kolei też nie tak jasna jak ściana nawy sąsiedniej. Im bardziej w głąb, kolory nieubłagane ciemnieją. Oko mija łuk transeptu i jakiś kolisty przedmiot, którego nie udało mi się rozpoznać. Nie jest on źródłem światła i nie rozjaśnia głębi, toteż w transepcie, bardziej ścieśnionym przez perspektywę, obie ściany gwałtownie mrocznieją. Następnie oko mija łuk prowadzący do apsydy, zawadza o rąbek ultramarynowego sklepienia i ogarnia w końcu ciemnobrązową, aż do granic możliwości, ścianę zamykającą przestrzeń. Tu zatrzymuje się widzenie. I w tym miejscu, dokąd przybiegł zniewolony przez perspektywę wzrok, nastąpi odsłonięcie sensu spotkania Symeona z Jezusem.

Na ciemnej ścianie, nieco powyżej „horyzontu” wyznaczonego przez rzut planimetryczny, w punkcie zbiegu wszystkich rzutów znajduje się wymalowany emblemat. Jest to tondo, czyli obraz w kształcie koła, oprawione w złotą ramę. Całą płaszczyzną tonda wypełniają złote gwiazdy rzucone na niebieskie tło. Nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z emblematem kosmosu, umieszczonym

w miejscu, w którym w tego rodzaju bazylikach znajdował się ołtarz, oświetlony przez wybite w apsydzie okna. Tutaj emblemat został umieszczony w pustym mroku. Przywołuje on na myśl zasłoneżone Świątyni Jerozolimskiej, która przesłaniała Przybytek i na której — jak pamiętamy z opisu Józefa Flawiusza — „widniało wyobrażenie całego nieba”. Oko, które wyszło z najjaśniejszego punktu obrazu, od Jezusa spoczywającego na rękach Symeona, zniewolone przez perspektywę, dojrzało w końcu do symbolu wszechświata zamieszczonego prawem kontrastu w najciemniejszym miejscu obrazu. W ten sposób perspektywa połączyła nowo narodzone Dziecię z kosmosem.

Fra Angelico odsłonił więc w końcu ukryty sens wydarzenia ewangelicznego. Na spotkanie z Symeonem przybył do Świątyni Chrystus kosmiczny, Odnawiciel Wszechświata, który zszedł na ziemię po to, aby odkupić skażoną przez grzech pierworodny doczesność, aby przywrócić jej pierwotny czysty stan. Przyjście oczekiwanego przez Symeona Mesjasza oznacza początek przeistoczenia materii. „Bo — jak pisał Ireneusz — ani substancja, ani esencja stworzeń nie ulega zniszczeniu. «Przemija tylko postać świata» (1 Kor 7, 31). A potem będzie nowe niebo i nowa ziemia, na której człowiek będzie wiecznie przebywał w stałej obecności Boga”<sup>9</sup>. Spotkanie Symeona z Jezusem Fra Angelico zinterpretował w świetle chrystologii św. Jana Ewangelisty, według którego Chrystus-Logos zjawił się wśród stworzonego przez siebie świata, aby go odnowić. I w świetle hymnu chrystologicznego św. Pawła z Tarsu, w którym czytamy, że Mesjasz zapoczątkował proces totalnej transfiguracji kosmosu (Kol 1, 15-20). Spotkanie z Jezusem zaczęło się w Świątyni Jerozolimskiej, ale skończy się — w tajemnej otchłani wszechświata, na szlakach między gwiazdami i słońcem.

Ryszard PRZYBYLSKI

## PRZYPISY

1. Giulio Carlo ARGAN, *Fra Angelico*. Traduit de l'italien par Rosa Blanca Skira-Venturi. Genewa 1955, s. 14.
2. Max DVORAK, *Brunelleschi*. W: Max Dvorak i jego teoria dziejów sztuki. Wyboru dokonał i posłowiem opatrzył Lech Kalinowski. Warszawa 1974, s. 314.
3. Erwin PANOFSKY, *Renaissance and Renascences in Western Art*. Uppsala 1965, s. 140-142.

4. Max DVORAK, *Brunelleschi*, dz. cyt., s. 315.
5. Galienne FRANCASTEL, *Du Byzantin à Renaissance*, Paryż 1955, s. 112.
6. Por. rozważania na temat koloru w *Quattrocento* u Marii RZEPIŃSKIEJ, *Historia koloru...*, tom I s. 167-168.
7. Maria RZEPIŃSKA, dz. cyt., s. 173.
8. Giulio CARLO ARGAN, dz. cyt. s. 22.
9. ŚW. IRENEUSZ, *Adversus haereses* 36, 1. Cyt. za George A. MALONEY, *Chrystus kosmiczny od Pawła do Teilharda*. Przetłóżył Tadeusz Mieszkowski. Warszawa 1972, s. 105.

## Janusz St. Pasierb

### peregrynacja wtóra do ziemi świętej

olbrzymia muzyka pomiędzy niebem i morzem  
w słuchawkach stereo kanał szósty  
airbus Alitalii jest nieomal pusty  
Słońce pasie spokojnie białoróżowe baranki swoje  
i ani łódki ani wyspy w dole  
gdy tak pielgrzymuję z Karajanem w uszach  
w dwie i pół godziny  
— tyle się zmieniło od Sierotki do Pasierba —  
z rzymskiej do żydowskiej Jerozolimy  
Miedzianoskóra stewardessa z twarzą jak Minerwa  
ma przedłużone jasnym błękitem oczy  
i jest rodzajem dwuznacznego cheruba  
W gazetach jak zwykle głupota i zgroza  
Bóg nad tym wszystkim *over all that jazz*  
Ten który wybrał mały skrawek ziemi  
dokąd — Janusz jak Jonasz — w brzuchu srebrnej ryby  
płynę niepewny swojego wzruszenia

### modlitwa

Abrahamie idący z Ur ku dalekiemu Miastu  
Mojżesz, który przeszedłeś czterdzieści płonących lat  
Między rozpaczą ludzi a twardą miłością Boga  
patriarchowie ciągnący przez pustynie do obietnicy módlcie się za  
nami  
byśmy przetrwali Massa i Meriba  
i nie pokochali spokojnej niewoli

### opoka in gallicantu

oto  
jak mięknie opoka  
prosty twardy rybak  
jeden z tych  
na których toporną odporność  
nie zmięczoną przez intelekt



liczymy w Kościele  
wypiera się wszystkiego  
nie zna tego człowieka  
dopiero  
banalne pianie koguta  
zapobiega klęsce  
opoka mięknie  
raz jeszcze  
spływają po niej  
miękkie ludzkie łzy

### **to pokolenie**

może i dla nas nie będzie świątyni  
nie odbudujemy jej w pradawnym blasku tylko staniemy u jej fundamentów  
które w oczach obcych będą murem płaczu  
a dla nas będą jak skała przetrwania

### **obudź się harfo**

obudź się harfo i cytro  
młode silne palce  
chcą z ciebie wydobyć psalm

jest ich dwóch  
złotowłosy który gra  
i ciemny król  
i jest trzeci jeszcze ciemniejszy:  
zły duch

Dawid uderza w struny  
a Saul podnosi oszczep  
obudź się harfo

jest wojenne przedwiośnie  
po polowaniu w getcie odjechali Niemcy  
zostało kilka trupów na drewnianym wozie  
widzę z boku jedno nagie ramię  
sztywne palce poruszają się  
bo dotykają szprych  
jak strun

po tylu latach  
obudź się

## **Zakirchale**

gdybym zapomniał o was  
lwy i palmy wpisane  
między żyto i sosny na piaszczystych wzgórkach

gdybym zapomniał ciebie  
małopolskie Jeruzalem  
w złocie i balsamach łubinów

nagrobki kapłanów  
gdzie błogosławieństwo  
stało się gestem rozpaczy  
ich dłonie zastaniają pomniki jak twarze

złamane jest drzewo życia  
pozostały wiotkie menory  
dzikie kopru

gdybym zapomniał ciebie  
małopolskie Jeruzalem  
i twoje zabijane na ulicach  
pozbawione grobu dzieci  
niech będzie zapomniana  
moja ręka prawa

hebrajskie litery  
rozsypane w trawie  
przypominajcie Bogu  
dawne obietnice

*Janusz St. PASIERB*

## Książki

Jan Makowski

### ZŁE DZIEDZICTWO

Książkę Jana Dobraczyńskiego zatytułowaną *Dzieci Anny* odkłada się, po skończonej lekturze, z dużym niesmakiem. Nie jest to ani interesujący utwór literacki, który swymi walorami estetycznymi byłby skłonny zachwycić czytelnika, ani ciekawa powieść polityczna o współczesności, ani dzieło wybitnego współczesnego myśliciela. Trudno znaleźć odpowiedź nie tylko na pytanie, dlaczego Instytut Wydawniczy PAX zmarnował dobrej jakości papier na druk tej pozycji w nakładzie 20 tysięcy egzemplarzy, ale również dlaczego książka ta stosunkowo szybko przestała zalegać półki księgarskie i znalazła czytelników.

Jeśli spojrzeć na *Dzieci Anny* jako na utwór artystyczny, dzieło literackie, to po przeczytaniu kilku pierwszych rozdziałów bez trudu można dojść do wniosku, że jest to sprawnie napisana powieść popularna, adresowana do masowego czytelnika. Język utworu jest żywy i gładki, potok słów i zdań nie żąda od odbiorcy refleksji, chwili zastanowienia. W warstwie językowej *Dzieci Anny*są powieścią „przezroczystą”, nie stawiają żadnych pytań, nie wymagają od czytelnika jakiegokolwiek pracy intelektualnej. Książkę czyta się łatwo, sensacyjna — miejscami — akcja trzyma w napięciu. Powieść Dobraczyńskiego bezbłędnie trafia w oczekiwania niewyrobionego odbiorcy, którego religijność jest płytka i zwyczajowa, znajomość historii najnowszej znikoma, a świadomość statyczna i inercyjna. Autor nie rozbija utartych nawyków myślowych, a raczej je pogłębia; zamiast propozycji świeżych sądów o współczesności — potwierdza stereotypy, zamiast nowej wyobraźni, otwierającej nowe horyzonty refleksji, prezentuje styl myślenia ciasny, pielęgnuje i ochrania pustkę duchową.

Również tradycyjny, zbliżony do XIX-wiecznej powieści realistycznej sposób prowadzenia narracji nie jest zbyt skomplikowany: pozycję, jaką zajmuje narrator wobec świata wyłaniającego się z jego

opowieści, charakteryzuje dystans, choć nie brak aprobaty dla przekonania ideowych bohaterów. Wreszcie sama fabuła nie stanowi nazbyt oryginalnej konstrukcji — układ zdarzeń w świecie przedstawionym w powieści ma związki przyczynowo-skutkowe oraz związki wpływające z następstwa w czasie poszczególnych zdarzeń.

Akcja powieści *Dzieci Anny* obejmuje blisko czterdzieści lat — rozpoczyna się w kilka tygodni po wyzwoleniu spod okupacji niemieckiej w 1945 roku, a kończy w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Osia kompozycyjną całości jest biografia głównej bohaterki, żony nieżyjącego już działacza Narodowej Demokracji — Anny. Główne wątki powieści dotyczą dziejów rodziny Anny, a właściwie losów syna Andrzeja i wnuczki Ani. Warto zwrócić uwagę na nieadekwatność tytułu, który winien brzmieć „Syn Anny”, gdyż o innych dzieciach bohaterki (to jest o dwóch synach, z których jeden ożeniony z Angielką został na emigracji, drugi zaś wrócił do kraju dopiero po wydarzeniach 1956 r.) posiadamy bardzo skąpe informacje i dowiadujemy się o nich tylko z migawkowych wzmianek. Dobraczyński uchylił się od nakreślenia pełnego portretu rodziny, nie przedstawił wszystkich skomplikowanych niuansów życia, a szkoda, gdyż powieść zyskałaby wówczas pod względem i artystycznym, i merytorycznym.

Przyjrzyjmy się pokrótce trzem biografiami: Anny, Andrzeja, i Ani. Anna jest osobą o wielkiej kulturze wewnętrznej, głębokiej wierze w Boga i ufności w działanie modlitwy. Reprezentuje religijność dość stereotypową, nieco sentymentalną; z pokorą znosi wszystkie ciosy, jakie na nią przychodzą (niekiedy sprawia wrażenie osoby zagubionej w nowoczesnym świecie, jakby nie orientowała się, gdzie leży geneza tych smutnych doświadczeń): więzienie syna, ucieczka z domu wnuczki, tragiczne przygody syna podczas licznych wojaży zagranicznych. Nie bardzo potrafi odnaleźć się w tak zmieniającym, w porównaniu z czasami jej młodości, świecie, w którym nastąpiła totalna dewaluacja wartości i norm. Od strony artystycznej postać Anny jest nakreślona najrzęczniejszą spośród wszystkich bohaterów powieści, jej sylwetka wydaje się najbardziej przemyślana i wiarygodna psychologicznie.

Andrzej po klęsce powstania warszawskiego, podczas którego stracił żonę i matkę swojej córki, dostał się do niewoli niemieckiej. Po oswobodzeniu przez alianatów pozostał na Zachodzie, rozważa, co dalej robić. Odebrawszy list od matki z kraju postanawia wrócić do Polski i zająć się wychowaniem dorastającej córki. W jakiś czas po przyjeździe zostaje aresztowany przez UB, kilka lat siedzi w więzieniu. Po wyjściu i uniewinnieniu otrzymuje pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych na stanowisku radcy kulturalnego. Dużo jeździ po świecie, podczas jednej z podróży do Włoch omyłkowo dostaje się w ręce terrorystów, którzy grożą mu zabiciem. W sobie tylko znany

sposób potrafi godzić katolicyzm ze służbą na wysokim szczeblu w ministerstwie komunistycznego rządu.

Ania — dziewczyna bardzo zdolna, ucząca się na samych piątkach, nie umiejąca nawiązać kontaktu ani z babką, ani z ojcem, praktycznie nie mająca rodziców. Postanawia uciec z domu rodzinnego, a potem z Polski z pierwszym, pokochanym mężczyzną. Przez wiele lat nie daje znaku życia, wreszcie wraca do mieszkania ojca w chwili śmierci babki w habicie siostry zakonnej ze zgromadzenia, które pomaga księżom w prowadzeniu misji.

Ten z konieczności bardzo pobieżny przegląd, dość banalnych przecieży, biografii głównych bohaterów ukazuje osnowę problemową powieści. Książka opowiadając o najnowszej historii Polski musi być — do pewnego przynajmniej stopnia — powieścią polityczną. Patrząc z tej perspektywy na *Dzieci Anny*, warto spostrzec, jakie wydarzenia i daty są w niej całkowicie pominięte: październik 1956, Millenium Chrztu w 1966, marzec 1968, grudzień 1970, czerwiec 1976. Wprowadził natomiast Dobraczyński do rozmowy Andrzeja z przełożonym z Ministerstwa 75 rocznicę urodzin Prymasa Wyszyńskiego. Krótki cytat z powieści nie tylko ukazuje stylistykę rozmowy, ale zorientuje nas w propagandowym charakterze przypomnienia tego nie najważniejszego przecieży zdarzenia w najnowszych dziejach Polski: „Naciskali na Pawła VI (kto naciskał? Wiemy że nie rząd. Więc kto? — JM), aby rezygnację przyjął i zabrał Wyszyńskiego do Rzymu. Muszę ci powiedzieć, że wielu naszych towarzyszy działało także w tym kierunku. Sądziło, że byłoby dobrze się go pozbyć, bo z innym będzie łatwiej. Ostrzegałem, że to niestudzkie, że Prymas jaki jest, taki jest, ale na temat spraw polskich zawsze można się z nim dogadać. Papież jednak nie przyjął jego rezygnacji, powiedział, że ma zostać na swym stanowisku, póki będzie potrzebny Kościołowi”.

Powieść Jana Dobraczyńskiego może nie byłaby warta omówienia na tych łamach, gdyby nie niebezpieczeństwa ideowe, jakie niesie w sobie ten utwór dla niedoświadczonego czytelnika. Dzieło Dobraczyńskiego jest szkodziwe z kilku co najmniej powodów. Jest utworem pisarza uchodzącego w opinii publicznej za literata katolickiego (który, *nota bene*, ma w swoim dorobku książki bezsprzecznie wartościowe — na przykład *Listy Nikodema*), jest utworem opublikowanym przez oficynę wydającą sporo wartościowej literatury teologicznej i religijnej; słowem, dla niezorientowanego czytelnika *Dzieci Anny* mają wszelkie dane, by stać się lekturą obowiązkową, klasyką prozy katolickiej. Nie wszyscy czytelnicy zwrócą uwagę na rażąco niekatolicką wymowę powieści, na z gruntu fałszywą wizję świata w niej proponowaną.

Nacjonalistyczna przeszłość Dobraczyńskiego i odebrana przez niego w młodości formacja ideowa wyżyłobiła w jego umyśle koleiny oraz utarła schematy myślowe do tego stopnia, że nie jest on w stanie

patrzeć na świat inaczej niż tylko przez ich pryzmat. Obraz świata redukuje jedynie do tych zjawisk, które jest w stanie przyswoić, a na cokolwiek nowego jego wyobraźnia jest całkowicie zamknięta. W powieści nie ma ani śladu jakiegokolwiek pracy intelektualnej, jakiejs oryginalnej walki myślowej, są natomiast upowszechniane, z uporem lepszej sprawy, nacjonalistyczne fobie i przesady historioficzne, których zresztą Dobraczyński nie usiłuje uzasadniać.

Na czoło wysuwa się obecny na każdej niemal stronie książki antysemityzm oraz spiskowa teoria społeczeństwa. Znamienne, że Żydzi pojawiają się na kartach powieści wyłącznie w rolach negatywnych. Oficer prowadzący przesłuchanie na UB „leżał rozwalony na fotelu z nogami założonymi na krzesło. Rozpięta do pasa koszula odkrywała obrośniętą pierś. Nad spoconym czołem i nad obejmującymi gruby nos okularami miał *zwinięte w pierścionki włosy*” (podkr. moje — JM). Kolega z MSZ — Gubowicz („Przeraziłbyś się, gdybyś wiedział, co on już w życiu robił. I *Gubowiczem to on nie był* zawsze. Ale właśnie dlatego chciałbym, abyś ty wszedł do tej pracy. Gubowicze są nam potrzebni, aby ruszyć maszynę. Potem obejdziemy się bez nich. Spławimy ich.”) przedstawiał bardzo swoistą wizję reklamy polskiej kultury za granicą, która miała polegać na proponowaniu cudzoziemcom wódki oraz urody polskich dziewcząt. Po kilku miesiącach wyjechał do Tel Aviv. Spotkany podczas podróży do Belgii francuski ksiądz o nazwisku Wienberg jest progresistą i wygłaska na kartach powieści następujące sądy: „Skończył się czas kościołów pełnych kwiatów, świętych obrazków... Kończy się czas wiary... [...] Nikt nie będzie walczył o nierozzerwalność małżeństwa, przeciwko prawu do ograniczania potomstwa, do przerywania ciąży, do pozamałżeńskiego życia seksualnego, do miłości między ludźmi tej samej płci...” Wreszcie istny mafiozo Kilman, szpieg amerykański czy niemiecki związany z rozgłośnią Radia Wolna Europa, wszechpotężny mason, który za wszelką cenę chce zwerbować Andrzeja do współpracy z obcym wywiadem. Jak na krótką, liczącą niecałe 250 stronic druk powieść, grupa złych Żydów całkiem pokaźna. Jeśli do tego dodać powtarzane, co jakiś czas, dialogi na temat masonerii, to nie ulega wątpliwości, że Dobraczyński pragnie lansować i zaszczepić czytelnikom antysemityzm i spiskową teorię społeczeństwa, która głosi, że światem manipulują i rządzą określone grupy ludzi (na przykład masoni, Żydzi, jacy agenci etc.). Według tej teorii na kształt rzeczywistości nie mają wpływu takie czynniki, jak ruchy społeczne i polityczne, obyczaje, prądy umysłowe. „Wyznawca tej teorii — słusznie pisał Stefan Wilkanowicz — nie wierzy w autentyczność i spontaniczność życia społecznego, wszędzie wietrzy spisek i manipulację. Twierdząc, że na przykład «Żydzi rządzą światem» (albo nim subtelnie manipulują), nawet nie pyta, jacy Żydzi, bo nie bierze pod uwagę ich ogromnego zróżnicowania ani realnych możliwości w zestawieniu

z innymi manipulantom. Jest to pogląd niezwykle wygodny, zwalnia od umyślowego wysiłku i moralnych wątpliwości. Wyraźnie wskazuje wroga, który pełni obowiązki kozła ofiarnego i poniekąd dyspensuje od rachunku sumienia". Warto też przypomnieć, że w świetle soborowej *Deklaracji o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich (Nostra aetate)* antysemityzm nie da się pogodzić z katolicyzmem. Haniebny jest dla polskiej kultury fakt, że Jan Dobraczyński — w sobie tylko znany sposób — te dwie kwestie łączy.

Inną tezę historiozoficzną, jaką pragnie wśród swoich czytelników upowszechnić Dobraczyński, jest olbrzymia sympatia dla Wschodu, a szczególnie dla Rosji, i wielką nienawiść do Europy Zachodniej. Andrzej — więzień polityczny okresu stalinowskiego — wbrew jakiegokolwiek logice (chyba że będziemy podzielać stanowisko Dobraczyńskiego, iż więzienie, w jakim siedział bohater jego książki, było żydowskie, a nie stalinowskie — sic!) jest zachwycony Syberią, którą zwiedza przy okazji pobytu służbowego w ZSRR. Spotyka tam samych życzliwych, sympatycznych ludzi, którzy pomagają mu rozszyfrować tajemniczą zagadkę rodzinną, odziedziczoną po pradziadku-zesłańcu. Podobnie gdy nadarza się okazja obejrzenia Wilna, Andrzej chodzi po ulicach tego miasta, zwiedza te kościoły, które nie zostały zamknięte, wspomina lata wczesnej młodości spędzone w okolicach Wilna. Jego podziw pozbawiony refleksji graniczy z dość prostacką prapagandą.

Zupełnie inny jest stosunek Andrzeja do Zachodu — tam tkwi irracjonalne zło, zepsucie moralne, jest to świat mroczny i dziki. Zachód kojarzy się ze złymi chwilami w biografii Andrzeja. Do Austrii wyjeżdża — i ślad po niej ginie na kilkanaście lat — jedyna córka, dla której wrócił do kraju, której chciał poświęcić swoje życie. W rozmaitych miastach Europy Zachodniej prześladowuje go mafiozo Kilman i pragnie przekabacić go do współpracy. Podczas pobytu w Wenecji Andrzej dostaje się w ręce terrorystów, którzy chcą go zabić. Słowem, wszystko, co zachodnie, zostało przedstawione w powieści w jak najgorszym świetle.

Dobraczyński w *Dzieciach Anny* proponuje postawę integrystyczną, która charakteryzuje się ciasną ortodoksyjnością, fideizmem i sentymentalizmem. Mentalność ta kształtuje umysłowości zamknięte, ciasne nieufne wobec prawd głoszonych z innych pozycji ideowych, naturalnie poza marksizmem, nieufne do wszystkiego co nowe, nieznanne, nieoswojone. Nie można na formację tę patrzeć przychylnie ani z pobłażaniem. Tego typu książki nie tylko nie służą pogłębieniu życia duchowego czytelników, ale wprowadzają ich w błąd, ukazują nieprawdziwy obraz najnowszej historii. Stanowią

rakowatą narośli na tkance zdrowej kultury narodowej, odbierają suwerenność duchową i niepodległość myśli.

Jan DOBRACZYŃSKI, *Dzieci Anny*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1983, str.243.

Jan MAKOWSKI



Jan Król

## NIEDOBÓR W GOSPODARCE

Dyskusja o polskiej gospodarce jest dość intensywna, ale również robi wrażenie kręcenia się wokół własnego ogona. Momentami można mieć dość ciągłych rozważań o stanie zaopatrzenia rynku, o budownictwie mieszkaniowym, o strukturze gospodarki, o płacach, cenach, wydajności pracy, zatrudnieniu, eksporcie, imporcie itd. Ostatnio doszedł jeszcze jeden ważny temat do dyskusji — o zagrożeniu środowiska naturalnego ze strony przemysłu. Zwykli obywatele jak i menadżerowie gospodarki zadają sobie pytania, czy kiedyś znikną lub zmniejszą się kolejki po towary, czy poprawi się ich jakość, czy zwiększy się dostęp do usług, czy zniesiona zostanie reglamentacja i rozdzielnictwo. Denerwują ich, gdyż są nieprzekonywujące, wszelkie wskaźniki wzrostu w sytuacji, gdy nie jest odczuwana poprawa zaopatrzenia rynku, a przedsiębiorstwa ciągle borykają się z kłopotami surowcowymi, energetycznymi, ludzkimi itp.

Ostatnio dzięki Państwowemu Wydawnictwu Ekonomicznemu owa dyskusja została istotnie wzbogacona przez wydanie znakomitej książki wybitnego ekonomisty węgierskiego Janosa Kornaia zatytułowanej *Niedobór w gospodarce*.<sup>1</sup> Po raz pierwszy książka ta została wydana w 1980 roku w wersji angielskiej przez North-Holland Publishing Company pod tytułem *Economics of Shortage*. Jest ona plonem wykładów prowadzonych przez Kornaia w latach 1976—1977 w Szwecji.

Autor w beznamytnym wywodzie prowadzonym na bez mała osmiuset stronicach swojej pracy próbuje uogólnić dotychczasowe, wybrane doświadczenia gospodarki poszczególnych europejskich państw socjalistycznych, z wyjątkiem ZSRR i Jugosławii jako nieporównywalnych z pozostałymi. Najwięcej korzysta z doświadczeń węgierskich, co jest zrozumiałe, gdy się weźmie pod uwagę narodowość autora i jego znajomość gospodarki Węgier. Pojęcia „gospodarka socjalistyczna” używa w znaczeniu abstrakcyjnego modelu gospodarki socjalistycznej rzeczywiście funkcjonującego w Europie wschodniej.

Uwagę swoją koncentruje na funkcjonowaniu sektora państwowego, z pominięciem spółdzielczego i prywatnego, co niewątpliwie zuboża książkę, ale z drugiej strony czyni ją bardziej przejrzystą. Rzetelność pracy Kornaia polega na tym, że wolna jest ona od doktrynerskich przesądzeń oraz pozbawiona tonu postulatycznego, życzeniowego czy apologetycznego. Autor stosuje styl opisowy i nie daje bezpośrednich propozycji polityce gospodarczej. Dzięki temu książka zawiera duże walory poznawcze. Pozwala czytelnikowi zrozumieć wiele zjawisk gospodarczych, których — obserwując je na co dzień — nie potrafi sobie wytłumaczyć.

Kornai odchodzi od tradycyjnego celowościowego odróżnienia gospodarki socjalistycznej od kapitalistycznej. W tamtym rozumieniu za cel tej pierwszej uważa się „maksymalne zaspokojenie potrzeb ludzkich”, a za cel drugiej maksymalizację zysku. Staje natomiast na stanowisku, że „funkcjonowanie klasycznej firmy kapitalistycznej jest zasadniczo ograniczone przez wielkość popytu, natomiast tradycyjnej firmy socjalistycznej przez wielkość zasobów”<sup>2</sup> (str. 48). I ten punkt widzenia stanowi główny wątek całej książki. Przez jego pryzmat opisuje produkcję, sprzedaż, inwestycje, siłę roboczą, pieniądź, ceny, płace. Uważa, że cechą gospodarki socjalistycznej jest chroniczny niedobór zarówno czynników produkcji, jak i wyrobów gotowych. Niedobór — jego zdaniem — nie jest objawem kryzysu i nie ma charakteru przejściowego, lecz jest normalnym stanem gospodarki ograniczonej przez wielkość zasobów. Wzrost produkcji i konsumpcji, który występuje w krajach socjalistycznych, nie oznacza likwidacji niedoboru w wielu sektorach. Likwidacja niedoboru w jednym sektorze powoduje zwiększenie lub powstanie niedoboru w innym. „Niedobór nie jest również konsekwencją gospodarczego zacofania kraju” (str. 623).

Co jest — zdaniem J. Kornaia — przyczyną permanentnego niedoboru?

Otóż wśród przyczyn tego stanu rzeczy wymienia:

- pęd do ekspansji,
- głód inwestycyjny,
- import ograniczony przez zdolności eksportowe oraz polityczne i gospodarcze tolerancje dla granic zadłużenia,
- eksport,
- pogoń za ilością i towarzysząca mu skłonność do gromadzenia zapasów,
- bezpłatne świadczenia,

przy czym za najważniejszą przyczynę niedoboru uznaje „głód inwestycyjny”. „W gospodarce socjalistycznej — pisze J. Kornai — nie ma takiej firmy czy instytucji, które nie chciałyby inwestować. Nie istnieje tu stan nasycenia. Głód inwestycji jest zjawiskiem permanentnym” (str. 262). Tak jak dla gospodarki kapitalistycznej odpowiedź

na pytanie — inwestować czy nie inwestować — jest jednym z poważniejszych dylematów, tak tego rodzaju wahania nie są znane w zarządzaniu gospodarką socjalistyczną. Ciągłe przekraczanie zakładanego poziomu inwestycji oraz tak zwane inwestycje pozaplanowe powodują ciągły niedobór na rynku dóbr inwestycyjnych. A jeden niedobór pociąga za sobą następny. Zakłęte koło chronicznego niedoboru kręci się. Autor zapoznaje czytelnika z czterema głównymi postaciami niedoboru i wymienia:

1. „Niedobór pionowy”, gdy zasoby, dobra lub usługi rozdzielane są w drodze administracyjnej, a suma zgłoszeń przekracza ilość będącą w dyspozycji rozdzielającego.

2. „Niedobór poziomy”, gdy zasoby lub usługi są sprzedawane nabywcy przez sprzedawcę za pieniądze, a podaż nie pokrywa popytu nabywców.

3. Niedobór powstały w sytuacji, gdy przedsiębiorstwo lub instytucja świadcząca usługi bezpłatnie nie ma wystarczających mocy do zrealizowania swojego planu.

4. Niedobór występujący wskutek tego, że społeczne zdolności wytwórcze są w pełni wykorzystane, a kontynuowanie i rozszerzanie produkcji powoduje gwałtowny wzrost krańcowych kosztów społecznych.

Wymienione postacie niedoboru są jego bezpośrednimi objawami, ale oprócz tego występuje wiele skutków pośrednich. Szereg instytucji i ludzi przystosowuje się do działalności w warunkach niedoboru. „To stałe dostosowywanie się do niedoboru pociąga za sobą nerwowość, zamieszanie i napięcie” (str. 66). Pojawia się brak zainteresowania w podniesieniu jakości produkowanych wyrobów. Niedobór jest traktowany przez autora jako zjawisko trwałe, wręcz jako atrybut gospodarki socjalistycznej. Zagadnieniem osobno analizowanym przez Kornaia jest niedobór siły roboczej w miarę intensyfikacji metod gospodarowania. Stopa zatrudnienia w gospodarce socjalistycznej jest o wiele wyższa niż w gospodarce kapitalistycznej. Wynika to z zasady ustrojowej mówiącej o likwidacji bezrobocia w socjalizmie. Doceniając tę zasadę nie należy gubić z pola widzenia faktu, że często prowadzi ona do „bezrobocia w miejscu pracy”. Powodowane jest ono złą organizacją pracy, rozluźnieniem dyscypliny, pogorszeniem jakości pracy, zmniejszeniem pracowitości robotników. To z kolei tworzy niedobór pracowników pogłębiany niejednokrotnie błędnym wyborem techniki produkcji oraz tym, że formy regulacji płac nie pobudzają do oszczędnego stosowania siły roboczej.

Cała książka podzielona jest na dwie części. W pierwszej omówione jest zagadnienie niedoboru w ujęciu rzeczowym, ilościowym, pozbawionym wyrazu wartościowego. W części drugiej wprowadzone

zostały do analizy nieodboru ceny. Daje to o wiele pełniejszy obraz zagadnienia.

Ceny i ich wzajemna relacja nie odgrywają zdaniem Kornaia istotnej roli w gospodarce socjalistycznej. Wpływ cen jest prawie w całości tłumiony przez: słabość motywacji ekonomicznej, możliwość przrzucenia ciężaru rosnących kosztów na nabywców oraz dużą intensywność niedoboru. Poziom produkcji firmy socjalistycznej nie jest regulowany przez cenę. Nie wielkość produkcji dostosowuje się do ceny, ale znacznie częściej cena dostosowuje się do wysokich kosztów, jakie pociąga za sobą duża produkcja. „Rentowność nie jest dla firmy sprawą życia i śmierci” (str. 455) i nie ma wpływu na decyzje inwestycyjne. „Gospodarka socjalistyczna nie ma «wbudowanego» mechanizmu, który zapewniałby stabilność cen. Przeciwnie «wbudowane» mechanizmy i działające w firmach bodźce pracują na korzyść inflacji cen i kosztów” (str. 494). Ceny w gospodarce socjalistycznej są, według Kornaia, rezultatem centralnej polityki cen i zabiegów przedsiębiorstw. Firma socjalistyczna ma tendencję do podwyższania cen w wyniku wzrostu kosztów, jak i w wyniku gotowości zapłacenia przez nabywcę wyższej ceny. Tak więc struktura cen nie jest przyczyną występującego niedoboru w gospodarce socjalistycznej, który, jak wcześniej wskazano, posiada inne przyczyny.

Podobnie jak cena wobec produkcji, tak płaca wobec siły roboczej odgrywa niewielką rolę. Nie płaca wyznacza podaż i popyt siły roboczej, lecz na odwrót. Płaca wpływa ewentualnie na wybór zawodu i miejsce pracy. Występujący niedobór siły roboczej uruchamia mechanizm dryfowania płac nakręcający inflację. Tak więc stabilność poziomu cen zależy w dużej mierze od tego, czy przy formułowaniu polityki płac istnieje dostatecznie silny opór wobec nacisku na wzrost płac. Ale kto ma ten opór stawiać, gdy, jak pisze Kornai, „dyrektorzy firm i instytucji, jak również urzędnicy z niższych i średnich szczebli organów państwa, występują w negocjacjach dotyczących płac prowadzonych z władzami zwierzchnimi jak gdyby w roli przedstawicieli związków zawodowych, a nie pracodawców” (str. 532).

Tak więc pieniądź nie odgrywa aktywnej roli w gospodarce socjalistycznej, co jest najbardziej widoczne poprzez analizę roli cen i płac. Pieniądź bowiem jest wówczas aktywny, „jeżeli faktyczne postępowanie podmiotu podejmującego decyzje zależy od ilości pieniądza, jaką ten podmiot dysponuje” (str. 670), a pieniądź jest trudno osiągalny, ograniczenie budżetowe jest ostre. W warunkach omawianych gospodarek rosnący popyt na pieniądź jest zaspokajany przez wzrost jego podaży odbywający się bez większego oporu. Wielce interesującym wątkiem omawianej książki, rzadko jak dotąd podejmowanym, jest zagadnienie społecznych korzyści i społecznych

kosztów pojawiających się przy wzrastającym wykorzystaniu zdolności wytwórczych.

Autor zwraca uwagę na to, że wzrost produkcji osiągany w wyniku zwiększenia stopnia wykorzystania mocy wytwórczych posiada swoje strony dodatnie i ujemne. Jednostronna stawka na wzrost prowadzi często do zwiększonej wypadkowości, mało wydajnej pracy na nocnej zmianie, wymuszonej nierzadko podmianie surowców i materiałów obniżających jakość wyrobów, gorszą dbałość o maszyny i urządzenia, zanieczyszczenie środowiska naturalnego itp. Rosną także koszty utrzymania aparatu państwowego przy wzrastających napięciach gospodarczych. Jednym słowem, „nie wolno zawsze dążyć wszelkim kosztem do osiągnięcia maksymalnego wykorzystania społecznych zdolności wytwórczych. Nie warto tego osiągać, jeżeli — przy zbliżaniu się do pełnego wykorzystania zdolności wytwórczych — społeczny koszt krańcowy właśnie przewyższa społeczną korzyść krańcową” (str. 382).

Z punktu widzenia obecnych polskich problemów istotne jest, jak wygląda relacja pomiędzy reformą gospodarki Węgier, a zjawiskiem niedoboru. Otóż Kornai stwierdza, że w wyniku reformy polegającej na odejściu od dyrektywnego planu centralnego ograniczenia ze strony zasobów występują nadal, chociaż w mniejszym stopniu. Również prawie zupełna reglamentacja materiałów nie wyeliminowała problemów, jakie stwarza typ gospodarki ograniczonej przez wielkość zasobów oraz chroniczne odtwarzanie się niedoboru.

W końcowej partii książki J. Kornai stawia kropkę nad „i”. Pisze mianowicie, że „główne wytłumaczenie chronicznego niedoboru tkwi w warunkach instytucjonalnych i w regułach postępowania, do których warunki te prowadzą. W zestawieniu z tym polityka wzrostu prowadzona przez kierownictwo gospodarcze jest drugorzędnym czynnikiem wyjaśniającym; jej rola sprowadza się do wzmocnienia lub osłabienia czynników pierwotnych” (str. 726). Tak więc w ujęciu Kornai nie decyduje rząd czy plan gospodarczy wprowadza presję inwestycyjną, niedobór siły roboczej, wzrost cen, ograniczoność zasobów, ale mechanizm organicznie wkomponowany w system gospodarki socjalistycznej.

Zasygnalizowane wątki tej ważnej pracy Kornai nie wyczerpują bogactwa jej treści. Ale nie idzie o streszczanie książki, tylko o próbę wydobycia z niej głównego tematu. Można odczuć także niedosyt, gdyż autor abstrahuje od kontekstu politycznego, który mocno rzutuje na takie, a nie inne mechanizmy gospodarki socjalistycznej. Czytelnik chciałby również mieć przybliżone metody i propozycje zaradzenia chronicznemu niedoborowi i jego skutkom w poziomie życia, sposobach dystrybucji, podejściu do pracy. J. Kornai koncentruje się jednak na opisie zjawiska niedoboru podnosząc go w istocie

do rangi prawa ekonomiki socjalistycznej. Czyni to po mistrzowsku posiłkując się również metodami matematycznymi. Lektura pracy Kornai'a pozwala lepiej, głębiej i więcej zrozumieć szczególnie wówczas, gdy rzetelną odpowiedź na wiele problemów o gospodarce socjalistycznej próbuje zastąpić się frazeologią, pogonią za spekulantom, zwiększoną liczbą kontroli, falą zarządzeń i przepisów, niechęcią obcych państw do współpracy. Zwraca uwagę na właściwe przyczyny szeregu kłopotów i anomalii gospodarki socjalistycznej, których usunięcie nie jest możliwe przez próbę likwidacji skutków bez sięgnięcia do ich źródeł. Pokazuje też pośrednio, że cechy poszczególnych społeczeństw i ich tradycja w mniejszym stopniu wpływają na poziom i sposób gospodarowania niż to niejednokrotnie próbuje udowodnić się w Polsce. Zresztą porównanie gospoderek tych samych narodów funkcjonujących w różnych systemach polityczno-gospodarczych ukazuje, jak silny wpływ posiadają uwarunkowania systemowe.

- 
1. J. KORNAI — *Niedobór w gospodarce*, WE 1985, str. 822.
  2. Wszystkie cytaty pochodzą z omawianej książki.

Jan KRÓL

WYBÓR W GOSPODARSTWIE

do rangi prawa ekonomicznego społeczeństwa. Czyż to po prostu...  
pozostaje się również metodami matematycznymi. Ciekawość...  
Każda postać jest... i wtedy...  
tak, gdy...  
styczna...  
związki...  
obecny...  
szczęść...  
ustanowić...

**Jerzy Kłoczowski**

## **WAŻNY KROK NAPRZÓD W POZNANIU PRZESZŁOŚCI ZWIĄZKÓW RELIGIJNYCH POLSKI I FRANCJI**

Tom studiów poświęconych związkom religijnym Polski i Francji od średniowiecza po rok 1939 stanowi trwały rezultat bardzo udanego kolokwium odbytego na ten właśnie temat jesienią 1981 roku w Lille, z udziałem prawie stu najlepszych specjalistów-historyków z obu krajów; w pracach wzięło też udział kilku historyków belgijskich.<sup>(\*)</sup> W założeniu chodziło o skupienie uwagi na kilku wielkich zagadnieniach: Polska i Francja w chrześcijaństwie schyłku wieków średnich, okres wielkich reform religijnych XVI wieku, Oświecenie i katastrofy polityczne — rozbiory i wielka rewolucja — spotkanie polsko-francuskie w ramach Romantyzmu religijnego, dwa katolicyzmy patriotyczne wobec przemian zmieniającego się świata przełomu XIX i XX wieku, Kościoły w okresie międzywojennym w Europie powsalskiej oraz problem mniejszości religijnych we Francji i Polsce w tym okresie. Ustalając z profesorem Yves Marie Hilaire z Lille program naszych debat, opuściliśmy świadomie jakże ważny skądinąd okres II wojny. Był on między innymi przedmiotem obrad międzynarodowego kongresu Commission Internationale d'Histoire Ecclésiastique Comparée w Warszawie w 1978 r., ze szczególnym żywym udziałem historyków francuskich i polskich; opasły tom materiałów i rozpraw, jaki się

---

(\*) Les contacts religieux franco-polonais du Moyen-Age à nos jours : relations, influences, images d'un pays vu par l'autre. Colloque international organisé par le C.N.R.S., Greco n° 2 et le Centre Interdisciplinaire d'Etudes des Relations de l'Université de Lille III, Lille, 5-7 octobre 1981. Editions du Dialogue, avec la participation du Centre National de la Recherche Scientifique, Paris 1985, str.646. Dołączono do tomu, jako osobny tomik — według notatki na odwrocie karty tytułowej, t.II akt kolokwium: Gaston Bordet, La Pologne, Lamennais et ses amis 1830-1834, Paris 1985, wydawnictwo jak wyżej.

ostatnio ukazał w Louvain na temat Kościołów w Europie okupowanej przez III Rzeszę, stanowi ważki rezultat prac kongresu w serii *Miscellanea Historiae Ecclesiasticae* — t.IX, trzy inne tomy tej serii wydawniczej poświęcone są też kongresowi warszawskiemu 1978 r.

Kolokwium w Lille mieści się w szerszych ramach bardzo żywej, w ostatnich latach, współpracy historyków polskich i francuskich, na polu badań społeczno-religijnych. We Francji badania takie rozwinęły się, w obecnej generacji, niezwykle wręcz dynamicznie, ale i w Polsce poczyniliśmy pewne postępy, umożliwiające owocną współpracę międzynarodową, przede wszystkim w ramach wymienionej już wyżej Międzynarodowej Komisji Historii Porównawczej Kościołów.

W Lille chodziło przede wszystkim o możliwie wszechstronną dyskusję wokół materiałów wcześniej przygotowanych. Każde posiedzenie otwierał dwugłos historyka polskiego i francuskiego; następnie odbywała się dyskusja „okrągłego stołu”, w gronie najlepszych znawców danego zagadnienia, i wreszcie, na końcu dyskusja generalna. Tom drukowany zachowuje tak przyjęty porządek. W obrębie sześciu wielkich tematów — rozdziałów, odnajdujemy szereg komunikatów, a dalej streszczenia zagajęń „okrągłego stołu”, dyskusji i wreszcie konkluzji, w ujęciu przewodniczących każdego posiedzenia. Komunikaty, bardzo różnych rozmiarów, nie zawsze trzymają się ściśle tematu danego posiedzenia, czasem odbiegają od niego daleko. Są jednak ważne dla sprawy związków polsko-francuskich, jak chociażby komunikat-artykuł Michela Rouche z hipotezą dotyczącą Polski i Akwitanii w X wieku, o istotnym znaczeniu dla toczącej się od dawna dyskusji wokół postaci pierwszego biskupa polskiego Jordana i jego misji. Jeden z głosów na temat „La Pologne, Lamennais et ses amis 1830-1834” Gaston Bordet, rozróż się do takich rozmiarów, że trzeba go było wydrukować w postaci osobnego tomiku. Przynosi on, między innymi, wyniki najnowszych prac francuskich uwypuklających silne znaczenie sprawy polskiej dla Lamennais i jego przyjaciół.

Redakcja różnorodnego materiału wymagała szczególnie wielkiego wysiłku ze strony naszych francuskich przyjaciół i wydawnictwa pallytyńskiego Editions du Dialogue, które z wielką troską zadbało o nadanie całości ostatecznego kształtu. Wspomnieć trzeba szczególnie redakcyjny wkład dwóch osób, Paule Lerou z CNRS i Danuty Szumskiej z Editions du Dialogue.

Bogactwo zebranych na prawie 800 stronach materiałów i dyskusji jest tak duże i wielorakie, że nie sposób w krótkiej notatce dać obraz osiągniętych rezultatów, czy też rysujących się wyraźnych perspektyw przyszłych badań. Nasi francuscy przyjaciele uświadomili sobie lepiej fakt istnienia, chociażby tylko w Bibliotece Polskiej w Paryżu, bogatych materiałów do historii religijnych związków



polsko-francuskich, zbyt mało dotąd przez nich wykorzystywanych. Wyraźnie zarysowała się troska o wyjście poza ramy chrześcijaństwa i uwzględnienie, w małych zresztą wymiarach, między innymi, ważnej historii Żydów w jej fundamentalnych aspektach społeczno-religijnych. Wychodzą też często w wypowiedziach poza Francję i Polskę, ukazując rolę innych krajów, jak np. Stolicy Apostolskiej. Ważną sprawą było wykazywanie tak bardzo wielu spraw wspólnych dla katolickiej Francji i Polski z Litwą, jak i ich odmienności, rozstanie w poszczególnych okresach. Mówiono o elitach, gdyż związki obu krajów od XVIII wieku były i pozostały dotąd szczególnie silne, ale także nie zapomniano o sprawach religijności „ludowej”, w szerokim tego słowa znaczeniu. Nie brakło polemik i ostrych nawet kontrowersji, w tekście pisanym już na ogół bardziej wygładzonych aniżeli w spontanicznych wypowiedziach ustnych. Spotykały się ze sobą, bardzo różne czasem, punkty widzenia, i to niezależnie od narodowości dyskutantów i sprawy postaw religijnych badanych przez nas ludzi, sprawy znaczenia także podstaw dla ich postępowania i kultury, nie są łatwym przedmiotem badania i zawsze wymagają wielkiej ostrożności. O taką ostrożność zwłaszcza w sądach uogólniających apelowano wielokrotnie w naszych debatach. Uczestnicy kolokwium w Lille zgodnie podkreślili jego ważność, teraz publikowane akta kolokwium podejmują swą rolę, wolno wyrazić nadzieję, nie tylko informującą, ale także inspirującą w stosunku do następnych badań

*Jerzy KŁOCZOWSKI*

## REAKCJE EPISKOPATU FRANCUSKIEGO PO UKAZANIU SIĘ WYŻEJ OMÓWIONEJ PUBLIKACJI

« Votre délicate prévenance ne me surprend pas, mais elle me touche profondément. Je vous remercie beaucoup. Je suis émerveillé de l'immense travail que vous venez de réaliser. Je lirai ces pages avec beaucoup d'intérêt ».

*François Cardinal MARTY*

« Merci de l'envoi des deux dernières publications des Éditions du Dialogue sur les rapports entre la France et la Pologne. Vous aviez eu l'amabilité de m'envoyer déjà le manuscrit de l'une d'entre elles. Vous savez mon soutien et ma prière fervente pour toute la nation polonaise ».

*Jean-Marie Cardinal LUSTIGER*

« Combien je vous remercie pour ce magnifique envoi ! Je n'ai plus actuellement beaucoup de force de lecture, mais en prenant le temps, je me propose bien de dévorer presque tout de ces deux volumes. Je ne sais qui me vaut l'honneur de votre envoi, mais sans que je sois aucunement un spécialiste, je me suis d'une part intéressé depuis longtemps au cas de Lamennais, et depuis une dizaine d'années à celui de Mickiewicz. J'ai alors fréquenté quelque temps la bibliothèque polonaise de l'Île St Louis, où l'on m'a reçu avec une grande serviabilité. Maintenant, sur mes vieux jours, je pourrai grâce à vous me reposer en compagnie de la Pologne catholique. Soyez bien vivement remercié ».

*Henri Cardinal de LUBAC SJ*

« (...) un témoignage extraordinaire de l'amitié séculaire qui lie nos deux peuples et de la mystérieuse affinité qui a toujours attiré l'une vers l'autre les cultures françaises et polonaises, issues de la même racine catholique ».

*Paul Cardinal POUPARD*

« Comment vous remercier pour votre précieux envoi ? Je viens de parcourir cette somme impressionnante d'études si variées sur les relations spirituelles entre la France et la Pologne, du Moyen Age à nos jours. Ce colloque international, dont vous avez su publier toutes ses savantes contributions, témoigne d'une démarche originale pour une meilleure connaissance de nos deux pays. Votre livre fait l'honneur à vos Éditions du Dialogue. Je puis vous assurer que certains de ces chapitres seront l'objet d'une lecture attentive, ainsi que l'étude de Gaston Bordet sur la Pologne et Lamennais ».

*Roger Cardinal ETCHEGARAY*

« J'ai été très touché de recevoir vos deux livres, hommage de votre maison d'éditions et de votre Congrégation. Je vous en remercie vivement et lirai avec beaucoup d'intérêt le récit des relations spirituelles entre la France et la Pologne, alors que, comme vous le dites, l'Église de Pologne et le peuple polonais se trouvent actuellement dans une nouvelle épreuve ».

*Robert COFFY,*

*Archévêque de Marseille*

« Lorsque grâce à vous j'ai été accueilli en Pologne, j'ai mesuré à quel point ces relations étaient anciennes et étroites. Le témoignage courageux que continuent de donner aujourd'hui les Polonais, de la foi ancestrale, solide et éprouvée, est pour la nôtre un soutien et un stimulant. Puissent ces deux ouvrages renforcer les liens qui existent entre l'Eglise qui est en Pologne et celle qui est en France ! »

*André ROUSSET,  
L'Évêque de Pontoise*

« Je vous remercie beaucoup pour les deux volumes si importants que vous avez la délicate attention de me faire parvenir. Ils m'intéresseront d'autant plus qu'il s'agit du Colloque de Lille. Et vous savez mes liens — même héréditaires — avec votre patrie. Je n'ai jamais oublié notre pèlerinage commun ».

*Jean VILNET,  
L'Évêque de Lille,  
Président de la Conférence de l'Episcopat français*

« Soyez de tout cœur remercié des ouvrages que vous avez eu la délicate attention de me faire parvenir. Les rapports historiques, culturels et spirituels entre notre pays et la Pologne, sont encore plus profonds qu'on ne le pense. En ces temps d'hibernation de la liberté, notre solidarité se doit d'être toujours en éveil. De tout cœur votre ! »

*Paul-Joseph SCHMITT,  
L'Évêque de Metz*

« Merci de m'avoir adressé les deux ouvrages si évocateurs : témoignages irréfutables des liens profonds et si anciens qui unissent nos patries, mais témoignage aussi que la Pologne s'est toujours montrée plus forte que les destins contraires et a triomphé au long des siècles de ceux qui menaçaient son âme et son identité propres... C'est un gage d'espérance au sein des jours sombres que votre patrie traverse une fois de plus. Croyez-moi très proche de vous tous dans la pensée et la prière ».

*Daniel PEZERIL,  
Évêque Auxiliaire de Paris*

« J'ai bien reçu votre livre dernièrement, édité par les Pères Pallottins. Vous abordez un des sujets que le grand public ne connaît guère, et pourtant ils permettront de mieux connaître cette page de l'histoire de l'Eglise à un moment où le peuple polonais a plus particulièrement besoin de notre soutien et de notre prière ».

*Jacques DESPIERRE,  
L'Évêque de Carcassonne*

## Dialogi

# AWERSJA CZY COŚ WIĘCEJ

Skąd właściwie bierze się postawa, skłaniająca przy każdej nadarzającej się okazji, do podnoszenia nieuzasadnionych zarzutów przeciw Kościołowi w Polsce? Większość wspomnianych zarzutów wysuwana była w stosunku do ewentualnych przyszyłych kroków Kościoła. Sugerowano ich możliwą szkodliwość dla niezależności społeczeństwa w kraju. Potem zaś, gdy domniemane szkodliwe kroki Kościoła nie następowały, nie odwoływano wcześniejszych zarzutów i ostrzeżeń i rosła legenda o ugodowości Episkopatu, Prymasa, a nawet Ojca Świętego.

Od pięciu już lat, skądinąd zasłużony dla piśmiennictwa polskiego Instytut Literacki w Paryżu, prowadził w swym piśmie „Kultura” zaciętą kampanię przeciw Kościołowi w Polsce. W społeczeństwie pluralistycznym, jakim chcemy być, krytyka byłaby rzeczą normalną, gdyby opierała się na faktach, a nie na pomówieniach. Odwołujemy się do przykładów z trzech kolejnych numerów pisma. W „Obserwatorium” z 6/1985 numeru „Kultury” czytamy: „Od 13 grudnia 1981 każde brutalne uderzenie w działalność niezależną idzie w parze z koncesjami dla Kościoła, a przynajmniej — z czasowym wyciszeniem antykościelnej kampanii propagandowej. Obecnie dzieje się tak samo. Nie sposób nawet wykluczyć, że zrobi się niebawem jakiś gest, na przykład wyrazi wreszcie zgodę na Kościelny Fundusz Pomocy dla Rolnictwa...”

Najważniejszym celem panujących w PRL strategów jest teraz wygranie wyborów do Sejmu... I w imię tego celu władza może poczynić jakieś ustępstwa, zresztą bardziej pozorowane niż rzeczywiste na rzecz Kościoła lub środowisk katolickich”.

Tymczasem w kraju trwa od procesu toruńskiego, z małymi przerwami, kampania przeciw Kościołowi w Polsce. Zmieniają się tylko jej akcenty i preteksty. Charakterystyczna była fala ataków na Ojca Świętego z okazji sprzeciwu Stolicy Apostolskiej wobec „teologii wyzwolenia” w wydaniu marksistowskim. Potem zarzucano Kościołowi upolitycznienie kazań, wystąpienia w świątyniach ludzi

świeckich, pozytywne dla „Solidarności” akcenty w czasie pielgrzymek. Władze zdają się zupełnie nie rozumieć, że idee ożywiające w latach legalnego istnienia „Solidarności” ruch dziewięciomilionowy, nie znikają z dnia na dzień, po ustawie rozwiązującej niezależny związek zawodowy. Można ten związek poddawać krytyce, ale nie sposób nie liczyć się ze skutkami jego istnienia w świadomości narodowej Polaków. W świątyniach zaś, poza sporadycznymi wypadkami nieroztropności, panuje duch miłości chrześcijańskiej, sprzyjający autentycznemu pojednaniu społecznemu.

Antykościelne przemówienie przedwyborcze Mieczysława F. Rakowskiego i inne podobne akcenty w środkach przekazu stanowiły odwrotność chęci pojednania. Na spokojne przypomnienie profetycznej i krytycznej funkcji Kościoła zareagowano serią ostrych polemik i niesmacznych napaści na Jerzego Turowicza; nie wspomniamy tu szerzej stałej profesjonalnej akcji antykościelnej „Argumentów” i publikacji im podobnych. Nikt natomiast nie mógłby wskazać, jakie to koncesje otrzymał Kościół, zwłaszcza z okazji wyborów.

Jeśli zaś idzie o Fundację Rolniczą, której losy zasługują na osobne omówienie, to od początku nie była ona pomyślana jako instytucja kościelna. Była po prostu wyrazem pragnienia Kościoła pomocy dla rolników i całego społeczeństwa. Powszechnie wiadomo, że władze ideę tę praktycznie utraciły.

Już na wiele miesięcy przed wyborami do Sejmu było wiadomo, że Kościół, wierny swej zasadzie dystansu do wszelkiej świeckiej polityki, nie będzie rekomendował na posłów żadnych działaczy katolickich. Wiedziała o tym także „Kultura”. Do bojkotu wyborów Kościół naturalnie nie wzywał, bo do ścisłej polityki nie miesza się, a chcąc nadal pełnić w społeczeństwie funkcje mediacyjne, jeśli będzie to tylko możliwe, z założenia nie daje nikomu pouczeń politycznych, mając — jak powiedział Ksiądz Prymas Glemp — pełne zaufanie do mądrości społeczeństwa.

Zapytajmy więc po prostu, czy było rzeczą uczciwą suponowanie, że Kościół miał uzyskać jakieś koncesje wyborcze, a gdy to się nie sprawdziło, niesprostowanie własnych błędnych przypuszczeń i informacji. I skąd w ogóle brały się owe dziwne przypuszczenia, że Kościół wezwie do głosowania w wyborach, skoro nigdy w czterdziestoleciu tego nie czynił, a tylko po przełomie październikowym zezwolił w dniu wyborów w styczniu 1957 roku na taki porządek nabożeństw, by nie kolidowały one z zamiarami tych, którzy zechcą głosować. Przypomnijmy, że był to okres, w którym „Kultura” serio myślała, że otrzyma debiet w kraju i chciała z niego skorzystać. Kościół wtedy zaś był również ostrożny i powściągliwy, a później już się w ogóle do spraw wyborów sejmowych nie ustosunkowywał. Tak samo było w czasie ostatnich wyborów. Uczciwość nakazywałaby odwołać pochopne zarzuty.

W następnym 7—8/1985 numerze „Kultura” drukuje „Notatki z Polski (styczeń—kwiecień 1985)”, w których zaprzecza sama sobie, pisząc: „W pierwszych miesiącach roku 1985 władza — ... z nowym impetem zabrała się do realizowania «normalizacji». Przystąpiła do ataku od razu na trzech frontach: przeciw Kościołowi, opozycji i całemu społeczeństwu.

Kampania antykościelna, rozpoczęta podczas procesu toruńskiego, nie została przerwana po wyroku na mordercach księdza Popiełuszki. Nie poprzestano na atakach prasowych, coraz ostrzejszych, przypominających w stylistyce okres stalinowski, wymierzonych we wszystkie hierarchie, łącznie z Papieżem”.

Analogia z okresem stalinowskim stanowi przesadę. Charakterystyczne jest natomiast, jak bardzo różni się redakcyjna wypowiedź pisma z czerwca 1985 od korespondencji z kraju ogłoszonej miesiąc później. Jednakże Redakcja nie zechciała wyciągnąć wniosków z własnych „pomyłek” i w kolejnym „Obserwatorium” w 9/1985 numerze pisma posuwa się do następnego pomówienia, że Kościół poddaje się naciskom, czego dowodem miało być spotkanie generała Jaruzelskiego z Prymasem Glempem. A przecież nastąpiło ono po kilkunastomiesięcznej przerwie, Prymas Polski nie dał na nim żadnych zobowiązań wyborczych, a rutynowe spotkania są koniecznością dla dwóch tak odmiennych instytucji jak państwo i Kościół w Polsce. „Kultura” zaś sugerowała, że na Kościół wywierano presję, „by papież przysjał przed wyborami generała Jaruzelskiego”. Nie wiemy, jak było z presją, ale samo przypuszczenie, że Papież mógłby dać się użyć jako narzędzie kampanii wyborczej, uwłacza Ojcu Świętemu.

W tym samym numerze „Kultury” redaktor pisma kieruje do działacza podziemia słowa, że podobno generał Jaruzelski proponował Prymasowi Glemptowi kilkadziesiąt mandatów poselskich, dodając: „i wygląda, że kandydatów nie zabraknie”. Wiemy już dawno, że kandydatów zabrakło, zaś idea kilkudziesięciu posłów niezależnych nie miała nic wspólnego ani z Kościołem, ani nawet z rządem. Wyszła ona z Sejmu, z grona posłów, którzy do ostatnich wyborów wystawieni nie zostali, a widocznie mieli na to ochotę. Ale insynuację przyklejono Kościołowi i Księdzu Prymasowi.

W kołach katolickich w kraju stawiane jest pytanie, czy kampania „Kultury”, której próbki przedstawiliśmy, jest tylko awersją, czy też czymś więcej? Kościół nie ma żadnych ambicji politycznych. Prasa kościelna w kraju piła o tym wielokrotnie. O cóż więc chodzi? Komunistom nie udało się dokonać poważniejszego wyłomu w Kościele w całym okresie powojennym, czyżby dziś zależało na tym komu innemu? Czy też ktoś dąży do poróżnienia Kościoła z polską opinią niezależną i wolnościową? Czy wreszcie chodzi o intencję, skłaniającą do narzucenia jednej i spornej koncepcji strategii narodowej? Wszelki monopol myślowy i ideowy stanowi jednak

całkowite przeciwieństwo zasad demokratycznych. Jakiegokolwiek byłyby intencje zagranicznej kampanii antykościelnej, nie może ona powieść się. Kościół był przez cały okres powojenny z narodem i pozostaje z nim nadal. Jest to linia generalna Episkopatu Polski.

Nie wszystkie ośrodki zagraniczne i krajowe nieprzyjazne Kościołowi chcą to dostrzec. Tym bardziej z satysfakcją należy powitać głos krajowego działacza opozycji w grudniowym numerze „Kultury” z 1985 roku. Wśród akcentów polemicznych publikacji tej znajdujemy sformułowania, w których Autor wyraźnie stara się być obiektywny: „Bez moralnego chociażby wsparcia Kościoła wpływ polskiej opozycji na życie społeczne kraju nie byłby dużo większy nad to, co dzieje się w krajach ościennych.”...

„Próba zrozumienia dalekosiężnej polityki Kościoła jest niezwykle ważna również dla oceny sytuacji obecnej. Działania Kościoła muszą być szczególnie ostrożne. Dąży on do zachowania pełni własnej tożsamości nie chcąc jednocześnie zamykać dróg pertraktacji z rządem. Zerwanie linii negocjacyjnej doprowadziłoby do nieobliczalnych następstw. Prowadząc rozmowy przedstawiciele Episkopatu wywierają pewien łagodzący wpływ na politykę władz, chroniąc podstawowe wartości i broniąc ludzi przed represjami.”...

„Z drugiej strony zdarzają się co pewien czas ataki na hierarchię kościelną za zachowawczą politykę, za zbytne ustępstwa wobec władz. Czuje się tu mniej lub bardziej jasno wyrażane żądanie, by Kościół nie tylko otwarcie poparł opozycję, lecz wręcz stanął na jej czele. Powstaje tu nie tak znów niejasne przypuszczenie, że ci, którzy pragną, by Kościół załatwił za nich pracę i polityczną, i związkową, to ci sami, którzy przy innych okazjach rozpaczają nad klerikalizacją życia społecznego. A więc dobrze, gdy my wymagamy od Kościoła, źle, gdy Kościół wymaga od nas. Dziwne”.

Przytoczone opinie świadczą nie tylko o obiektywizmie Autora. Chcemy widzieć w nich przejaw głębszego zrozumienia sytuacji i roli Kościoła w ostatnich latach, a zwłaszcza po zabójstwie Ks. Jerzego Popiełuszki. W następnym numerze naszego pisma wrócimy do tej problematyki w obszerniejszym artykule pt. „Władza i religia”. Chwilowo kwitujemy zacytowane opinie jako początek rozumnego dialogu między przedstawicielami odmiennych orientacji w opinii polskiej. Proponujemy taki właśnie dialog w miejsce nieuzasadnionych pomówień, oskarżeń i łowienia słów i incydentów, podważających prestiż Kościoła w społeczeństwie.

A.M.

EDITIONS DU DIALOGUE, WYDAWNICTWO KSIĘŻY  
PALLOTYNÓW W PARYŻU, W RAMACH KOLEKCJI „ZNAKI  
CZASU” OPUBLIKOWAŁO DOTYCHCZAS NASTĘPUJĄCE  
POZYCJE:

1. *Poczta Ojca Malachiasza*, tom pierwszy.
2. *Poczta Ojca Malachiasza*, tom drugi.
3. MICHEL LELONG, *O dialog z niewierzącymi*.
4. ROBERT COFFY, *Bóg niewierzących*.
5. KARL RAHNER, *Kiedy się modlisz...*
6. RENÉ LE TROCQUER, *Kim jestem ja — człowiek?*
7. KARDYNAŁ GARRONE, *Orientacje Soboru*.
8. ÉTIENNE BORNE, *Bóg nie umarł*.
9. PAUL CHAUCHARD, *Nauka i wiara*.
10. MARIE-DOMINIQUE CHENU, *Teologia materii*.
11. RENÉ COSTE, *Ewangelia i polityka*.
12. HENRI DE LUBAC, *Ateizm i sens człowieka*.
13. JOSEPH MÖLLER, *Człowiek w świecie*.
14. ARCYBISKUP KOMINEK, *Kościół po Soborze*.
15. JOSEPH PIEPPER, *Śmierć i nieśmiertelność*.
16. HENRI DE LUBAC, *Na drogach Bożych*.
17. CHRISTOPHER BUTLER, *Teologia Soboru*.
18. ALBERT GELIN, *Pismo święte o człowieku*.
19. CHRISTOPHER BUTLER, *Dlaczego Chrystus?*
20. HANS URS VON BALTHASAR, *Kim jest chrześcijanin?*
21. ANDRÉ FROSSARD, *Spotkałem Boga*.
22. A.M. BESNARD, *Myśli o modlitwie*.
23. YVES RAGUIN S.J., *Drogi kontemplacji*.
24. *Edyta Stein*, *filozof i karmelitanka*.
25. J.F. SIX, *Karol de Foucauld*.
26. BRAT ROGER, przeor Taizé, *Walka ludzi pokoju*.
27. KLEMENS BROCKMÖLLER, *Cywilizacja przemysłowa i religia*.
28. PIERRE TALEC, *Wierzyć dzisiaj*.
29. MICHEL QUOIST, *Chrystus zawsze żyje*.
30. CHRISTIAN DUQUOC, *Jezus Chrystus*.
31. HANS URS VON BALTHASAR, *Duch chrześcijański*.



32. KARL RAHNER, *Wierzę w Jezusa Chrystusa.*
33. FERNAND GUIMET, *Istnienie i wieczność.*
34. C.H. DODD, *Założyciel chrześcijaństwa.*
35. WOLFHART PANNENBERG, *Kim jest człowiek?*
36. BERNARD BASSET, *Zacznijmy znów modlić się.*
37. KARDYNAŁ K. WOJTYŁA, *Znak sprzeciwu.*
38. MARCEL NEUSCH, *U źródeł współczesnego ateizmu.*
39. FERDINAND KRENZER, *Taka jest nasza wiara.*
40. PIERRE TALEC, *Bóg przychodzi z przyszłości.*
41. FRANÇOIS VARILLON, *Pokora Boga.*
42. STEFAN KARDYNAŁ WYSZYŃSKI, *Zapiski więzienne.*
43. JANUSZ ST. PASIERB, *Światło i sól.*
44. ANDRÉ FROSSARD, *Credo.*
45. JERZY ABLEWICZ, *Będziecie moimi świadkami.*
46. ANDRZEJ ZUBERBIER, *Wierzę.*
47. PAUL TILLICH, *Męstwo bycia.*
48. MARTIN BUBER, *Opowieści rabina Nachmana.*
49. JEAN VANIER, *Wspólnota miejscem radości i przebaczenia.*
50. JÓZEF TISCHNER, *Polska jest Ojczyzną.*

Ostatnie tomy kolekcji są jeszcze do nabycia w administracji Wydawnictwa.

#### W PRZYGOTOWANIU:

51. ANDRZEJ MICEWSKI, *Kościół wobec „Solidarności” i stanu wojennego.*
52. RYSZARD PRZYBYLSKI, *Homilie na ewangelię dzieciństwa.*
53. Ks BISKUP ALFONS NOSSOL, *Teologia bliższa życiu.*

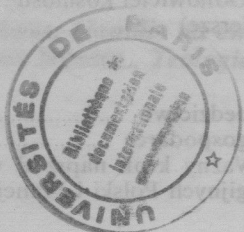
## SPIS TREŚCI

---

ZNAKI CZASU (od Redakcji) .....	5
Opierać się na Magisterium Kościoła. Wywiad z Prymasem Polski .....	11
Dr Erhard Busek, Sąsiedztwo bez wspólnej granicy .....	17
Ks. Michał CZAJKOWSKI, „Wyjdź z twej ziemi rodzinnej” .....	22
Z DZIEJÓW KULTURY POLSKIEJ	
Wacław BOROWY, z Dziennika .....	29
HISTORIA NAJNOWSZA	
Ludwik DORN, Czas „Solidarności”; ludzie — idee — pro- gramy .....	44
Andrzej MICEWSKI, Tradycje historyczne katolicyzmu polskiego .....	76
DANE O STANIE ŚRODOWISKA NATURALNEGO POLSKI .....	112
Z DOKUMENTÓW KONFERENCJI EPISKOPATU POL- SKI .....	134
OBRAZ I SŁOWO	
Ryszard PRZYBYLSKI, Odnowiciel kosmosu .....	146
Janusz St. PASIERB, (Wiersze) .....	153
KSIĄŻKI	
Jan MAKOWSKI, Złe dziedzictwo .....	156
Jan KRÓL, Niedobór w gospodarce .....	162
Jerzy KŁOCZOWSKI, Ważny krok naprzód w poznaniu przeszłości związków religijnych Polski i Francji .....	168
DIALOGI	
Awersja czy coś więcej .....	173

IMPRIME EN FRANCE  
sur les presses de l'imprimerie de Buzogny  
2, rue de Paris, 92230 Ozny

32. KARL RAHNER, *Wierzy w Boga i w człowieka*  
 33. FERNAND GUMET, *Iskusienie i wyzwanie*  
 34. C.H. DODD, *Zaloty i ciemność*  
 35. WOLFHART PANNENBERG, *Kim jest człowiek?*  
 36. BERNARD BASSET, *Zaczynaj znowu modlitwę*  
 37. KARDYNAŁ S. WOJTYŁA, *Przemyslenia*  
 38. MICHAŁ CZAJKOWSKI, *Wspomnienie*  
 39. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 40. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 41. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 42. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 43. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 44. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 45. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 46. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 47. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 48. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 49. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 50. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 51. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 52. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 53. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 54. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 55. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 56. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 57. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 58. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 59. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 60. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 61. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 62. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 63. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 64. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 65. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 66. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 67. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 68. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 69. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 70. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 71. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 72. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 73. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 74. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 75. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 76. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 77. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 78. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 79. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 80. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 81. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 82. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 83. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 84. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 85. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 86. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 87. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 88. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 89. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 90. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 91. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 92. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 93. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 94. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 95. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 96. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 97. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 98. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 99. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*  
 100. PIOTR J. LEWICKI, *Wspomnienie*



IMPRIME EN FRANCE  
 sur les presses de l'Imprimerie de Busagny  
 2, rue de Pâtis, 95520 Osny

